This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES

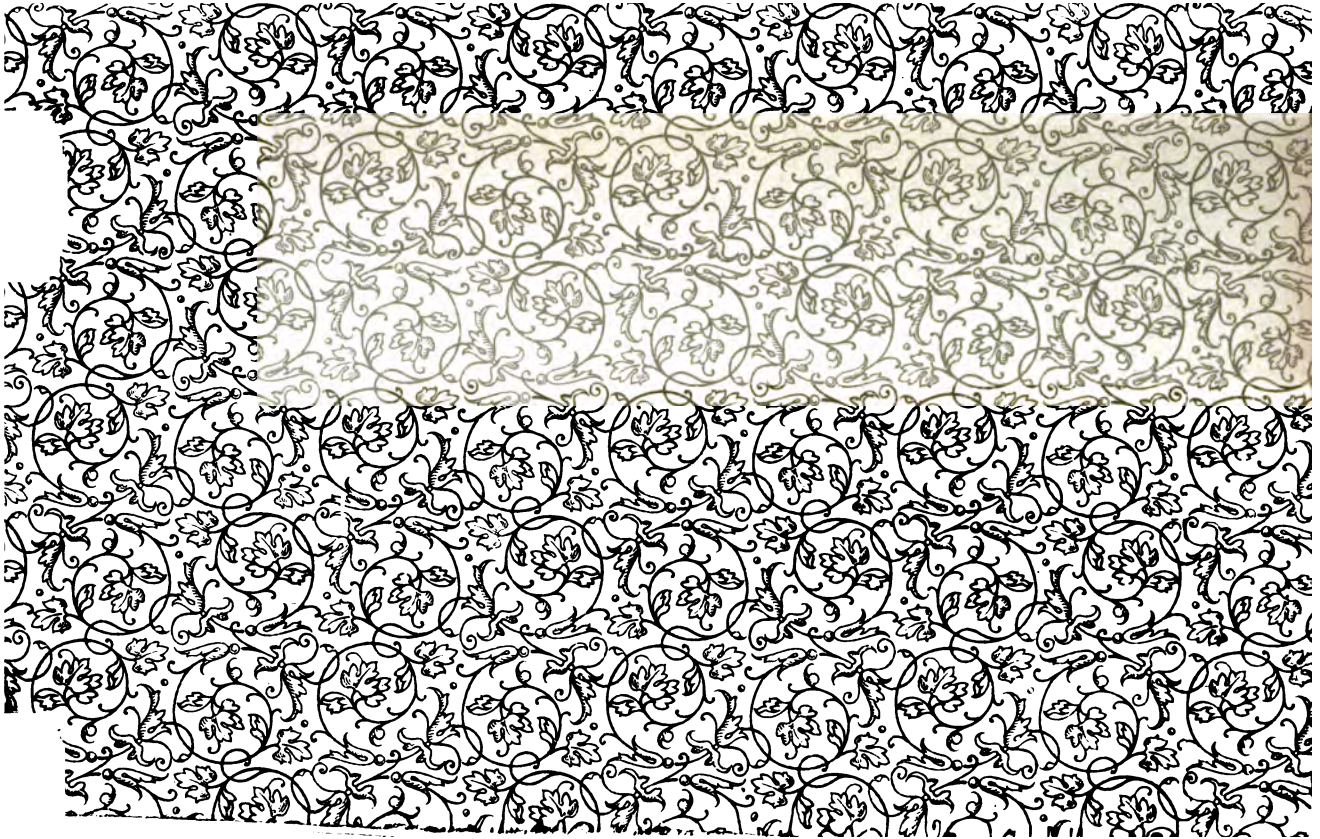

111-4
389

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XXVI.

POEZYE

MAURYCEGO GOSŁAWSKIEGO.

Z PRZEDMOWĄ

PRZEZ

LEONA ZIENKOWICZA.

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE I ZUPEŁNE.

THIS ITEM HAS BEEN MICROFILMED BY
STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
REFORMATTING SECTION 1994. CONSULT
SUL CATALOG FOR LOCATION.

1864.

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

STAC.
AUG 9 1967

PG 7132

v. 26

PRZEDMOWA.

«Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta:
Skąd przychodzisz: gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,
Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczyta!
Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,
Ale dla czego zaszło, nikt nie odpowiada.»

ADAM MICKIEWICZ.

«Księże! Gdzie teraz Kościuszko? — W mogile! —
Kiedy żył jeszcze były takie chwile,
Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
Albo grobowiec przy bladych barwinach,
Musi być smutny szmer nad nim w drzewinach;
Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny
Wołając: Ojcze! choć on był bezdzietny.»

JULIUSZ SŁOWACKI.

«Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu —
W poecie jest to może najwyższy szczyt losu.»

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

Kiedy w 1859 r., nie mając jeszcze tych szczegółów, które dziś podać mogę, wprowadzałem do Żywotów Narodowych — Usque ad Finem — żywot Maurycego Gosławskiego, zaliczyłem go do rzędu ludzi, o których powiedziećby można, iż dla tego przychodzą na świat, ażeby ich życie było wieczną zagadką. Dziwne przygody życia Gosławskiego, gorąca miłość dziewicy, ojczyzny i ludzkości; trudy, boje, cierpienia, tułactwo, więzienie i śmierć wreszcie męczeńska za tę jego trójcę najświetszą; — poezye, które na cześć jej składał, — wszystko to znane, słyszane i widziane; ale znane po wierzchu, słyszane pół uchem, widziane jak przez mgłę albo we śnie.

A jednak był to człowiek równie wielkiego serca i wzniosłego umysłu, jak nieograniczonego poświęcenia i niezaprzeczonej zasługi.

Znany już, jako znakomity poeta, przed powstaniem 29. Listopada:

Żołnierz i wieszcz tegoż powstania;
Oblężeniec w twierdzy Zamościa;
Jeniec moskiewski po upadku powstania;
Wyzwoleniec za sprawą Polek Podolskich;
Wygnaniec i tułacz po obcych śmieciach;
Towarzysz wyprawy Zaliwskiego;
Więzień i męczennik na śmierć w inkwizycyi austryackiej.

A wszędzie i zawsze patryota gorliwy i niezłomny, mąż wierny posłannictwu i obowiązkowi narodowemu; wszędzie i zawsze — w powstaniu, w obozie, w oblężeniu, w niewoli, na tułactwie, w więzieniu, na śledztwach, w chwili śmierci samej — poeta tworzący wiersze przepełnione najgorętszemi uczuciami.

I nie jestże to rzecz dziwna, że człowiek który tak czuł, tak kochał, który tak pracował i pojmował powinności żywota swego, zgasł samotnie, bez wieści, bez śladu, zapomniany prawie że żył kiedyś na świecie i dla świata, śród ludzi i dla ludzi — zapomniany wraz z pracami i zasługami swojemi. Zdaje się, iż Gosławski przeczuwał to zapomnienie, kiedy w 1833 r. kreślił swoje widzenie o obowiązkach przekazu dziejowego pokoleniom potomnym zamieszczone przy Poezyach Ułana Polskiego.

Był czas, wkrótcę po usiłowaniach Zaliwskiego, że poezye Gosławskiego krążyły po kraju w licznych odpisach, wywołując niepodobne do wypowiedzenia uwielbienie lub oburzenie, według tego, jak były w ręku ludzi zapału i poświęcenia, albo samolubów i obojętnych. Padł ofiarą usiłowań szlachetnych Zaliwski, skazany przez sądy austryackie na dwudziestoletnie więzienie w twierdzy Kufstein. I wkrótce rozeszła się również smutna i bolesna wieść, iż Gosławski zakończył życie w więzieniu austryackiem w Galicyi, w Stanisławowie. Przebywałem podówczas w Alzacyi, gdzie wyczekiwali także pomyślniejszych dla sprawy polskiej czasów,

osobiści znajomi, przyjaciele i wielbiciele Gosławskiego. Dla serc gorących i młodych nic na ziemi nie ma niepodobnego. Toż na pierwszą wiadomość o śmierci Gosławskiego postanowiliśmy zająć się odszukaniem poezyi jego, w celu ogłoszenia ich drukiem. Pierwsza myśl, acz z mozołem, przychodziła powoli do skutku, lecz na drugą nie było dla pielgrzymów sposobu; ogłaszane jednak były w wyjątkach po niektórych pismach czasowych, oraz w Żywotach Narodowych, o których wyżej wspomniałem. Od tego czasu nie ustawałem w poszukiwaniach rozproszonych po świecie poezyi Gosławskiego, aż nareszcie stało się zadość życzeniu i sądzę iż wydanie, które obecnie publiczności przedstawiam, jest ich zbiorem zupełnym. Zadowolonemu z tej strony pozostawało odszukanie szczegołów żywota poety. Wiedziałem iż był rodem z Podola, tam więc obróciłem starania, i oto są wyjątki z niektórych listów:

A. Z listu pani A. P. 17° czerwca 1859 r.

Maurycy Gosławski urodzony z rodziców niezamożnych, gdzieś w okolicach Winnicy, uczęszczał tamże do szkół a następnie kończył nauki w Krzemieńcu, gdzie udzielając korepetycyi dostatniejszym uczniom zarabiał na życie i utrzymanie. Po wydaleniu się z tamtąd wszedł do domu państwa M*** jako prywatny nauczyciel, albowiem w Krzemieńcu jeszcze zaczął był przewodniczyć naukom ich synów. Młody niemający podówczas jak 22 lat może, rozwinął w uczniach swoich uczucia, które ich do udziału w sprawie Szymona Konarskiego i następnie na Sybir zawiodły; w młodej zaś ich siostrze tak gorącą obudził miłość, że gdy matka opierała się temu uczuciu i na związek zezwolić nie chciała, aż w truciźnie szukała ulgi i o mało życia sobie nie odebrała. Nie mogąc skończyć z nieszczęśliwą miłością, przeto iż był ubogi a panna bogata, zaciągnął się Gosławski do wojska, myśląc że szlufami oficerskiemi tamy ubóstwa przełamie, gdzie wkrótce dał się poznać z wysokich zdolności swoich, tak, że go do kancelaryi sztabu Dybicza przeznaczono, i w której też przez całą wojnę turecką pracował. Po zawartym pokoju wziął dymisyę i udał się do Warszawy i tam właśnie ułożył ów prześliczny poemat:

Podole, a którego cały prawie nakład już drukowany spalił w obec przyjaciół, przeto iż był go przypisał Jenerałowi Wincentemu Krasińskiemu, jako rodem z Podola, a który, jak wiadomo, wkrótce potem głosując za śmiercią polskich więźniów stanu, okazał się niegodnym tego zaszczytu. Gdy wybuchło powstanie 29. listopada, Gosławski zaraz po stronie jego się znalazł, służąc mu od tej chwili równie szablą jak piórem. Liczne są jego poezye z tych czasów. Warszawa mało je znała, bo składał je w obozach, zwłaszcza służąc jako porucznik przy Legii Litewsko-Ruskiej, w dywizyonie ułanów podolskich, pod komendą Aleksandra Wereszczyńskiego. Losem wojny, wrzucony do Zamościa oddział ten piękny i waleczny przetrwał w nim całe oblężenie. Większość jego składali obywatele Podola i Wołynia — młodzież myśląca, ukształconego wychowania głęboko przenikniona świętością narodowej sprawy, i która przetoż oddała się jej bezwarunkowo. Ich to nieustraszonemu męztwu i nieprzełamanej wytrwałości, z jakiemi znosili niewygody i trudy, nędzę i głód oblężenia, nieupadając na duchu, winien Zamość najświetniejszą część swej obrony; — ich światłemu wpływowi i moralnej przewadze należy się sława, iż ostatni, po upadku wszelkiej nadziei pomocy, dotrwał — i z orężem w ręku, sam jeden, dni dwadzieścia przedłużył życie narodu. Na ostatniej radzie wojennej o poddanie się twierdzy, przeciwnych poddaniu się jej było siedmiu oficerów na stu — ośmiu zgodnych — ci zaś siedmiu, byli to Podolacy, a w ich liczbie: Maurycy Gosławski. Wtedy to, pod wrażeniem ogólnego zwątwienia, a boleści rozdartego serca, napisał Zamościankę, inaczej zwaną: Zwątpienie, poświęconą komendantowi oblężonego Zamościa, jenerałowi Krysińskiemu, z własnoręcznym listem do niego. Poezya ta, jak łatwo się domyśleć, wywołała niesłychane oburzenie ludzi zwątpienia, którym szło o byle już jakie zakończenie walki, i rychły powrót do domu, kiedy poeta doradzał im: wieniec męczeński, przedstawiając: że kiedy dłużej bronić Zamościa niepodobna, to należy wysadzić go w powietrze i samym się pod gruzami jego zagrzebać List ten znajdzie czytelnik dołączony do poezyi: Zwątpienie, Podolanka, poświęcona komendantowi oblężonego

Zamościa, po pierwszych wieściach o niepowodzeniach narodowych.

Kapitulował Zamość na warunkach poszanowania własności osobistéj całej bez wyjątku załogi, i każdemu wojskowemu polskiemu przyrzeczony był wolny powrót do domu i bezpieczne tam przebywanie; lecz Moskale według swego zwyczaju, zgwałciwssy świętość kapitulacyi, wielu z pomiędzy jej załogi zatrzymali i popędzili w głąb Moskwy, a pomiędzy nimi był Maurycy Gosławski. Rodem z Podola, dawny oficer korpusu litewskiego, urzędnik sztabu Dybicza podczas wojny tureckiej, dzielny żołnierz i poeta powstania listopadowego, doradca wysadzenia w powietrze twierdzy Zamościa, wiadomo jakiego losu mógł się spodziewać w niewoli moskiewskiej; lecz na szczęście znalazły się poczciwe Podolanki, które mu ułatwiły ucieczkę do Galicyi, gdzie też on zawdzięczając bohaterską posługę, napisał wiersz pod tytułem: Podolanki w więzieniu ułanów podolskich w Żytomierzu.

Wkrótce po ogłoszeniu tej poezyi Gosławskiego stanął był śród pielgrzymstwa polskiego, we Francyi, jeden z carskich wysłańców z projektem amnestyi, kusząc wytrwałość polską w imię braterstwa moskiewskiego: «Stanął pogodny i rzecze: Bracie drogi wstrzymaj bój! krew to droga po nas ciecze, krew rodzinna, ja brat twój». Oburzony temi słowy Gosławski: «Stój!!!» zawoła, odpierając to kuszenie w Sępie Sybiru: «Ja nie byłem nigdy katem, byś miał prawo zwać mię bratem! Słuchaj, ty carski służalcze! Ja, syn wolny wielkiej ziemi; ja, piersiami nie cudzemi jak ty; ja, własnemi walczę; walczę za siebie i za nią! Ty krwi cudzej lejesz zdroje, nadstawiasz piersi nie swoje, przedałeś je, i tak tanio kupiono Ci niewolnika, z twojem życiem i imieniem, z przekonaniem i sumieniem, ceną rubla i krzyżyka! Pójdź i powiedź panu twemu, że ja nie przebaczam jemu, pókąd krew mej ziemi drogą, smoczą paszczą będzie chłeptać, póki Tatar dziką nogą zgiętą Ludzkość będzie deptać. Niech wyzionie smocza paszcza, co połknęła z naszej krwi, niechaj odda co przywłaszcza, co jej w gardle żywe tkwi, wtenczas tylko, wtenczas żmije, przebaczenia czas wybije!! —»

Nie udała się amnestya carowi; pielgrzymstwo polskie

odrzuciło ją z pogardą, a Gosławski poeta jego, przelał je zaraz w rymy: Tułacza polskiego.

Szlachetną była rezygnacya pielgrzyma, zdecydowanego raczej na tułactwo dośmiertne, aniżeli na przyjęcie łaski z rąk wroga, który najechawszy i rozszarpawszy Polskę, on właśnie u nóg jej przebaczenia błagać powinien. Lecz nie przestał na samych słowach gorący duch poety, i na wieść, że część pewna pielgrzymstwa postanowiła czynem, z bronią w ręku, na ojczystej ziemi, zaprotestować przeciw amnestyi carskiej, Gosławski, 1833 r. ruszył za tak zwanymi: partyzantami, na swe ulubione Podole.

Od krańca starożytnych swych dziedzin, zarumieniła się na nowo Polska krwią wiernych synów; zaskrzypiały na nowo szubienice obciążone ofiarami niesłychanego poświęcenia; tysiączne kibitki zaczerniły znowu białą drogę na Sybir; — ale car przekonał się raz jeszcze, że Polskę rozszarpać i udręczyć można, lecz znieważyć jej darem łaski carskiej — nigdy.

Po upadku, a raczej rozwiązaniu wyprawy, która oprócz zbrojnej protestacyi innego mieć założenia nie mogła, pielgrzymstwo polskie, rozproszone po Galicyi, znalazło się w tem okropniejszem położeniu, że zawierzywszy rządowi austryackiemu, nie spodziewało się ze strony jego zdrady. Gosławski, napadnięty pewnej nocy w jednym z domów galicyjskiego Podola, pochwycony i okuty w łańcuchy, osadzonym został w więzieniu, naprzód w Zaleszczykach, a potem w Stanisławowie. Kto czytał przez Silvio-Pellico: Pamiętniki z więzienia, ten wie, na jakie męki skazani bywali za jego czasów włoscy polityczni więzniowie; wszakże były to dopiero brzaski prześladowania, na których zaprawić się miał hyenizm austryacki we Włoszech, ażeby z całą wściekłością rozwinął się kiedyś na więźniach polskich w Galicyi, do których oskarżony o stósunki z partyzantami i emisaryuszami należał Gosławski. Twarde było więzienie, ale twardszą była snać jeszcze dusza Gosławskiego, skoro spółtowarzysze jego więzienia, a było ich niemało, niemogli się nadziwić stałej jego pogodzie i humorowi zawsze wesołemu. Niestety! Były to zewnętrzne osłony tylko, po za któremi tem sroższa toczyła się walka, że

była zakryta i nieprzeszkadzana. Zdrów i spokojny z pozoru, nagle zapadł w ciężką chorobę, i po kilku dniach strasznych cierpień zakończył życie męczeńskie w więzieniu austryackiem, w Stanisławowie, na granicy uwielbianego przezeń Podola. W dopełnieniu dodać należy, iż dopóki był więziony w Zaleszczykach, gdzie owocześnie był starostą Nidecki, dopóty więzienia Gosławskiego było jeszcze na pół dotkliwem, ale od czasu jak przeniesionym został do Stanisławowa pod dozór starosty Milbachera, który nie tylko że utrudnił mu wszelkie związki z rodakami chcącemi przyjść z pomocą w chorobie, lecz się z nim najsrożej obchodził i jak zbrodniarza traktował, odtąd czujące serce Gosławskiego przy słabem i delikatnem zawsze zdrowiu musiało z każdym dniem śmiertelną rozwijać w nim chorobę. Powierzchowność Gosławskiego nie była uderzającą; blady, wzrostu miernego, chudy, rysy mocno wydatne a potężne wąsy zakrywały całkiem usta i zęby okopcone ciągłem używaniem fajki. W rozmowie był przyjemny ale sarkastyczny; biada temu kto mu dokuczył; ucinkowemi słowy wszędzie go w śmieszność obracał. Odważny do zuchwałości, dla przyjaciół wylany, do wszelkich poświęceń gotów każdej chwili, w pożyciu domowem łatwy i miły. W pośród licznie rozwijających się talentów w Krzemieńcu, pierwiastkowe utwory jego nie zdawały się zapowiadać znakomitego poety; prawdziwy talent jego rozwinęły dopiero nieszczęścia i klęski narodowe. —»

B. Z listu pana J. P. z 14. lipca 1859 r.

Ćwierć wieku już upływa, jak 19. listopada 1834 r. wiekopomnej pamięci Maurycego Gosławskiego do wiecznego złożyliśmy spoczynku; ćwierć wieku, a żadna żywa dusza nie wspomniała o nim, chyba tylko prywatnie ten co jego Odstępcę lub Sępa Sybiru z ust jego słyszał.

Stosunki moje ze zmarłym wieszczem były dalekie, z powodu że ja nie należałem do ówczesnego odcienia propagacyjnego, a które we dwanaście lat później tak jaskrawe i niczem niezatarte piętno po sobie zostawiło; szanowałem i ceniłem wszakże wysoce zasługi wojskowe niemniej jak poetyczny talent zmarłego, oraz piękny jego charakter publiczny i prywatny.

Maurycy albo Mirosław Gosławski, jak się sam podpisał w przedmowie do Poezyi Ułana, urodził się na Podolu, gdzieś w okolicy Kamieńca, odbywał kampanię turecką pod Dybiczem, w czasie powstania polskiego służył w legii Wołyńsko-Litewsko-Ruskiej i był w Zamościu do końca oblężenia, a po kapitulacyi prowadzony w głąb Moskwy jako jeniec wojenny, ratował się ucieczką do Galicyi i przebywał w cyrkule Czortkowskim, zkąd wkrótce udał się do Francyi; lecz w rok później wrócił na prawy brzeg Zbrucza z kilku towarzyszami, którzy mieli zamiar na lewy brzeg tej rzeki zbrojno z Galicyi się dostać. Przedsięwzięcie to sprowadziło liczne aresztowania w Galicyi, które wielu przypłaciło życiem, niektórzy zdrowiem; między pierwszymi padł ofiarą Gosławski, zmarły w więzieniu w Stanisławowie na gorączkę nerwową, dnia 17. listopada 1834 roku, nielicząc zapewne więcej nad 27 lat wieku, a której to słabości nabawił się w skutek pielęgnowania chorego na nią współwięźnia i towarzysza wyprawy. Mimo troskliwości, z jaką starano się ująć stróża więziennego, by choremu nieść pomoc i ulgę, w parę dni dopiero dowiedziano się o jego zgonie, bo i z tem krył się starosta Milbacher, nie zezwalając proszącym go usilnie obywatelom, wyprawienia zmarłemu należnego pogrzebu. Dokazano jednak, iż ujęto stróża więzienia i ubrano nieboszczyka w ułański, własny mundur jego, przechowany w jednym z domów, kiedy wolnym jeszcze na wsi przebywał; a gdy do dnia sądząc że nikogo jeszcze z obywateli na ulicach miasta nie będzie, kazano go jako prostego kryminalistę pochować, stało się całkiem inaczej. Uwiadomieni przez zacnych rodaków, których nazwiska wymienić dziś mogę, bo i ci gorliwi patryoci spoczywają już w Bogu, a byli niemi ś. p. Andrzej Przybysławski i ś. p. Teofil Wiśniowski, zjechaliśmy się tłumnie do Stanisławowa i 19. listopada rano, kiedyśmy dostrzegli, iż na prostym wozie trumnę słomą przykrytą do cerkwi na przedmieściu od Opryszowiec przywieziono, uprosiłem Księdza Parocha ś. p. Pokłodowskiego, ażeby nie zaczynał nabożeństwa, póki nie dam mu wiedzieć, że przyjaciele i koledzy zmarłego, za którego duszą chcą zanieść modły ostatnie, już się poschodzili. Ksiądz Paroch nie tylko nabożeństwa nie przy-

spieszał, lecz jarzącem światłem suto katafalk przyozdobił, wikarych swoich przywołał, a chór znaczną liczbą diaków i poddiaków obsadziwszy, tak różne wyprawiał mołyby, paraktazy i t. d. że aż do południa a może i później nabożeństwo przeciągnął.

Po ukończonych wszelkich ceremoniach w cerkwi, wynieśliśmy ciało na skromny karawan, chłopskiemi końmi zaprzężony, temi samemi co zmarłego z kryminału do cerkwi przywieźli; a to tem większą zrobiło na publiczność wrażenie, że za ubogim karawanem szły piechotą w znacznej liczbie naprzód panie w aksamitach, sobolach i innych kosztownościach, a za niemi tłumy mężczyzn na ten smętny obrząd przybyłych.

Przyszedłszy na cmętarz, zastaliśmy grób dla ś. p. Gosławskiego zaledwo przez kryminalistów wykopany w połowie; niedaliśmy przeto dalej go kończyć i po kolei odebrawszy więźniom rydle, dalszą robotę kończyliśmy sami. Gdy się to stało, przystąpiłem do trumny dla dopełnienia obowiązku, który na mnie włożyła ś. p. Panna Maryanna Bieńkowska, to jest, gdy jeszcze w cerkwi byliśmy, prosiła mnie, ażebym przed spuszczeniem do grobu ciała zmarłego, trumnę otworzył i w papierze doręczone mi przez nią, zawinienie ś. p. Gosławskiemu pod głowę włożył. Co w tem zawinieniu było? — tego mnie w parę lat później zmarła ś. p. Maryanna Bieńkowska nie powiedziała, a nawet nie wiem czyli z żyjących jest kto, coby o tem wiedział. Co do mnie dopełniłem włożonego obowiązku i trumnę otworzyć kazałem, w której gdy się pokazał Ułan Polski, wzruszenie zgromadzenia było do nieopisania, a ja zawołałem: «Oto jeszcze jeden oficer polskich ułanów wydarty Ojczyźnie! Pozwólcie, kochani Bracia i kochane siostry, iż stary żołnierz polski narodowej służby, pożegna was w imieniu zmarłego lecz patrzącego zawsze na was towarzysza broni (albowiem wieninem tu dodać, iż nieboszczyk czy to z powodu krótkiej choroby a gwałtownej śmierci, czy że nie miał nikogo przy zgonie, coby mu zamknął powieki, miał oczy otwarte) i pocieszy nadzieją, że i po śmierci nie przestał on służyć ojczyźnie i patrzeć na wasze dla

niej służby. Żal nasz po nim nieutulony, ale pamięć słodka, albowiem jako mówi poeta:

«I ten szczęśliwy, kto śród zawodu,
Padł świetnym wiedzion zapałem,
Jeżeli poległem ciałem,
Dał innym szczebel do sławy grodu.»

Powszechny płacz i jęki zgromadzonych zastąpiły zmarłemu łzy żalu i pożegnania rodziny i ojczyzny. A gdy jeden z obecnych księży zawołał: «Za duszę ś. p. Maurycego proszę o trzy: Zdrowaś Marya,» wtenczas, gdy wszystko, zgięte na kolana, zajętem było modlitwą, dopełniłem podjętego polecenia, i pod głowę zmarłego włożyłem ów mi powierzony talizman.

Na koniec zamknąwszy trumnę nad nieodżałowanej pamięci kolegą, spuściliśmy ją do miejsca, do którego wszyscy, jedni wcześniej inni później w miarę przeznaczenia odbędziemy drogę i znikniemy ze sceny świata, na której niestety samych tylko cierpień pozostaną po nas wspomnienia.

Oto jest wszystko co czyniąc zadość wezwaniu donieść z mej strony mogę. Proszę przebaczyć, że spóźniłem się z odpowiedzią, ale to nie tak łatwo staremu wziąść się do pisania. —

C. Z listu pani L. S. z Hr. P. 7. Stycznia 1860 r.

Nie znałam Maurycego Gosławskiego za życia jego, ale widziałam go po śmierci podczas pogrzebu w Stanisławowie, a widziałam tak dobrze, iż mi się zdaje, że go widzę dziś jeszcze patrzącego na nas oczami duszy swojej. Był oblicza miłego, twarzy ściągłej, włosów ciemno-lnianych, oczy miał niebieskie, w powstaniu nosił wąsy a w więzieniu zapuścił brodę. Skromna, zwykle czarna czamarka, była jego ulubionym ubiorem; lecz rodacy ubrali go po śmierci w mundur narodowy ułański, i w nim śród napływu bardzo licznego obywatelstwa miejscowego i okolicznego, z wielkiem pochowali współczuciem. —

D. Z listu pana J. R. 14. Czerwca, 1859 r.

Nie posiadam żadnych piśmiennych szczegołów dotyczących żywota ś. p. Maurycego Gosławskiego; to wiem tylko, iż lat temu prawie już 25, jak umarł na tyfus w więzieniu austryackiem w Stanisławowie, do którego zanim się dostał, bawił w domu naszym kilka miesięcy. Ja byłem wtedy młody, szczęśliwy i kontent z jego towarzystwa; bo był to człowiek nadwyczajnie miły, wesoły, dowcipny, a przytem kochający się wiecznie, jak wszyscy poeci. To wszystko łacno do mnie przystało. Jeździliśmy, polowaliśmy, bawiliśmy się, jednem słowem: hulaliśmy po całych dziach i nocach. O rzeczach poważniejszych nie było czasu myślić, chyba że poeta wpadł w zapał i zaimprowizował fantazyę jaką; a zresztą, któż się spodziewał, że los, los jak widzę, szczęściu zawistny, tak niespodzianie i tak prędko miał nas pozbawić najserdeczniejszego przyjaciela. Nie było starań, którychbym nie użył, żeby go odwiedzać w więzieniu, ale te wszystkie ten tylko sprowadziły skutek, żem wpadł w podejrzenie o jakieś z więźniem knowania, i z tego powodu kilka razy przesłuchiwany byłem; aż nareszcie śmierć Gosławskiego położyła koniec jeżeli nie dla wszystkich jego przyjaciół, to przynajmniej własnym jego najdotkliwszym prześladowaniom. Słyszałem z ust jego lub czytałem w drukach i rękopisach wszystkie poezye jego, a Odstępcę inaczej Renegata posiadam w oryginale czyli w własnoręcznym odpisie autora, ale tej jedynej po nim pamiątki za nic w świecie z rąk moich nie dam. Co do charakteru Gosławskiego, był to człowiek gotów na wszelkie ofiary i poświęcenia; — czyj przyjaciel, to już przyjaciel bez granic; — mnie był bardzo pokochał i wiele doznałem dowodów jego przyjaźni, których wtedy ani czuć ani ocenić jeszcze nie umiałem; za to też dzisiaj na każde o nim wspomnienie łzę uronię i mówię sobie w myśli: «Czemuż dziś nie ma przyjaciela mojego?!

E. Z listu pana A. B. 1. Października 1859 r.

Znałem Maurycego Gosławskiego i przeżyłem z nim wiele chwil ważnych. Znałem go w Warszawie, kiedy dru-

kował i spalił swoje poema opisowe: Podole; — znałem go podczas powstania, kiedy składał: Mazury Obozowe; — i znałem go w Galicyi kończącego: Renegata i piszącego: Banko. Był to człowiek niezwyczajnego charakteru; słodki i kwaśny w pożyciu, tak że kobiety żartując nazywały go raz: karmelkiem, a drugi raz: kwaśnym jak ocet. Jabym porównał go do dnia, w którym burza walczy z pogodą. Widzisz niebo czyste, jasne, niebieskie, w tem zesunęły się chmury, zaczernił się widokrąg, tłuką się wzajem ciemnobarwne chmury, szumią wichry, bije grad, leją wody, błyskawice ze grzmotem przeszywają powietrze, padł piorun jeden, drugi i dziesiąty, jeden straszliwszy od drugiego, i oto uciszyło się znowu, pogoda w górze, pogoda na dole i po bokach, słońce świeci tak czysto, jak gdyby żadną chmurką od roku zacienione nie było; lubo, miło, cicho do koła; — oto jest życie, oto są poezye Gosławskiego. Rozkochany w swem rodzinnem Podolu, o niem pisał i marzył ciągle. — Seweryn Goszczyński, uderzony tem rozmiłowaniem się poety: — «Gosławski, powiada, zamierzył sobie opiewać swą rodzinną ziemię: Podole — zostać poetą narodowym podolskim. — Nie mamy nic przeciwko podobnym chęciom; bo jeżeli poecie wolno obrać za przedmiot swoich natchnień jedną osobą, równie wolno wybrać z całej ziemi jedną okolicę, ale potrzeba zachować najgłówniejszy, wyraźnie dziś uznany warunek poezyi — prawdę, a Gosławski wpadł na drogę owych francuzkich romansistów idealizujących nad zakres człowieczeństwa swoje bohatery. —» Ale Goszczyński, kiedy to pisał, nie znał jeszcze ani Renegata, ani Banko — on sądził Gosławskiego z jego Podola, z Tęsknoty, z ułamku Powieści Kordesza, a Gosławski należał do rzędu poetów, którzy z wiekiem nie cofają się, lecz postępując naprzód, zostawiają po sobie żal, iż skończyli zawcześnie. —

Skończył zawcześnie Maurycy Gosławski, skończył w więzieniu, obciążony kajdanami, śród szczęku żelaza wrogów Ojczyzny, ale pamięć jak prace i zasługi jego pozostaną między nami na wieki:

«Bo krew nasza gdzie upadnie,
Perła w morzu nie przepadnie;
Cień Matki, co bez pogrzebu
Błąka się po każdym kresie,
Odszuka ją, zabierze — pół odda niebu,
A pół nad Wisłę zaniesie.»

F. Z listu pana F. Ch. 8. Października 1859 r.

Jeszcze w miesiącu Maju b. r. otrzymałem był za pośrednictwem p. kapitana G. wezwanie, względnie zajęcia się wyszukaniem szczegółów i dat odnoszących się do życiorysu ś. p. Maurycego Gosławskiego — jak niemniej prac jego literackich dotąd drukiem nie ogłoszonych, a które zestawione razem, mogłyby obznajomić współziomków z krótkim ale chwalebnym żywotem tego wieszcza — żołnierza.

Składam naprzód podziękę za tak dla mnie zaszczytne wezwanie, które może tylko dla tego, w części przynajmniej wykonać byłem w stanie, iż ś. p. Gosławski przebywając czasami w domach tak moim, jak rodziny mojej i przyjaciół moich, pozostawił między nami pamięć po sobie chwalebną i serdeczną — a tym sposobem ułatwił mi możliwość ściągnięcia szczegółów pożądanych. Gdy wszakże w kilku domach czynić musiałem odnośne poszukiwania listowne, to więc sprawiło, że aż do dziś dnia ociągnąłem się z przedłożeniem ich rezultatu, a który jest następujący:

1. Co do materyałów posłużyć mogących do życiorysu ś. p. Gosławskiego, składam w załączeniu kilka listów od różnych osób łaskawie mi nadesłanych. Listy te zdają się wyczerpywać dostatecznie materyały do życiorysu potrzebne. Jedna tylko okoliczność co do miejsca i roku urodzenia poety dotąd z pewnością wyjaśnioną być nie mogła.

2. Co do prac literackich Gosławskiego, tedy takowe, oprócz drukiem ogłoszonych w Warszawie 1820 r. pomiędzy któremi najważniejszem jest poema opisowe pod tytułem: Podole, oraz Poezyi Ułana Polskiego, drukowanych w Paryżu 1833 r. przesłanemi zostały p. Leonowi Zienkowiczowi, wydawcy Żywotów Narodowych w Paryżu, dwa poemata Gosławskiego, do onego czasu w rękopisach tylko

przechowujące się: 1. Renegat czyli Odstępca i 2. Banko inaczej: Polska w Banku. Z nieogłoszonych drukiem posiadam kilka wierszy ulotnych, które w odpisie z przyjemnością tutaj załączam, wraz z dodatkami wyjętemi z własnoręcznego rękopisu autora, a które dla pewnych czasowych względów w wydaniu paryzkiem kropkami tylko oznaczone były.

Proszę przyjąć i t. d. J. Ch.

Wracając do przedmiotu przytoczeniem listów rozwiniętego, pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o ogólnym charakterze literackich prac Gosławskiego.

Wszystkie trzy poemata o których wzmianka była wyżej: Tęsknota, Odstępca albo Renegat, i Banko, które ich autor, pomimo iż zawierają wiele scen rzeczywistych i prawd jasnych jak słońce — fantazyami nazywa, były pisane na tułactwie: za granicą i w kraju — w Galicyi. To wyrażenie: na tułactwie — w kraju wydawać się będzie pokoleniom potomnym fantazyą istotną. Bo, i jakże potomność, dla której: Postęp, Duch-Czasu, Bóg, Opatrzność — wreszcie mniejsza jak kto zechce to nazwać — z każdym dniem oczywiściej, inne aniżeli dla przeszłości i teraźniejszości przygotowuje dzieje, pojąć będzie mogła, ażeby Polak w Polsce, w kraju własnym, na swej ziemi rodzinnej i ojczystej, mógł być kiedy tułaczem?! — A jednakże prawdą jest, prawdą powszechnie już znaną, i na wielu z pośród nas umęczonych, lub dziś jeszcze męczonych, osobistem doświadczeniem stwierdzoną, iż za czasów, w których one poemata składane były, Polak w Polsce, w kraju własnym, na swej ziemi rodzinnej i ojczystej — a w Galicyi zwłaszcza, był nie tylko tułaczem, ale nieszczęśliwszym, ale srożej niż na wszelkiej ziemi obcej, prześladowanym i ściganym tułaczem. Polski tułacz po ziemiach obcych bywał nawet często miłym, pożądanym, ze spółczuciem serdecznem, z gorącemi okrzykami i oklaskami pozdrawianym i przyjmowanym gościem; — kiedy o tymże czasie, na ziemi własnej, rodzinnej i ojczystej, nie było dla jego stopy jednej piędzi ziemi do wypoczynku, jednego kamienia, na którymby znużoną głowę

na chwilę mógł położyć bezpiecznie. Ścigany i pędzony z kąta w kąt, we dnie i w nocy, kończył zwyczajnie na wydaniu Moskwie, gdzie go knut, śmierć, więzienie albo męki Sybiru czekały; — lub na cięższem jeszcze konaniu w lochach austryackich: Szpilbergu i Kufsztajnie. Gdybyż na tem było się kończyło! Wróg — zaborca, zawsze będzie ciemiężcą ujarzmionej ziemi! Ale, ileż za onego strasznego czasu było wydarzeń, iż pod wpływem ogólnego przestrachu i prześladowania najezdców, brat w spólnej matce — ojczyznie; brat! o słowo boleśne! brat w matce — rodzicielce, stawał czasem względem brata, jakby wrogiem był jego? — Zaiste, wśród takiego położenia piszącemu poecie — tułaczowi, nie mogły się roić wesołe myśli po głowie i pieszczotne rymy lać się z pod pióra; — i tu jest złożona tajemnica onych gorzkoboleśnych dotknięć w poezyach Gosławskiego napotykanych, oraz klucz do właściwego ich pojmowania.

Właśnie, na parę miesięcy przed zgonem Gosławskiego przebywający podobnież w Galicyi poeta Goszczyński, i porówni z Gosławskim oskarżany o surowość i cierpkość niektórych poezyi swoich, odparł wybornie te bez sensu zarzuty, w wierszu pod zapisem: Uniewinnienie Poety, a który jako najupełniej odpowiadający charakterowi poezyi Gosławskiego, przytaczam tu w całości:

O! moi bracia, wam się nie podoba,
Żem wybudował poezyi bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żałoba,
A płomień śmierci na ofiarnem zgliszczu;
Że samą uczuć krwiących się szkaradę
Jako obiatę na jej ołtarz kładę.

Szemrzecie na mnie, że po jej sklepieniach
Ustawna burza mroczy się lub błyska;
Że dzikie tylko wiatry brzmią w jej pieniach;
Że w niej okropność i nieład, zwaliska;
Że się w niej roją same grobów larwy,
Że w jej obrazach same czarne barwy.

Bracia, usiądźcie w stuletnich drzew mroku,
Gdy ziemia zamknie dzienne swoje życie
W podwójnym nocy i burzy obłoku;
Posiedźcie chwilę, cóż tam zobaczycie?
Choć ziemia geniusz, geniusz w całej sile,
Co umie tworzyć rozlicznie i mile.

Za całą światłość z gęstwiny powicia
Błyszczą ci czasem sowy oczy kocie;
A ruch jedyny, jedyny znak życia —
Nietoperz w cichym przewinie się locie;
Albo ciężkiego podskoku ropucha
Głuchym tententem przerwie nudę ucha.

Bozpalcież słońce — a w tej samej stronie
Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
We mgnieniu oka ozwie się, zapłonie! —
O! póki ciemne słońce milionów,
Póty, o bracia, niech mię nikt nie wini,
Że tak ponuro w mych uczuć świątyni.

Wydanie niniejsze, zbiorowe i zupełne poezyi Maurycego Gosławskiego starałem się przedstawić o ile podobna w systematycznym porządku, rozdzielając je na dwie części, z których pierwsza obejmuje poemata: Podole, Tęsknotę, Odstępcę czyli Renegata i Banko a druga wiersze różne porządkiem dat ułożone w czterech oddziałach: 1. Przed powstaniem, 1. W powstaniu, 3. Na tułactwie, 4. Pozgonne. Być może, iż gdzieś jeszcze w rękach i pamiętnikach prywatnych znajdują się jakie pozostałości po tak płodnym a niespracowanym poecie, jakim był Maurycy Gosławski. Ja daję co mam. «Wiele daje, kto daje co ma.

Pisałem na tułactwie 1863. roku Chrystusowego, a 32. roku Tułactwa Polskiego.

Leon Zienkowicz.

SPIS RZECZY.

Stronica

POEMATA.

PODOLE, poema opisowe w czterech częściach 13
Część 1sza. Piękności Podola 13
Część 2ga. Wesele gminne podolskie 19
Część 3cia. Klęski Podola 37
Część 4ta. Pożegnanie Podola 52
Objaśnienia Podola 59
TĘSKNOTA, fantazya we trzech działaniach 69
ODSTĘPCA ALBO RENEGAT, fantazya 123
Pożegnanie 125
Wędrówka 136
Wieści 142
Przypis do Limy 160
BANKO, fantazya 163
Rozstanie 165
Rozmaitości 169
Obóz ułański pod Warszawą 171
Polska w banku 181
Bankier w kozie 186
Zamknięcie 205

WIERSZE RÓŻNE.

DZIAŁ PIERWSZY. PRZED POWSTANIEM.

Duma o Nyczaju 211
Jubileusz 221
Miłość do B*** 224
W księdze pamiątek 226

Stronica

DZIAŁ DRUGI. W POWSTANIU.

POEZYA UŁANA POLSKIEGO POŚWIĘCONA POLKOM.

Przedmowa 227
Do Polek, ofiarowanie 229
Na śmierć Pestela, Murawieja i innych męczenników Rossyjskiej wolności 230
Pożegnanie Samhorodka 231
W pamiętniku nieznajomej 233
Mazur podolski 233
Mazur na cześć dyktatora, który położył pierwsze zasady upadku narodowej sprawy 234
Do orła białego w Lutym 1831 roku 235
Mazur na cześć generała rossyjskiego Suchozaneta, z powodu połamania mu nóg w bitwie pod Grochowem 236
W pamiętniku H. C.*** 237
Mogiły Pragi, Podolanka 238
Śpiewka w dzień imienin dowódzcy 241
Do Adama Mickiewicza bawiącego w Rzymie podczas wojny narodowej . 242
Podolanka, śpiewka godowa ułanów podolskich 245
Majdanek 245
Zwątpienie, zamościanka poświęcona komendantowi Zamościa po pierwszych wieściach o niepowodzeniach narodowych 247
List do generała Krysińskiego, poświęcając mu Zamościankę: Zwątpienie 249
Ogniwo, podolanka 250
Rozstanie, podolanka 251
Nowy rok 252
W pamiętniku J. D*** 253
W pamiętniku przyjaciółki mego przyjaciela 253
W pamiętniku *** 254

DZIAŁ TRZECI. NA TUŁACTWIE.

DALSZA POEZYA UŁANA POLSKIEGO POŚWIĘCONA POLKOM.

Polski tułacz 255
Sęp Sybiru 257
Do Karola Lipińskiego, po koncercie dnia 29. Listopada 1831 roku we Lwowie 272
Wieszcz Ukrainy, fantazya z koncertu Lipińskiego 273
Do majora Wereszczyńskiego, dowódzcy podolaków 277
Podolanki w więzieniu ułanów podolskich w Żytomierzu 279
Wędrówka 283
Chorągiewka 284
On i Ja 288
Oddalenie 290
Odzyskanie 291
Niepewność 293
W pamiętniku Adolfa R*** 293

Stronica

DZIAŁ CZWARTY.

POZGONNE.

Do Przemysławka w kolebce 296
Wyjątek z poematu: zamek Kordyszowski 298
Wiersz z kozy posłany wraz z ananasem pannie Wandzi 299
Notatka dla pamięci pannie Wandzi, ostatnia improwizacya poety . . 302
Objaśnienia 304

POEMATA.

Objaśnienie dotyczące niniejszej kopii

POEZYI MAURYCEGO GOSŁAWSKIEGO.

Tomik Poezyi Maurycego Gosławskiego, którego eksemplarze nadzwyczajnie są rzadkie z powodu opisanego w przedmowie, był drukowanym w Warszawie 1828 roku w formie XVI; — obejmuje XVI stronnic Wstępu, i 144 str. tekstu, — razem 160 stronnic.

Kopia niniejsza zgodna najzupełniej z oryginałem uskutecznioną została w Krakowie, 1863 roku w dnie Świąt Wielkanocnych, w części ręką mą własną, a w części obcą.

Leon Zienkowicz.

Do

J. W. WINCENTEGO HRABI KRASIŃSKIEGO,

SENATORA WOJEWODY KRÓLEŚ. POLS. GENERAŁA BRONI, GENERAŁA ADJUTANTA C. K. MCI, DOWÓDCY KORPUSU REZERWOWEGO, WIELU KRAJOWYCH I ZAGRANICZNYCH ORDERÓW KAWALERA, CZŁONKA TOWAR. PRZYJACIÓŁ NAUK.

Kto na skałach starych Maurów,
W oczach zdziwionego świata,
Na skroń sobie gałąź laurów
Przeznaczył cięciem bułata;

Kto imienia swego jasność,
Jak żyjący światła strumień,
Przekazał wnukom na własność,
Dla nauki, dla zadumień;

Czyż rodzinnych równin kwiatek,
Czyż ojczystych pól bezdroże,
Niezabudek, skromny bratek,
Miłym jeszcze być mu może?

Czyż podolskich pienie borów,
Dumka tęskna, cicha, dzika,
Z poza hymnów, z poza chorów,
Dojdzie serca wojownika? —

Ty nie wzgardzisz i barwinkiem,
Nie odrzucisz i pokrzywy,
Gdy jest wdzięcznym upominkiem,
Bratnich uczuć, z bratniej niwy.

Tobie na podolskiej górze,
Kwitną bratki z każdą wiosną,
Tobie w naszych serc naturze,
Niezapominajki rosną. —

Naszych równin bohatyrze!
Chlubo nasza, i ozdobo!
My kochamy ciebie szczerze,
Krasiński! my dumni tobą.

Ty Podolak. — Mam więc prawo,
Słabemu podobny ziółku,
Pod imienia Twego sławą,
Szukać tym pieniom przytułku.

Od Twoich świateł odbicia,
Spadnie promyk na mą głowę,
I oddechem Twego życia,
Przetnę zakresy grobowe.

AUTOR.

List do P...

Panie!

Widzę między prenumeratorami i pańskie nazwisko. Kupując dzieło kupiłeś razem i prawo sądzenia, to nabywa się pro commodo, jak dodatek przy gazecie. Nieporozumienia trwają między nami, sposoby widzenia mamy różne, sprzeczne; wszystko to jednak nie zmniejszyło bynajmniej szacunku mego dla charakteru i sądu Pana. Dla tego chociaż sądzić mię będzie cały ogół czytelników, szanując każde rozsądne zdanie, chcę

do Pana kilka słów o zbiorze niniejszym prób moich poetycznych przemówić w szczególności. — Chcę sądu sprawiedliwego, chcę bezstronnej krytyki, dlatego w pełnej ufności udaję się do przeciwnika. Spytasz Pan zapewne dla czego wydaję moje prace? odpowiadam: taka jest chęć moja. Żaden z przyjaciół, żaden z księgarzy, słowem nikt nie ośmielał skromności mojej. Jestem człowiek — mam miłość własną, to dosyć. «Nie są to jeszcze dostateczne powody do narzucania się ludziom.» — Ja się nie narzucam — wydawca jest tylko podawcą środków nudzenia się lub przyjemności, czytelnik może przyjąć je, lub odrzucić, może czytać dzieło lub nie, podług woli. Jeżeli nie wszystkich czytelników chęciom i usposobieniom odpowiedzieć może, należy sie dobrze zastanowić, czyja będzie w tem wina. W obecnym stanie literatury naszej tak są rozdwojone, tak spaczone wyobrażenia o poezyi, że zaiste nie podobna jest piszącemu obrać pewnej drogi, którąby do przekonania wdzięczności dojść potrafił. — Bez wątpienia zechcesz Pan wiedzieć, czy jestem wyznawcą szkoły klassycznej, czy romantycznej —? Szczerze odpowiem: żadnej, nie wiem nawet, czy mogą te szkoły istnieć lub nie. —

Natura, umysł, serce są źródła, w których czerpałem. Jeżeli tedy natura, umysł i serce będą każde w szczególności romantyczne lub klassyczne, wtenczas i natchnienia od nich pochodzące takież być muszą. Pisałem, co czułem, co mi się zdało. — Uważam poezyę jako córkę serca i wyobraźni — wprawdzie często dzieci odradzają się, i rodzicielskich rysów nie zachowują obrazu, są jednak zdarzenia, że im bywają podobne mniej więcej. — Stopień tego podobieństwa stanowi o wartości poezyi. — Serce nie może czuć romantycznie, równie jak wyobraźnia działać; ani jednemu, ani drugiej prawideł narzucać nie podobna. I poezya więc co do istoty swojej pod żadne nazwisko podchodzić nie może. Równie ona jak miłość, sama stwarza siebie, bez naszej woli i wiedzy, bez woli i wiedzy rozpiera natchnioną pierś wieszcza, wydobywa się i w biegu swoim niepowstrzymana unosi wszystkie nasze władze. Ciekawy jestem, czy w chwili silnych natchnień, wzniesionych uczuć do stopnia namiętności, przyjdzie na myśl poecie jak czuje, jak pisze? Sądzę, że nie wie o tem naówczas. — Poezya

musi pierwej zrodzić się, potem się dopiero objawia. — Że jest uczuciem naturalnem, przeto musi być jednorodna, niepodzielna; pokąd natchnienia jej nie objęte słowem, nie zna żadnych nazwisk, żadnych podziałów; stopień tylko jej natężenia może być nie jednaki, stósownie do przedmiotu, który obudził jej władze, stósownie do siły, która poruszając jej sprężyny, gwałtowniejszy lub mniej silny nadała popęd jej działalności. Może tedy być sama w sobie rozlicznie, coraz różnie wznoszona lub łagodzona, jednak nie przyjmie nigdy dowolnie nadawanych jej postaci co do natury. — Jeżeli odlane natchnienia przybierają kształt zewnętrzny odpowiedni modzie, podług której autor włożył na nie odzienie, nie idzie zatem, aby natura poezyi zmienić się miała. Wzięte na chrzcie imiona Piotra, Grzegorza lub podobne nie zmieniają natury człowieka; dlaczegożby chrzestne imiona poezyi zmieniać jej istotę miały? Jeżeli mamy szczególne podziałowe jej nazwiska, jako: Ody, elegie, drammata i t. d. potworzyliśmy je sobie sami dla odznaczenia wyraźniej odcieni i stopni jej natężenia; podziały te są dla nas, nie dla poezyi. Prędzejbym się zgodził, że jest poezya originalna i naśladowcza, niż na wszystkie inne podziały. Z tych dwóch łatwo wyprowadzić można inne, nad któremi dzisiaj wszyscy, i bardzo i nie bardzo uczeni, tyle bezkorzystnych toczą sporów, to jest nad poezyą klassyczną i romantyczną.

Pierwsi poeci pisali, nie znając żadnych prawideł, — następcy ich, bądź przez szczególniejsze uszanowanie, bądź dla braku twórczego ducha, nie odstępowali form od poprzedników użytych, umieszczając wyobrażenia swoje lubo mniej wygodnie w ramki od tamtych podane; tak tedy utworzyła się z originalnej poezya naśladowcza, która z czasem nie tylko formy, ale ducha, wyobrażenia, myśli, słowem całą ją w inne ubierając słowa, coraz odmiennie przeinaczała. Z tego ciągłego nicowania powstała poezya tak zwana klassyczna, nie mająca już na celu naśladowania natury, lecz greckich i rzymskich poetów. Ponieważ Homer śpiewał tak, nie inaczej, ponieważ w ślady jego z uszanowaniem wstępował Wirgiliusz, że Rzymianie i Grecy wołali na pomoc muz, jako Bogiń swojej religii, dlatego dzisiaj Anglik, Szwed lub Kirgis ma powtarzać

te same modlitwy? cui bono? kiedy bóstw tych nigdy nie czcił, żadnych więc łask prawnie domagać się od nich nie może. Śmieszną jest zaiste rzeczą, aby my pod innemi wpływami kształceni i wzrośli, mogący sami przez się czuć, myśleć i działać, abyśmy mówię niewolniczo krążyli ciągle po tym obwodzie, po którym talenta naśladowców wiecznie idą gęsiego[1] i jak wyuczone szpaki to tylko wymawiać umieli, czego nas mistrz dawny nauczył. Nie — tak być nie powinno, i tak być nie może. — Usposobienie wieków objawiając się coraz wyraźniej, dało uczuć całą niedorzeczność naśladownictwa tego rodzaju. Zwolna tedy zaczęto otrząsać się z uprzedzeń zastarzałych, że to tylko jest piękne, co przekopiowane od Greków i Rzymian, z uprzedzeń krępujący wolny lot imaginacyi, ścieśniających wolne działanie uczucia, a następnie trzymających poezyą w stanie otrętwienia. Zaczęły wyższe talenta puszczać się drogą nową, odrębną od klassycznego chaussée, i pierwsze usiłowania dość szczęśliwie się powiodły. Schiller, Goethe, dalej Byron, Walter-Skot i inni pod nowym zupełnie względem okazali nowożytnym poezyą. — Pierwsi oni, że minę Szekspira, zwrócili poezyą na prawdziwy jej kierunek, pierwsi wykazali źródła, z których skarby jej czerpać należy. Otoż mamy i nową poezyą — nazwano ją romantycznością — niech i tak będzie.

Powiadam Panu, że na ten podział nie zgadzam się. — Romantyczność dzisiejsza, jest to ta sama piękność, tylko w innej sukni; cała różnica, że zmieniła cisnącą rogówkę i robrony na wygodniejsze stroje, które bardziej są jej do twarzy. Niech na balu zajaśnieje nowa piękność, czy ujdzie zawiści i szyderstw? niech wyceluje nad inne strojem, czyż nie będzie naganiona od wszystkich jupek, czepków, loczków i t. p. dawniejszej mody? Ludzie nieradzi przyznają drugim wyższość, nawet przekonani o niej: to jest w ich naturze. Tak się rzecz ma i w poezyi. — Ileż to madrygałow, szarad i logografów stanęło pod bronią na odparcie tej romantyczności! Pospieszyły ku odsieczy i czułe Idylki, i gospodarne ziemiaństwa i poważne tragedie, że nie wspomnę licznych półków sprzy-

[1] Gęsiego iść w tańcu polskim, jest to dzisiejsze solo.

mierzonych krytyków i gazetnych gabinetów, co nie wychodząc w otwarte pole, ubocznemi wpływami starają się wroga pognębić — oczerniono romantyczność, że ona wiedzie do mistycyzmu i ciemnoty, że cel jej główny zasadza się na wprowadzeniu upiorów i djabłów, że ona jest znamieniem psującego się smaku. Gdybym chciał wyliczać wszystkie «że» wielcebym Pana utrudził. Nasza stolica jest zarzucona cała sporami za i przeciw romantyczności, ale robiąc ekstrakt ze wszystkich sporów, rzecz się sprowadza do takiego zrównania (za — przeciw) = — (za × przeciw) = 0. Ale zapytasz Pan, do czego dąży to wszystko? Do niczego — Chciałem tylko Panu nadmienić o dwóch różnych latarniach, przez które toż samo światło coraz się inaczej wydaje, a mało kto chce i może widzieć przyczynę tej zmiany. — Zresztą chciałem napisać przemowę, może tedy vetusto musiałem krążyć i nie przyjść do celu, bo to właśnie jest celem przemów. Wspomniałem o nowości, bo to, co mam drukować jest nowe, jeźli nie samo z siebie, to przynajmniej ze sposobu oddania; chcę mówić o poematach tragicznych umieszczonych w tomie 2gim i 3cim. Opisy, opowiadanie i działanie są w nich połączone razem, dlatego użyłem tego kształtu, że w nim upatruję dogodność połączenia korzyści opisu z korzyściami działania; kiedy w samym opisie lub w samem działaniu nie zawsze wszystko wydać można. Ile ja osiągnąłem te korzyści, nie wiem — Pan sądząc, zechcesz zapewne odróżnić błędy moje własne i nie przyznawać ich drodze, po której szedłem; bo kiedy kogo zbolą nogi i ustanie, to nie jest jeszcze dowodem, że droga była zła; ktoś inny z mocniejszemi siłami mógłby po niej zajść daleko. —

Tęsknotę, Leszka i Podole ochrzciłem poważnym tytułem poematów; przyczyniła się do tego i ta szułość rodzicielska, która synów doradza zwać imionami wielkich ludzi, lubo nie każdy Fryderyk był Szyllerem, nie każdy Adam, Czartoryskim. — Podole jest poczęści zbiorem mniemań, obyczajów, podań gminnych miejscowych — pełno w nim błędów językowych. Chcąc być malarzem mojej krainy, brałem do obrazu barwy miejscowe, nie odstępowałem wierności, aż do uchybień. Wolałem zresztą zatrzymać błędy miejscowe, niż starać się o cudzoziemskie, bo zawsze jest lepiej na swoich tylko poprze-

stawać. — Reszta dopełniająca 3 tomików, są to pospolicie płody pierwszej młodości, nie wytrawione, mniej znaczące. Wszędzie Pan obaczysz zaniedbanie w stylu, naciąganie w rymach, język mniej czysty, słowem wad wielkie mnóstwo, nie wyliczam ich poszczególnie i Pana o to nie proszę; ten rodzaj posługi jest bardzo łatwy i powabny, są ludzie bawiący się szczególnie tym rzemiosłem, oddadzą mi ją. Od Pana mam prawo domagać bezstronnego ocenienia wartości prac moich pod względem uchybień i zalet, tak w całości jak i w częściach. Wszelkie sprostowanie mię rad przyjmę i wdzięczen będę za nie. Wszelkie przycinki, szyderstwa zkądinąd, zniosę z najzimniejszą krwią w Europie. — To wszystko chciałem powiedzieć, powiedziałem i kończę.

PODOLE,

POEMA OPISOWE

W CZTERECH CZĘŚCIACH.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PIĘKNOŚCI PODOLA.

To rivedrò sovente
Le amene piagge,
Dove vivea felice
Quando vivea con te.
METASTASIO, la Partenza.

Błogosław dobrym niebom, jeżeli ich wola
Dała ci żyć pod słodkiem powietrzem Podola,
Jakie miłe życie!
Czego dusza zapragnie, płynie tu obficie.
Ach ile tu powabów, uciech i słodyczy!
Oko ich nie przepatrzy i myśl nie przeliczy.
I starą krwią pradziadów nasiękła ta ziemia,
Duszę, wspomnień tysiącem, dziwi i oniemia.
Pieścidełko natury! gdziekolwiek wzrok spocznie,
Gdziekolwiek myśl zaleci w twoje okolice,
Wszędzie tron jej i ręka jaśnieje widocznie,
Wszędzie odkryte jej lice.

Wspaniała, groźna, świetna, skromna, tęskna, cicha,
Dziwi, wznosi, rozpacza, skarzy się, uśmiecha.
Smotrycz w koło oblewa czoło strojne w wieniec;
Jest to czoło opoki co dźwiga Kamieniec,
I Kamieniec poziera spyszna w koło siebie,
Jak księżyc w srebrnym szranku, gdy idzie po niebie.
Orłem bydź, lub mieć trzeba skrzydło myśli chyże,
By wzlecić z dna tych jarów między owe krzyże:
Wiatr im stopy całuje, chmury spodem cieką,
I do nieba już od nich ma bydź nie daleko.
Wnet co im rej wiedzie, dumnie śród nich sterczy:
Stąd, za dni poniżenia, obcy głos bluźnierczy,
Niewierne na modlitwy przywołując zgraje,
Rozbudzał po urwiskach zadrzymane gaje.
Lecz ty, Panno przeczysta! zwróciłaś zrzenice,
I padły u nóg twoich dwurogie księżyce;
Oczyszczone ołtarze zabrane twej cześci,
Ucichły ludów twoich jęki i boleści,
I do dziś, na księżycu, wzniesiona nad niemi,
Losom naszym panujesz, gwiazdo naszej ziemi.

Jaka przestrzeń stąd widna! Nie znaleśdź granicy,
Ni lotom wyobraźni, ni biegom zrzenicy;
Tak się ćmi na przyszłości tęskny odłóg życia,
Różnowzory, czy jeden, zawsze do przebycia:
Łąka — to naszych uciech i radości łąka,
Strumień — to po niej strumień łez się naszych błąka,
Światło — to gwiazdka marzeń kołysze nadzieje,
Widokrąg — to dni naszych blada wieczność dnieje;
Dalej — ślepnie wzrok ziemski otrętwiały w rzucie:
Bór tajemnic, zaporą — a wzrokiem przeczucie!

Królowo Miodoboru, witaj Tołtro łysa!
Na wierzch jej wbiegło słońce i na nim zawisa:
A tam, po drugiej stronie, długie cieniów kosy
Obronnym kryją płaszczem krople rannej rosy.
Radeby ją co rychlej przemieniło w parę,
I z pierwiastków jej tchnienia widziało ofiarę.

Gniewa się niecierpliwe, bo zaskalne bory
Młody świt tam kołyszą, choć tu dzień już spory.
Lecz skała ciekawości rzuciła wędzidła,
Bo przyrzekła, pod cieniem łaskawego skrzydła,
Snadź pomna, że hołd czołem uderzają przed nią,
Chronić bliższych okolic równinę sąsiednią.
I tak, gdzie tylko słońce chciwe zwróci oczy,
Nigdy razem obojej nie zajrzy uboczy,
Bo wieczną z niem przekorą Tołtra walki toczy.
Czy na skałę ladawską, gdzie się orły lęgną,
Wywieśdź zdołasz spojrzenia, to tam i ostrzęgną;
Bo jej szczyt, utoniony w wysokim obłoku,
Zgubą grozi chcącemu spłynąć na dół oku.

Czy chcesz świadka chwil owych, kiedy Bóg się gniewał,
I winny ród człowieka potopem zalewał?
Chodź, gdzie barki olbrzymie wydźwiga Otroków,
I uderz kornem czołem przed arką wyroków!
Te bryły połamane, te chrome ich składy,
Świadczą drugich żywiołów na ziemię napady.
To pomniki zniszczenia, to ciężkich kar ślady.

Dziwne są onych czasów i straszliwe dzieje:
Przeszły, a myśl nad niemi jeszcze się dumieje!
Świat był dziełem miłości, lecz zbrodni pożoga
Pustoszyła przekorą piękne dzieło Boga;
I ludzie, cnot odstępcy, a w złościach zaciekli,
Dobrodziejstwa wzgardzili, i twórcy się zrzekli.
Toż, silną dłonią party, grom po gromie runął,
I niebieskich upustów zapory rozsunął,
I przez pękłe na dwoje owe sine stropy,
Czterdzieści dni i nocy szły na świat potopy.
Próżnobyś okiem wodził po ziemnej siedzibie:
Kromia klęsk i zagłady nic tam nie nadybie;
Nic tam nakazanemu nie uszło zniszczeniu,
I kamień się nie ostał nigdzie na kamieniu.

Aż Bóg, ulitowany, gniewom kres położył,
Wionął tchnieniem wszechmocnem i świat znowu ożył.
Lecz te niezgrabne jary, te olbrzymie góry,
Świadki wieków odciekłych, przybytki natury,
Zapomnianego świata ochronione szczątki,
Wiekom naszym zostały dla groźnej pamiątki.
I nas tu zabrakuje — i nasze imiona,
I tysiąc późnych plemion w ich obliczu skona,
One jak trwały pierwej, tak postacią swoją
Do strasznej chwili sądu nietknięte dostoją.

Może tęsknisz nad Dniestrem, a szczęścia ci trzeba?
To chodź w słodsze ustronia pod weselsze nieba,
Gdzie natura nie taka, lecz skromna i cicha
Rozjaśnionem obliczem sercu się uśmiecha:
Chodź nad Bohu wybrzeża; tam jasno i pięknie,
Tam cię wszystko zachwyci, a nic nie przelęknie.
Lub jeźli strumień szczęścia już upłynął tobie,
I pamięć sercu cięży jak kamień na grobie,
A z kochanej przeszłości, jako gwiazdka blada,
Promień wspomnień odbity na serce upada,
I budzi w niem żal spiący mignionemi blaski,
To chodź nad Pięciostawek, w tak znane mi laski!
Dość tu znajdziesz cyprysów, tęskne czoło umaj,
I o raju prześnionym kilka chwil podumaj.
Może obraz słodyczy wydartych zawiśnie
Niespodzianem światełkiem przed duszą ci błyśnie,
I ujrzysz, odrodzony, w twojej myśli zwrocie,
Dawnych chwil, dawnych uczuć zmartwychwstałe krocie,
I widok młodocianych twej wiosny uniesień,
Rozwidni ci uśmiechem serca twego jesień.
Miejsce to szczęściu sprzyja, i szczęściu przysłało.
Przecież uśmiech tu rzadki, i szczęścia tu mało!
A było go tak wiele! — lecz tchnienie utraty
Czarnym kirem owiało najpiękniejsze kwiaty.
Pokój wam, miejsca drogie! i wdzięczność wam tkliwa!

O, często was tu zwiedzi dusza wam życzliwa,
Waszych pociech niesyta, waszych natchnień chciwa!
Może chwile weselsze zegar losu wytnie,
I kwiatem radośniejszym życie wam zakwitnie,
I dawno odpłynione wrócą znowu zdroje:
Miejsca lube! Bóg z wami i życzenia moje!

Próżnobyś tej natury przekreślać chciał wdzięki;
Pióro pada nieśmiałe z niedołężnej ręki.
Ona piękna i żyje! a podobnaż szczerze
Oddać ją w tej postaci na martwym papierze?
Nie! inna będzie w twojej, inna w własnej szacie,
Tak jak obraz kochanki po kochanki stracie;
Chociaż rysy te same, te same odbicia,
Nie tak sercu przypada — brak tchnienia, brak życia.
Lecz więcej, jak doliny, lasy, pola, wzgórki,
Zachwycają Podola niezrównane córki!
Tylą złudzeń dwojona, nie wie twoja wola,
Czy bić czołem naturze, czy córkom Podola?
Bo zdaje się, przymierzem sprzysięgły się z sobą,
Być wzajemnem swych czarów wsparciem i ozdobą!
Piękna jest podolskiego nieba okolica,
Bo ją kraszą różane Podolanek lica;
I słońce nad Podolem jaśniejsze się toczy,
Bo mu blasku dodają Podolanek oczy.

I czy w nieba naszego wzrok utopisz licu,
Czy w naszego słońca stoku,
Czy w naszym cichym księżycu;
Nię trudź powtórnie wzroku:

Znajdziesz ten wdzięk potrójny w jednem pięknem oku;
A jeżeliś był dotąd serca twego panem,
Tu przyjdź — zadrzysz i dumnem uderzysz kolanem.
I jam niegdyś w swobodzie słodkie śpiewał hymny,
Skamieniały na wdzięki, sercem jak lód zimny;
Jeden uśmiech podolski, jeden polot oka! —
I spadłem aż na ziemię, strącony z wysoka.

Co? ja spadłem? o! raczej, gdyby nie to oko,
Byłżebym się od ziemi odbił tak wysoko?
Byłżebym rozkosz życia pojąć kiedy zdołał,
Gdyby mię głos anioła z grobu nie wywołał?
Zmartwychwstały jej tchnieniem, oddycham swobodniej,
I szczęście, choć raz znane, darem było od niej!

CZĘŚĆ DRUGA.

WESELE GMINNE PODOLSKIE.

U nas to, na Podolu, młode dni porywcze,
Płyną wesoło i słodko,
Gdyby róża każde dziewcze,
Każdy chłopiec gdyby złotko!

A ważto Roksolanka,
Co to całym trzęsła wschodem?
Była nasza, Podolanka,
Z Czemerowiec rodem. [1]
I musiała zapewne piękną być dziewczyną,
Kiedy, podbity blaskiem jej lica,
Tron jej oddał i pił wino
Dumny synowiec księżyca.
Zawsze dobra, zawsze skromna,
Zawsze hoża, miła,
Drogich pól ojczystych pomna;
Tylekroć wymierzony na nie cios odbiła.

[1] Roksolana, żona Solimana, padyszacha tureckiego, podług tradycyi miejscowej miała być córką parocha z miasteczka Czemerowiec, nazwiskiem Lisowskiego. — Wiele narodów upomina się o nią, wiele miejsc przyznaje ją sobie; że była poddanką Polski, dowodem tego są listy Solimana do Zygmunta Starego. — Naznaczają historycy za miejsce jej urodzenia Rohatyn, na Rusi Czerwonej; nie przeciwiąc się zwyczajnym mniemaniom, tradycyą umieszczam dla tego tylko, że istnieje na Podolu. —

Znają ramie naszych chłopców
Dumne karki Perekopców;
Zna Wołoch i Turki;
Który tylko wkroczył,
Nasze pola, nasze wzgórki,
Krwią niewierną zbroczył,
I nie mocen do dom wrócić,
W więzach lub mogile gnije.
O! z nimi nie ma czasu długo bałamucić,
Ich miecz nie na żarty bije!
Niezaznany z miękkim puchem,
Każdy wzrastał pod pancerzem,
Każdy ramieniem i duchem,
Nie z nazwiska jest rycerzem.

Konik wrony, wąs w górę, długa w ręku spisa,
Czapka na bakier, przy boku
Szczęka pałasz, kańczuk zwisa,
A grom gore w oku!
Widząc tę postać rubaszną,
I w oczy jej spojrzyć straszno,
A cóż dostać kroku!

Pewno na widok pohańca,
Ich twarze nie zbledną,
Iśdź za Dunaj, lub do tańca,
To im wszystko jedno!
Ale po wojennych gromach,
Kiedy wrogów zbiją,
Obacz no ich w własnych domach,
Jak bili, tak hulają, kochają i piją!

Krążą stare miodu flaszki,
Brzmią poskoczne czabaraszki,[1]
A gdy ruszą pary hoże,
Czarka w czarkę szczęknie,

[1] Czabaraszka, szumka, są to wesołe śpiewki ludu podolskiego.

Ha mój miły, słodki Boże!
To aż spojrzyć pięknie!

Teraz pora pokoju. Jeżeliś ciekawy,
Chodź, to ujrzysz ich zabawy,
Właśnie w naszem siele
Dzisiaj jest wesele.
Pan wójt wydają córkę. — Piękna panna młoda,
Jej oko gdyby słońce, lice jak pogoda,
Jak topola wyniosła, jak trzcina powiewna;
Ale czemuż w jej oku łezka stoi rzewna?
A z za łezki twarz młodzieńcza
Takim blaskiem świeci,
Jak majowa młoda tęcza,
Kiedy z nieba deszczyk leci. —
Czegóż to Zosia płacze? czy rodzinnej chatki,
Którą rzucić potrzeba, czy ojca, czy matki?
Ach! żal i rodzinnej chatki,
Żal i ojca, żal i matki,
Ale żal nadewszystko zabaw rówienniczych,
I wieńca różanego i chwilek dziewiczych. —
Nie od dzisiaj to Zosi Artem się zalecał,
Rok drugi, jak ją kocha, jak ją wziąść obiecał,
Lecz to Turek niechrzczony, to Tatarzyn wściekły,
To tysiączne zawady szczęście ich przewlekły.
Artem walczył, a Zosia tęskniła dwa lata,
Jednak była mu wierna, zastał ją tę samę;
A choć przyniośł od bułata
Na pamiątkę przez twarz szramę,
I rękę zdruzgotaną od tureckiej kuli,
Ona zawsze była stała,
Tem bardziej go pokochała,
Tem tkliwej i czulej.

Raz wieczorem dziewczęta postrojone w kwiatki
Wytraczały ręczniki u blizkiej sąsiadki,
I Zosia była z niemi — wtem od matki posły
Weszły i taką Zosi wiadomość przyniosły:

Wracaj doniu do domu, bo masz w domu goście,
Starostowie Artema przybyli z darami.
«— Ach biednaż moja główko! przyjmujcie ich sami,
Uprzejmie poczęstujcie i siedzieć poproście,
Dajcie potem ręczniczek każdemu staroście,
Im ręczniczki, chusteczkę dajcie Artemowi,
I niechaj idą z Bogiem, niechaj będą zdrowi.»

Wczoraj były wytroczki z dzisiejszą Sobotą,
Pannie młodej pod wieniec warkocze rozplotą. —
Starsza drużka z urzędu, strojna w postać posła,
Miła, piękna, nieśmiała, taki głos podniosła:

«Dobry Panie starosto! byliście łaskawi
Pozwolić jeść, pić, hulać, wesoło się bawić,
Raczcież naszym rozplatkom teraz błogosławić.»
A pan starosta odparł: niech Bóg błogosławi.
Potem do pana ojca i do pani matki
Poszła błogosławieństwa prosić na rozplatki,
«Panie ojcze i matko! byliście łaskawi
Pozwolić jeść, pić, hulać, wesoło się bawić,
Raczcież naszym rozplatkom teraz błogosławić.»

A pan wójt rozczulony i pani wójtowa
Co serce powiedziało, przekazali w słowa:
Niech Bóg, niech Bóg błogosławi.

Piękna była Zosi kosa!
A po giętkiej postaci, przy błękitnem oku,
Upływała czarownie, jak gdy przez niebiosa
Płynie promień po obłoku.
Trzeba się z nią pożegnać; bo to jasne złoto
Wkrótce pod wieniec rozplotą.
Przybliżył się starszy brat, a przybliżył po nią,
Wywiązał z niej kośniki[1] przychylną jej dłonią,
Zbliżyły się dziewczęta, a zbliżyły po nią

[1] Wstążki wplatające się w kosę. —

I rozplatać poczęły sprzyjającą dłonią.
A smucąc wspomnieniami, to ciesząc nadzieją,
Weselne jej pieśni pieją:

«Masz teraz Zosiu za swoje,
Żeś plotła kosę we troje,
Drugi raz zapleć w drobnice,
To nie rozplotą siostrzyce. —»

«Leciały gęsi na wody
Puściły piórka na rzeki,
Żegnajcie chwile swobody!
Rozpleciona jasna kosa na wieki.»

Gdzież wy chwilki dziewicze? przebiegły jak we śnie!
Ujrzeć nagle taką zmianę;
Szczęście niemięszane, czyste,
Pewne, miane, rzeczywiste,
Mieniać na przyobiecane,
Ach to musi być boleśnie!
Już ten krzyżasty barwinek,
Co się z takim urokiem po jej główce ściele,
Ostatniej to radości może upominek,
Na sobotę i niedzielę. —

Bo rano w poniedziałek poważne rantuchy,
Innym wdziękiem okryją piękną skroń i lica:
A barwinek zwiędły, suchy,
Ledwo mignie wspomnieniem, żeś była dziewica.

Lecz jeźli w młodem sercu, którem miłość chwieje,
Choć spełnione życzenia, doścignie nadzieje,
Choć wszystkim drogim chęciom już się staje zadość,
I okiem niecierpliwem cicha płacze radość,
Jednak widok przyszłości niezaznanej jeszcze;
Budzi trwożnej obawy uczucia przedwieszcze;

Jakaż trwoga zaiste sercem matki chwieje,
Gdy ozdobę przeszłości, przyszłości nadzieję,

Gdy tę, nad której niegdyś nuciła kołyską,
Zawsze oku obecną, zawsze myśli bliską,
Córkę, cel ulubiony, nieodstępny sercu,
Ujrzeć ma niezadługo na ślubnym kobiercu
A potem oddaloną od oka, od chatki
Oddać pod władzę cudzej, Bóg wie jakiej matki,
Przyszłych losów niepewną, nieświadomą doli;
Serce matki mieć trzeba, by znać jak to boli!

I w chwili błogosławieństw, gdy jej dusza tkliwa
Cała się we łzę przelewa,
A usta zamilknione radością i trwogą,
«Niech cię Bóg błogosławi!» ledwo wyrzec mogą,
Chwila ta uroczysta! wymowne te słowa!
Na Boga zdała jej losy,
O! bo życzeń jej serca żadna ziemska mowa,
Żadne mi powiedzą głosy!

Świeci wieniec weselny na śnieżystem czole,
Świeży, wonny, majowy, piękny jak Podole!
O! miło, miło widzieć, kiedy skroń młodzieńcza,
Którą kwiatek nadziei, i szczęścia uwieńcza,
W chwili przemiany losu, w tej stanowczej chwili,
Pod stopy rodzicielskie z pokorą się chyli!
Piękna Zosia naprzemian rumiana, to zbladła,
Potrzykroć do nóg ojcu i matce upadła.
A w około drużki hoże,
Głos i serca wiążąc w chory,
Pieją wdzięczną pieśń pokory:

«Błogosławcie w imię Boże,
Święconą wodą, chlebem i solą,
Dobrą godziną, szczęśliwą dolą.
Niech cię Bóg błogosławi moja panna młoda!
Bądź bogata jak ziemia, a zdrowa jak woda,
«To życzenie twojej matki!»
I wzięła za chusteczkę i wywiodła z chatki,

I wodą naczerpaną z krzyża na trzy Króle [1]
Pokropiła, i poszły pożegnane czule.
Poszły z chatki do chatki prosić na wesele,
Prosić błogosławieństwa — Zosia by w tej chwili
Chciała, aby jej wszyscy najżyczliwsi byli. —
Niech się cieszą przyjaciele,
Niech przebaczą niechętni, jeźli jacy byli,
Lecz widząc piękne czoło, co się kornie chyli,
I błogosławieństwa prosi,
Ach! któżby, któżby w tej chwili
Nie przebaczył, nie westchnął, i nie kochał Zosi?

Gdzież się dziewa pan młody? Jedzie na koniku

Przy szabelce, w czekmaniku,
A przez ramie szarfa złota,
Pięknych rączek to robota!
Krymka na bok, przy niej kwiatek,
Drogiej rączki drogi datek!
Barwinek to pozłocisty. —
Oko czarne, dumne duże,
Twarz rumiana, gdyby róże,
A przy niej wąs zawiesisty.
Z bojarami, na ich czele,
Jedzie prosić na wesele.
Całą głową nad nich wzniesion,
Jak wśród krzaków hoży jesion.
Wojna, bili wraz żelazem —
Nastąpiły cisze,
Bracia broni, dzisiaj razem,
Są radości towarzysze.

[1] Na Święto trzech Królów zbiera się w każdej wsi gromada na staw, wyrąbuje się na lodzie krzyż, ksiądz poświęca wodę, a wszyscy czerpią z Krzyża już poświęconą i zachowują w domach do drugich trzech królów na przypadek potrzeby. — Uroczystość ta zowie się Jordanem, bez wątpienia dla tego, iż pierwszy raz poświęcona woda Jordanu miała moc mazania grzechu pierworodnego. — Mniemanie ludzi jest takie, że po oświęceniu wody wszystkie złe duchy uciekają z niej na lasy i jary, i dopiero za pierwszem uderzeniem pralnika przy praniu bielizny, wracają do niej napowrót.

Każdy, co Bóg da, spokojny.
Od pałasza do kochanki,
Od kochanki do hulanki,
Od hulanki znów do wojny.

Już też we wsi ognie gorą,
I na niebie miesiąc świeci,
Uwijaj się matko skoro,
Powracają twoje dzieci.
Prześlicznie się uwijały,
Już całą wieś zwojowały.
«Wyjdź, wyjdź matko przeciw nas
Wyjdź z chlebem i solą,
Błogosław nam w Boży czas,
Dobrą godziną i szczęśliwą dolą.»

Odpocznijcie sobie dziatki,
Korowajny obrządek nadchodzi koleją,
Hoże swaszki i mężatki,
Swoje robią, swoje pieją:
«Świeć, świeć, miesiącu z raju,
Świeć, za chmury się nie chowaj,
Świeć naszemu korowaju,
Dla Zosi robim korowaj.
Dość pszenico! złotym kłosem
Już się więcej w stóg nie chowaj,
Rozraduj się lepszym losem,
Pójdziesz Zosi na korowaj.
Nie z Dunaju, to z krynicy,
Ale na dno się nie chowaj,
Czerpnięta ręką siostrzycy,
Pójdziesz Zosi na korowaj.»

«Trójca po cerkwi chodziła,
Zbawcę za rączkę wodziła;
Chodź do nas, chodź zbawicielu,
Radość u nas na weselu.

«Kupcy na cześć i chwałę z dalekiego kraju,
Złote szyszki przywieźli nam do korowaju.»

Matka wodę podała i biały ręczniczek
Na umycie rąk białych dla korowajniczek,
Umywają i siebie i kto tylko blizki,
I całują i darzą czułemi uściski.

Kończyć pocałowaniem rozpoczęte dzieło
To mi chwalebne zwyczaje!
Serce tak do nich przylgnęło!
Bogdaj to całe życie robić korowaje!

Zastawiona wieczerza — rozliczne przyjęcia,
Wszystkiego podostatkiem, brak nam pana zięcia,
Lecz i on niecierpliwy na czele swej rzeszy
Wkrótce tu do nich pospieszy;
Drużki pieśń rozpoczęły, lecz ją po połowie,
Pewno przerwą bojarowie.
Ale cyt! za wrotami słyszno jakieś gwary,
Pan młody i ochocze przybyły bojary.
A każdy na koniku gdyby gwiazdka żywa,
Jasnem złotem połyskiwa.
Jakie rzędy i czapraki!
Perły, sobole, tumaki
Jak bogato! przepych jaki!

Lecz czemuż nie zsiadają z koni do tej pory?
Rosa twarze przypada, i wilży ubiory;
I nie zsiądą dopóty, póki matka Zosi
Nie wyjdzie i do chatki pięknie nie poprosi,
Bo godzien takiej cześci ich ród i odwaga,
Zresztą, tak być powinno, bo tak tryb wymaga.

I wyszła pani matka z uśmiechem na twarzy,
«Witaj kochany zięciu — witajcie bojarzy,
Prosim, prosim waszeciów, co ma chatka nasza,
Na to was chęć życzliwa uprzejmie zaprasza.»

Wszedł pan młody — skłonił się, jak głową najwyższy,
Tak poczesnym ukłonem od każdego niższy.
Skłonili się drużbowie — Pan Starosta stary,
Poświęca pannie młodej od młodego dary.
Dzban miodu — i czerwonych bucików dwie pary;
Jedna na ślub dla Zosi, a druga dla matki;
Z pod złotego nakrycia z srebrnego talerza
Patrzące dwa kołacze — dla Zosi wieczerza;
Otóż i wszystkie ich datki.

Nie tak rzecz ma się tutaj — bo u Zosi stołu
I gości co niemiara i przyjęć dostatkiem,
Na czterech świeci końcach z domowego wołu
Suta pieczeń hussarska z pozłocistym kwiatkiem.

Wszystko korzenno, szafranno,
I do smaku i do syta,
A dla ciebie moja panno!
Ślubny marcypan zakwita.
Jasny złotem, jak korona,
I słodyczami osypan;
Piękny słodki, ale ona
Nad marcypany, marcypan!
Trwa biesiada, brzmią puhary,
Pieją drużki i bojary
Poszły z trzaskiem butlom szyje,
Radość, radość serca żywi,
I weseli i szczęśliwi.
Przepadł! kto nie pije.
Pijmy bracia, póki czas,
Zaczem sława wezwie nas!

I.

Napełniajcie winem czasze
Ojcze! matko! zdrowie wasze!
Krzyknij każdy, ktoś jest synem,
Niechaj żyją w długi czas!
Napełniajcie czasze winem

Różanemi zdobne wianki,
Każdy zdrowie swej kochanki!
Kto jej nie ma, nie wart żyć,
Nie wart bratem naszym być,
Kto jej nie ma, nie wart pić!
Chylcie bracia czasze do dna,
Tam na dole myśl swobodna.
Zdrowie wszystkich nas
W nieprzeżyty czas!

II.

Darze Boski!
Wino!
Przed twą potęgą troski
Giną!

Już nam spadły z rąk łańcuchy,
Rodzinne wieją sztandary,
Złączmy ręce — wznieśmy duchy,
Napełnijmy czary!
Dalej bracia pod sztandary!
W ręce z czarą, w drugiej z mieczem,
Wszystko zbijem, zniesiem, zsieczem! —

III.

Gdzież są te groźne szeregi?
Próżno powodzę oczyma.
Puste pola, puste brzegi
I śladu ich nie ma! —

Leżą tylko martwe kupy,
Szczątki olbrzymich zastępów,
Rwą ich niewolnicze trupy
Zgraje psów i sępów.

Dalej bracia w ręce czasze!
Złóżcie hełmy i pałasze,

I dzid nieprzeparty las!
Już odbite ziemie nasze,
Zdrowie naszych szyków!
Zdrowie wszystkich nas!
Pamięć padłych wojowników!
Hańba pierzchłych niewolników!
W nieprzeżyty czas!!! —

IV.

Piękne, drogie Podolanki!
Lube nas połowy!
Rwijcie mirty, wijcie wianki,
Wieńczcie czasze głowy!
Sławie wierni, dla was stali,
Walcząc za kraju swobody,
Długośmy krew naszą lali,
Dziś przychodzim po nagrody!

Słodkie blizny
Dla Ojczyzny,
Słodka śmierć w obronie was!
Napełnijcież winem czasze,
Nasze bóstwa: Zdrowie wasze!
W nieprzeżyty czas!!! —

V.

Już ucichły gromy krwawe,
Mamy pokój, mamy sławę,
Możnaż dzisiaj nie pić!!! —

Dalej — pod rószczki oliwne!
Chodźmy słodkie i ożywne
Winogrona szczepić.

Już nam Turki ich nie wytną,
Drżą Turki na widok nas,
Niech nam stadem szczęściem kwitną
W nieprzeżyty czas!!! —

VI.

Rosną wina, pokój świeci,
Milczą świsty kul,
Jednej matki zgodne dzieci!
Niech żyje nasz król!

Ilu synów, tyle czasz!
Wychylajcie do dna!
Nasza Matka już swobodna,
Niechaj żyje Ojciec nasz!

Zdrowie Ojca! wszystkich nas!
Niechaj świat zadziwia,
Niech nas uszczęśliwia
W nieprzeżyty czas!!! —

VII.

Komu uśmiechnie się pięknie
Dziewczę gdyby róża,
Ten tysiąców się nie zlęknie,
I piekłu poduża.

Nie dla was ten uśmiech słodki
Nikczemne wyrodki!
Co na odgłos szczęku stali
Jak sarnyście uciekali.

Niewieściuchu! na złość lichu
Winem chcesz się opić?
I w stogarncowych kielichu
Hańby nie utopić!

Nie wygonisz smutku z łona,
Ni go zdołasz winem zalać,
Bo prawda nie przekupiona
Będzie ci oczy wykalać.

VIII.

Jeszcze jeden kielich bratni:
Jedności i zgody,
Pokoju, swobody,
Kielich przedostatni!

Niechaj cnota w każdej chwili
Wspiera nas i rzeźwi,
Dopóki z nią będziem pili,
Zawsze będziem trzeźwi.

I gdy długie lata miną,
W jej cieniu obrończym,
Kochając i pijąc wino
Błogie życie skończym!!! —

Piją, pieją, radość żywa
Brzmi w sercach i pieniach;
Lecz cyt! skrzypeczka wrzaskliwa
Szczebioce już w sieniach.

I cymbały brzęczą już,
I skrzypka przygrywa,
A bas w ład im tuż, tuż, tuż,
Wtórem pomrukiwa.

Panie wójcie!
Nie żartujcie;
Każcie zbierać stoły;
Państwo młodzi, drużby, drużki
Niechaj niecierpliwe nóżki
Puszczą w skok wesoły.

Służba miejsca uprząta, a cała gromada,
Jak komu cześć i godność w około zasiada.
Na osłonach, za stołem, przy nadpitej czarce,
Dawnych chwil wspomnieniami weselą się starce,
Chwil, co tak do wieczności zapłynęły prędko
Budzą śpiące wspomnienia przewlokłą gawędką.

Na osłonach, po za stołem,
Przystarsze panie matki zasiadły półkołem,
Ich czoła postrojone w świąteczne namitki,
Swiadczą, że czas złośliwe porobił im zbytki;
I uśmiech, starodawnych tryumfów oznaka,
Z rowka w rowek wesoło jak konik przeskaka;
A twarze z pod uśmiechu tak im patrzą, niby
Jak w grudniu z popod śniegu odsłonione skiby;
Ale to nic nie wadzi, — klaszczą w dłoń radośną,
Przyśpiewując — jak Bóg dał — lecz szczerze i głośno;
Bo czas zawsze złośliwy — skąd może, uszczypnie,
Głos, jak dzwonek za młodu, patrz! na starość chrypnie.
Brwie niegdyś za chwil dawnych nakształt kruczych piórek,
Biegły po jasnem czole jak jedwabny sznurek,
Dziś, jak bór, zadumane nad oczami wiszą,
A wiatry siwym wierzchem zlekka im kołyszą;
Oko, to jasne słońce za swojego czasu,
Wygląda z głębi głowy przez brwie jak z za lasu,
Lecz dziś bliżej chcąc widzieć uroczyste gody,
Wyjść raczyło z kryjówek bliżej nad jagody.

Tymczasem od jednego do drugiego kąta,
Poważny pan starosta zwija się i krząta.
Jak raz na gospodarza! bo choć krzyżyk szósty,
Myśl mu zawsze młodzieńcza — wesoły i pusty.
To mrugnie, to coś szepnie, to coś tam przypowie,
Bywalec i lis szczwany, widno to po mowie.
Niegdyś dworsko sługiwał, głowa jemu łysa,
Wąs jeden poszedł w górę, drugi na dół zwisa.
Bo w takiem zamięszaniu, przy takim nieładzie,
Na weselu, na biesiadzie,
Pośród szczęku butelek i śpiewów hałasu,
Nawet wąsa poprawić nie ma z lichem czasu.

Już gotowa do tańca stoi młodzież dziarska,
Z jednej strony dziewicza, a z drugiej bojarska.
Tamtym Zosia na czele, tym przewodzi Artem,
Pierwszy bić, pić i hulać, i kocha nie żartem.

Raz, dwa, trzy — raz, dwa, trzy, skrzypeczka szczebiocze,
Raz, dwa, trzy — biją w ład podkówki ochocze.
Szumka brzmi, szumka brzmi rachowana na trzy,
Czule dłoń ściska dłoń, oko w oko patrzy,
Z jasnych kos srebrny włos waha się po szacie,
Gdyby wpław, płyną wład powiewne postacie.

Jak kiedy lekka chmurka wbieży na niebiosy,
Tak po białych czekmankach rozmajone kosy
Unoszą się, migocą, i czarowną władzą
Zda się, że lekki deszczyk wkrótce naprowadzą;
Lecz białe rączki drużek pierścionkami błysły,
I chmurki rozjaśnione przed ich światłem prysły.
I bojarskie opończe wpatrzonemu oku
Zda się, jak noc tańcują przy białym obłoku;
Aż się ćmi — tylko czekasz rychło nad płaszczyzną
Zetrą się, i na ziemię rzęsnym deszczem bryzną.
Lecz przy bokach bojarskich jasne szable błysły,
I przed ich błyskawicą chmury się rozprysły.

Szumka, czarka, krąży w kolej,
Słyszno tylko: hulaj! dolej!
Przylej luba! jeszcze przylej!
Z twoich rączek będzie milej! —

Nie zmrużyły się zrzenice,
Szybko zbiegła pora,
Szumką przemknęli granice
Między dziś i wczora!
A lipcowe — krótkie noce —
Wczora już utonęło w sobotniej pomroce;
Dzwon niedzielny dzwoni — cyt!
Przez okienka zajrzał świt.

Lube dziewczątka! wy wiecie,
Ach! my także znamy,
Jak to boli, gdy o świcie
Z biesiad wywożą was Mamy.

Pomnę huczną biesiadę — wiecznie mi pamiętna!
Moja luba była na niej!
Pocożeś błysła wtedy gwiazdo dnia natrętna?

Błysłaś niż zazwyczaj, raniej!
Zapewne szczęście moje ze snu cię wybiło;
Zajrzałaś przez okienka zrzenicą niemiłą,
I zamilkł skoczny mazur — i twe światło dzienne
Oświeciło jej oczy przez połowę senne.

«Już dzień, rzekła, mój luby! — a nim się spostrzegła,
Tak wesoło, tak słodko noc dzisiejsza zbiegła!
Bądź zdrów! — Mama już czeka; — bądź zdrów! do widzenia!»
I raz jeszcze zwróciła anielskie spójrzenia.
«Do widzenia raz jeszcze!» i w mglistem zamroczu,
Jak sen słodki znikła z oczu.

Dotąd błędna myśl moja w ślady jej ulata,
Czemuż noc tu nie trwała do skończenia świata?
To tak przykro, boleśnie, żegnać się o świcie
Jak rzucać dla mogiły lube jeszcze życie;
Wy to lube dziewczątka równie jak ja wiecie! —

Już dzień spory na niebie — jego światło nowe,
Z Tołtry, co nad Nihinem dumnie się wystercza,
Przebieżało Derenowę,
I czule powitało złote krzyże Czercza.

Kościoł już otworzony, i dzwonek z kościoła
Zgromadza na cześć Bożą okoliczne sioła;
I dusza, jak głos jego, myślą uroczystą
Odlata gdzieś nad ziemię, w krainę ojczystą.
I weselna biesiada ucichła z poraniem,
Przeminęło jej szczęście, tylko tęskno za niem,
I Zosia poniewolnie we łzach oko pławi,
I matka ze łzą w oku Zosię błogosławi.
Zorzą ją opasała, w księżyc ogrodziła,
I do ślubu wyprawiła.

Pojechali do ślubu w weselnych okrzykach,
Pan młody i drużbowie przodem na koníkach,
Dalej cała drużyna, dalej panna młoda,
Wśród drużek, w ślubnym wieńcu, piękna jak pogoda,
I głosem łagodniejszym niż przy brzęku czasz,
I z korniejszem czołem,
Pieją przed kościołem:

Księże! Księże! ojcze nasz!
Otwórz cerkiew przeciw nas,
Wieńczaj dziatki,
Jedno — latki,
W Boży czas.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KLĘSKI PODOLA.

Tam ujrzy bronie stare, co zardzałe leżą,
I kości, co nie wiedzieć do kogo należą.

ANTONI MALCZEWSKI.

Smotrycz jak wąż się wije — nad nim skała duża,
A spodem się barwinek ściele u podnóża.
Ty tutaj, miły kwiatku? w tem ustroniu dzikiem.
Między szantą, pokrzywą, tarnem i baźnikiem? —
Ten, kto cię tu posadził, z nieludzką był duszą,
Tu cię chwasty złośliwe przyćmią i zagłuszą;
Te łakome czersaki z wyciągnioną szyją,
Rosę ci przeznaczoną przejmą i wypiją;
A przez ten gorzki łopuch, co nad tobą władnie,
Nigdy ci promień słońca na twarz nie upadnie.
Darmo czułe ramiona w około rozścielasz,
I ślubnym twoim listkiem każdy krzew obdzielasz,
Darmo! tu cię niewdzięcznie głóg porani nagi,
Ni się komu krzywd ująć, ni pomścić zniewagi,
Ty słaby, ty nieśmiały, toż jak i na świecie,
Nikt cię nie pożałuje, a każdy przygniecie.

Żal mi cię miły kwiatku! tobie cel był inny,
Młode czoła ozdabiać, nie ten brzeg dolinny,
Jaśnieć wróżbą nadziei u weselnych wieńców,
Lub złocony połyskać na czapkach młodzieńców.

A tu kwitniesz nieznany, wszystkim oczom obcy,
Ni cię młode dziewczęta, ni raźni parobcy
Wynajdą do ślubnego zapleść upominku,
Żal mi cię biedny kwiatku! żal miły barwinku!

Ja cię z tych miejsc odludnych w weselsze przeniosę,
Gdzie pić nie odkradaną codzień będziesz rosę;
Moją ręką pieszczony rozrośniesz się bujnie,
Tkliwie cię pielęgnować i strzedz będę czujnie;
A czej też choć przez wdzięczność twój listek młodzieńczy,
Białą kiedyś czapeczkę przyjaźnie uwieńczy;
Wtedybym cię ukochał i uczcił podwójnie!
«Nie tykaj się tych kwiatów!» jakiś głos nieznany
Zawołał niewidzianie z zabliskich gór ściany, —
«Wyższa je, niżli twoja, opatruje władza,
«I karmi, i napawa, i życiem odradza!»

Cóż to? czy opiekuńcze jakie jenijusze,
Czy tu pokutujące błąkają się dusze?
Czy może wróżbił jaki straszną siłą czarów,
Objął rządy nad państwem tych gór i tych jarów?
To cudy, jakich oczy moje nie widziały,
Strzegą kwiatów zaklętych gadające skały.

Jakiś miły staruszek siedzi na kamieniu,
Uśmiecha się i dziwi mojemu zdumieniu;
Zbliżę ja się do niego, wierny jego radom,
On musi być tych kwiatów tajemnicy świadom;
Pozdrowię go, zapytam, może mi co powie.
Bóg pomóż dobry ojcze! — «Daj wam Boże zdrowie!»
Powiedźcie mi mój ojcze! dla jakiej przyczyny,
Nie wolno się dotykać kwiatów tej doliny?
Czy to zaczarowane, czy święte wybrzeże,
Że je wasza opieka ochrania i strzeże?
«Bolesne ich wywody i wspomnienia srogie!
Powiem ci je pokrótce, powiem, jeźli zmogę;
I ty może słuchając tych kwiatów powieści,
Poświęcisz im westchnienie i łezkę boleści.»

«Jakie dzisiaj Podole, takie było zawsze,
Jemu słońce chętniejsze, i niebo łaskawsze;
Tu i milsze dziewczęta i chłopcy tu żwawsze.
I jak ujrzysz daleko tę przestrzeń błękitną,
Pod jej tchnieniem łagodnem nasze pola kwitną.
Kraj piękny, urodzajny, bogaty i żyzny,
Miły oku, powiewał złotemi płaszczyzny.
Toż przy takim posagu obcym był łakomy,
I postronnej chciwości naprowadzał gromy.
Bezład w środku — a z boku targali go obcy,
I zuchwałe Nahajce, i źli Perekopcy.
I nad wszystkich łakomszy naszych trzód i córek,
Ogniem, mieczem i dżumą krwawy płynął Turek.
A choć miecz polski przeciął niechrzczonych napady,
Zawsze klęsk i zniszczenia pozostały ślady.

Rzuć okiem po równinach, gdzie tamten bór duma,
Tam ziemię grobowcami najeżyła dżuma,
Tam rodów naszych ojce zarazą morową,
Pośród ciężkich boleści nałożyli głową.
Najstraszliwsza to z zagład! aż strach wspomnieć bierze!
Ni ją oręż odwalczy, ni zmiękczą pacierze;
A gdy już w jakiej stronie ulubuje sobie,
Niewstrzymana jak powódź, grób sypie przy grobie!
Chlopcem byłem już sporym, kiedy Bóg gniewliwy,
Zesłał jej czarne widmo na Podolskie niwy;
Wionęło tchem nieczystym, i ta ziemia cała,
Jednym wielkim cmentarzem w godzinie się stała.
Zniszczenie gdzie wzrok zajdzie — zniszczenie do koła!
Zaniechane siedziby, wyumarłe sioła,
Trupy niepogrzebione, a nagie chałupy
Sterczą w pustej dziedzinie jak grobowe słupy,
Nigdzie w niej żywej duszy, nigdzie życia śladu,
Ludzie się rozpierzchnęli po lasach bez ładu.
Ale nic nie pomogły bory i pieczary,
I tam ich wytropiły jadowite mary.
Jak noc przyjdzie, bywało, przed północą jeszcze,
Wiatr jęknie, bór się wzdrygnie, wstrząśnie, zaszeleszcze;

I znowu chwila ciszy — i patrz! oczewiście
Uleżałe na ziemi podnosi się liście,
I ile go leżało, z pod każdego drzewa,
Tyle się mar widocznie w ciała przyodziewa.
Ciche powstają szmery, i szepty, i śmiechy,
A widok ich zbójecki, zbójeckie oddechy.
Chciwe na cudzą krzywdę i na zgubę cudzą,
Wyją, wyją, aż ze snu głuchą północ zbudzą.
Dopiero pod jej tarczą, z pod jej czarnej gwiazdy
Ciągnie Homen ponury na rzeź i najazdy.
Pieją, skaczą, tańcują, biją w bębny, w kotły,
Rade, że pół już plemion nieszczęsnych wygniotły;
A rade jeszcze bardziej, że skupioną rzeszą
Pozostałą połowę do reszty zgnieść spieszą.
Jeźli dzień je zachwyci, a światła się boją,
Znowu się okrywają postacią nie swoją;
Zarówno niszczyć chciwe zdradą jak grabieżą
Pod setnemi kształtami u nóg twoich leżą.
Skarby widzisz przed sobą — perły i klejnoty,
Patrz! tam pieniądz — tu puhar — a tam pierścień złoty!
Słowem: każdą ci postać chytre widmo uda,
Ale nie ściągaj dłoni — nie bierz, to obłuda;
Do domu przyniesiona w siebie się przerzuci,
Podwieje cię, obali, i życie ukróci.

Słońce tak dziś wesołe, za strasznych dni owych
Takim blaskiem patrzało jak łysk świec grobowych,
I zatrute powietrze płynęło leniwo,
Wszystkiemu ruch i życie wydarło to dziwo;
Pies nigdzie nie zaszczeka, nie zapieją kury,
A straszno! — jakby pogrzeb zbliżał się natury!»

Ojcze! A o barwinku nic mi nie powiecie?

«Prawda! — obłąkałem się — Ależ moje dziecię,
Tyle wspomnień boleśnych w około nas krąży,
Że myśl nigdy od razu do celu nie zdąży;
Zawsze jedna pamiątka tak przetrąca drugą,
Że w pamięci jak w lesie, bić się trzeba długo.

I tutaj, gdzie stoimy — te głębokie jary,
Ten Smotrycz, te bezdroża, i tamte pieczary
Wiele pomną; — nie jedna zniszczenia tu cecha,
Zapytaj! odpowiedzą mówne skał tych echa.
Bo nieraz tu w ich oczach zgubne rykło działo,
I targane powietrze jego rykiem grzmiało;
Nieraz je ze snu, szczękiem wybiły pałasze,
Znają i poniżenie, i nieszczęścia nasze.
Raz — wiele już lat temu, obudzone wrzawą,
Z poza Tolter nihińskich, wstało słońce krwawo,
I mienić się poczęło — to sinie, to zblednie,
Wyroczne to, mój synu, były przepowiednie;
Wszyscy je oglądali wyraźnie i jawnie,
Srogo się wyprawdziły — srogo — i niebawnie.

Było właśnie naówczas w Załuczu wesele,
Ozwał się dzwon niedzielny w Czerczeckim kościele;
Do ślubu wyjeżdżali w weselnych okrzykach
Drużbowie, i pan młody przodem — na konikach;
Dalej, cała drużyna — dalej, panna młoda
Śród drużek, w ślubnym wieńcu, piękna jak pogoda!
Tylko co przed ołtarzem stali oblubieńce,
I ksiądz stułą miał związać złączone już ręce:
«Turcy! Turcy się walą!» wieść jak piorun padła,
I każda twarz żyjąca przestrachem pobladła.
Ratunku, ni ucieczki, ni nadziei nie ma,
Już się rzeź rozpoczęła z tej strony Chocima;
Krwią, ogniem i gruzami już się dymi Zwaniec,
I stepem Orynińskim sypie się pohaniec;
Gdzie kto stał, tam osłupiał — żony, starce, dzieci,
Wszystko to bez pamięci obłąkane leci.
Co tu robić? Co począć? — «Ukryć się w pieczary!»
Zdawna świadom napadów, krzyknął Sotski stary.
«Nieraz już nad Smotryczem wydrążone skały,
W podobnych nam zdarzeniach wybawienie dały;
Trzy są takie pieczary, a każda ochroni,
Zebrać co gdzie jest jadła, napoju, i broni;
Dwie Załuckie dla ludzi — Nihińska dla koni.

Strzegą ich od przyrody sypane okopy;
Nie dość! niechaj na straży silne staną chłopy,
Nijakie tam pohańca nie dowiodą tropy.
Co młodsi, do strzemienia ze spisą i mieczem,
Pójdziem! i w imię Boże ten motłoch przesieczem.
Wszakci to nie raz pierwszy na tych samych stepach
Ostrzęgnie pierś nieczysta na naszych oszczepach;
Wykołujem Ormianki, w czaharach nad Srybrną
Staniem — niech się w nią spuszczą — to już z niej nie wybrną
A choćby na jednego było pięćdziesięciu,
Nie w liczbie nasza wiara, ale w naszem cięciu;
A choć i przyjdzie zginąć — to zginiemy z chwałą,
Za wolność z mieczem w ręku, jak mężom przystało.
Walczyć trzeba — bo nie ma co innego począć,
Gdy tam krwi nie poniesiesz, to tu ją wytocząć;
Toż lepiej paśdź na polu, a paśdź bohatyrem,
Niż tu kark nie wart miecza obciążyć jassyrem!»

Skończył Sotski — i wkrótce na głos jego mowy
Trzysta chłopa stanęło, gdyby las dębowy,
I w gminie ucichł popłoch na głos dobrej rady,
I zbierać się poczęły różnych siół gromady;
A każdy co najdroższe znosił swoje skarby
Na te co wkoło widzisz wystromione garby.

Przyszła chwila rozstania, i pieczary garło
Chętne wsparciu tułaczów szerzej się roztwarło;
I każdy łzą boleści oblewając lice,
Zostałym pożegnania wyciągał prawicę;
Tak dwa dni i dwie noce w rozstąpione skały,
Jedne tłumy po drugich raz-wraz napływały.

Jak las stoją rycerze — dołem — na opoce,
A wiatr im od południa kitkami migoce;
A Podolskiej równiny wychowaniec dziki,
Rwie się rumak gotowy na miecze i piki.
Stary Sotski na czele — choć włos bieli zima,
Lecz bije za dziesięciu i żartów z nim nie ma.

«Dalej dzieci w Boży czas! Bóg nam stanie tarczą,
A Podolskie ramiona za resztę wystarczą;
Słyszno że pan Chodkiewicz w kilkanaście mieczy,
Także ma tu przyciągnąć wkrótce ku odsieczy;
Niechajnoż Biały Orzeł przy nim lot rozpostrze,
Pokażemy pohańcom: co to polskie ostrze!»

Popłynęli, jak Smotrycz, gdy z idącą wiosną,
Kryby mu grzbiet wydęły burzliwie narosną;
A po skałach huk taki wytętnia kopyto,
Jakby tam gdzieś pod ziemią w setne bębny bito.
Poszli, poszli doliną, brzegiem pod Dumanów,
Coraz mniejsi, mniej widni, tylko z zatumanów
Gdzie niegdzie miecz lub pika mignie się zdaleka.
Lecz jakiż jeszcze rycerz wyjazd swój odwleka?
Młody, a z niewiastami pozostał jak starzy?
Hej! żal się tylko Boże tej rumianej twarzy,
I wąsa, co tak po niej buja zawiesiście,
Gdy mu serce drzy trwogą jak bezsilne liście!
Nie! on ich nieodrodny — on taki jak oni,
Raz świśnie na konika i wnet ich dogoni.
Lecz patrz, tam jego luba stoi na uboczy,
I łamie białe rączki i łzami ćmi oczy,
I zawodzi żałośnie i pierś targa biedną
Nieszczęśliwa! i świata z za łez jej nie widno.

«Ach postój! postój chwilkę, poczekaj kozacze!
Pomyśl jak mię porzucasz, a ja biedna płaczę!»
Spójrzał na nią raz jeszcze i westchnął głęboko,
I otarł poniewolnie zapłakane oko;
— «Ty płaczesz moja luba? nie płacz, ja nie płaczę,
Rąk nie łam i łzy cięższej zachowaj potrzebie;
Nie płacz, niech raz ostatni spojrzenie kozacze
Widzi szczęśliwą ciebie.

Przyjdzie tęsknot jesień słotna,
Przyjdą długie cierpień chwile,
Łzami je liczyć będziesz w łzach tonąc samotna,
Oddalona odemnie lub na mej mogile.

Poszli walczyć nasi chłopcy,
A jaż mam śród sromu,
Gdy krew bratnią pije obcy,
Nikczemnie gnić w domu?

Mam czekać, aż bisurmanin,
Krwawe niosąc siecze,
Tutaj przyjdzie szukać danin,
I ztąd za jasne kosy w jassyr cię powlecze?

Nie! Tu rosły lata nasze,
Na tych świętych górach, stepach;
Toż im i nasze życie i nasze pałasze!
Pójdziem, staniem od granicy,
A jak przyjdą najezdnicy
Zatrzymamy na oszczepach!

Nie płacz luba, ja wrócę, jeźli zła godzina
Nie zagubi zawiśnie podolskiego syna;
Wrócę, i ty barwinkiem przystroisz mi kitkę,
A ja ci, z pohańskich branek,
Złotą lamę na namitkę
W zamian dam za wianek.» —

— «Ja tu w trwodze i obawie
O wszystko — co lube, drogie,
We łzach każdą chwilkę strawię
Której z tobą żyć nie mogę.

Lecz gdy taka wola nieba
Że iśdź musisz nieodbicie,
Że rozłączyć się potrzeba,
Idź mój luby w imię Boże
Niech Bóg oręż twój wspomoże,
Walcz lez pomnij, że moje na śmierć niesiesz życie;
Walcz, lez pomnij w mieczów szczęku
Że oddychasz tchnieniem Zosi,
Że jej szczęście w twojem ręku,
Ocal je! ona cię prosi!»

— «Bywaj zdrowa moja luba!
Ja na wieki wierny tobie,
Co Bóg sądzi — życie, zguba,
Wierny w życiu, wierny w grobie!»

Jak wiatr lekki wpadł na konia,
Spójrzał, świsnął, krzyknął,
Zatętniły dolne błonia,
Jak wiatr lekki zniknął.

Zniknął — a ona biedna wydarta pociesze,
Sama jedna została jak jaskółka w strzesze;
Dwa dni, jak najszczęśliwsza stała u ołtarza,
A teraz bez pamięci po ziemi się tarza;
Wszystko lube i miłe — ojca, czterech braci,
I kochanka, i szczęście w jednej chwili traci.
Zmysły ją odbieżały — po cóż z nocy mroku
Wracać było dzień życia zagasłemu oku?
Niemiła to posługa, wierz mi moje dziecię
Oddać nieszczęśliwemu zagubione życie!

Sześć dni już upływało — a lasy okolne
Spały cicho, jak pierwej, od napaści wolne.
Nie było żadnej wieści — tylko głos puhaczy
Wtórował po jaskiniach wygnańców rozpaczy;
I tęskna jakaś trwoga za tym jego śpiewem
Wiała się w każde serce przeczucia powiewem.
Bo zawsze, moje dziecię! nocny śpiew puhacza
Zła jest wróżba przyszłości, nieszczęścia oznacza.

Smutniej i coraz straszniej było z każdą chwilką,
Zatrwożone spojrzenia, ciche jęki tylko,
Niewyraźne modlitwy, tłumione westchnienia
Odbijały pieczary i niebios sklepienia;
Lecz odbite nie doszły przed tron wybawienia.

Raz, w niedzielę z południa, trzy dziewczęta młode,
Zbiegły na dół z dzbankami do rzeki po wodę;

Była to piękna Zosia — w tej weselnej szacie,
W tym samym ślubnym wieńcu, jak ją pamiętacie,
Bo do czasu powrotu swego oblubieńca
Przysięgła nie zdjąć z głowy weselnego wieńca.
Wpatrzała tędy oko gdzie przed sześciu dniami,
Westchnieniem go bolesnem odwiodła i łzami;
I tak długo patrzała na tę stronę drogą,
Jakby tam w rzeczy samej zaoczyła kogo.
— «Basiu! czy przywidzenie? lecz patrz, tam daleko,
Pędzą czterej rycerze końmi po nad rzeką!»
To samo wzrok Nastusi, to stwierdził i Basi,
Krzyknęły uniesione: «To nasi! to nasi!
Przecież Bóg ich nam wrócił! Dzięki Jemu! Dzięki»
Lecz jakże nagle radość zmieniła się w jęki,
Których echem krzyknęły okoliczne wzgórki,
«Przez Boga! uciekajmy! to Turki! to Turki!»

Jak na hucznej biesiadzie kiedy grzmią puhary,
Nagle dom o północy obejmą pożary —
Pierzcha z piersi wesołej zalękniona radość,
A na lica rumiane bije strach i bladość,
Szybsze od uczuć trwogi, co im w pierś się cisły,
Zalęknione dziewczęta nagle się rozprysły.
I zaledwo przebiegło jedno mgnienie oka,
Już pod cień je obronny przyjęła opoka;
I razem z ich przybyciem stąd aż do Huminiec
Zabrzmiał odgłos podziemny: «już jest barbarzyniec!»

Tymczasem nasi ciągnąc w niezłomnym szeregu
Zdybali nieprzyjaciół na Dniestrowym brzegu.
Krwawe było spotkanie — pohańców nawała
Garstkę naszych w około jak powódź zalała;
Sypnęły się pociski — rozpacz parła cięcia,
Zginąć! jeden cel naszym — jedne przedsięwzięcia;
Aż gdy ramie, nie ducha, osłabiły siecze,
A na karkach niewiernych stępiły się miecze,
Własnych cnot męczennicy pośród tej pożogi,
Godni siebie, szczęśliwi, padli co do nogi!

Szczęśliwi! moje dziecię, po stokroć szczęśliwi!
Wdzięczny wnuk ich wspomnienie czułą łzą ożywi;
Na słodkich dum odgłosach długą wieczność zbiegą,
Nie mogli kraju zbawić, to padli za niego.
Szczęśliwi! nie wrócili — bo cóż? po powrocie
Zastać wszystko co święte w więzach i sromocie;
Niż takich losów synu! w własnym kraju dożyć,
A czyż nie milej stokroć życie zań położyć? —

Z nad Dniestru bez oporu jak grad lub szarańcza
Na piękny brzeg Smotrycza padła czerń pohańcza.
Puste były dziedziny, odbieżone wioski,
Lecz widno gniew nad niemi unosił się Boski,
A przed nim próżne naszej mądrości zabiegi.
Lud ukrył się w pieczary — wykryły go szpiegi;
Bo owi czterej gońce, co mignieni w dali
Pięknej Zosi stęsknione oko oszukali,
Wiedząc gdzie się schroniła wszystkiego dociekli,
I do Paszy z tą wieścią pognali się wściekli.

Przeszła noc opłakana, i z poraniem cichem
Wstało młodzieńcze słońce z wesołym uśmiechem,
I zajrzało w podziemia ciekawym promieniem,
Lecz na widok rozpaczy cofnęło go z drzeniem.
Ostateczna godzina dopływała groźno,
A myśleć o ratunku było już zapóźno;
Bo jakby z czarnej chmury, z za gór od Załucza
Błysnął dwuróg,[1] i Turków napłynęła tucza!
I równo z ich przybyciem ryknął grom po gromie,
A nasi jak mur wryci stali na przełomie.
Potrzykroć barbarzyniec natarł pędem fali,
Potrzykroć nie złamani nasi odpór dali.

Długim i nieprzepartym zajadły odporem,
Kazał Pasza szturm wstrzymać, i z późnym wieczorem
Z tego, widzisz? urwiska, mierzwy, słomy, liście
Trącić w dół i zawalić od pieczary wnijście;

[1] Księżyc dwurożny, godło Muzułmanów.

Podłożono płomienie — buchły dymy bure,
I pchnął je zły duch jakiś w podziemia ponure.
Zaryczały boleścią — że aż strach! lecz rychło
Wyduszone, zniszczone, wszystko w nich ucichło.
Tak cicho i do dzisiaj — tylko wiatr posępny,
Tych miejsc opustoszałych strażnik nieodstępny,
Jakąś tam party siłą w ciemną skały szyję,
Po nad stosami kości pogrzebowo wyje.

Śpią starych ojców głowy bez lic, bezobraźne,
Milczenie je kołysze, a sny ich żelazne.
Nie jedne już tu synu! odbywano próby
Chcąc zmierzyć te pieczary, chcąc przejrzeć te groby;
Lecz cienie obrażone zbytkiem tej odwagi,
Śmiercią się nieuchronną mszczą za swe zniewagi;
Wielu tu równych zdarzeń dzieje zapamięta.

Lecz kiedy na wielkanoc lub zielone święta
Ze śpiewem, z chorągwiami, księża i gromady
Przychodzą tu się modlić za swe prapradziady,
Gdy na owym ołtarzu wykowanym w skale
Prawi się służba Boża na cześć Bożej chwale,
Wtedy i wiatr ucicha, i zda się jakoby
Ciche duchy, samotne opuściwszy groby,
Wdzięczne czułej pamięci synom swojej ziemi,
Męczeńskim strojne wieńcem krążą między niemi.

I ten synu! barwinek rozwity błękitnie,
Także tęsknej przeszłości wspomnieniami kwitnie,
Cichy, skromny, niewinny, samotny, dziewiczy,
Dwa już wieki minione życiu swemu liczy;
Na pięknej główce Zosi darem jaśniał ślubnym,
Spadł z niej w czasie ucieczki w owym dniu zagubnym!
I odtąd dłon niewidna niewidnej opieki
Żywi go, pielęgnuje, a nie tkną go wieki!

Wszystko synu! minęło — dziś już rody nowe
Depcą równin podolskich głazy nagrobowe;

Pomniki zapomniane zapomnianej chwały,
Co zatarte głęboko w ziemię powrastały;
Lecz postać ich milcząca, wymówna i tkliwa
Głosem się wszechmogącym do duszy odzywa.
A gdy nocą jesienną w dalekich dąbrowach,
Odgłos wiatrów północnych szumi po parowach;
Kiedy wieków pamiętne pokolone lipy
Jęczą jak schorowane bolesnemi skrzypy,
Pod dębem, co w swym cieniu wychował te lasy,
A z niejednym szedł wichrem i wiekiem w zapasy,
Błysną ognie szeroką powtórzone łuną,
I okolnych ciemności zasłonę rozsuną;
Gdy takiem mdławem światłem twarz lasów jaśnieje,
Jak w ocknionem spomnieniu stare przodków dzieje;
Gdy w niestrojnym nocleżan połamanym głosie
Dzika, wędrowna duma przemknie się po rosie,
I choć w słowach nie jasnych, w przekręconej mowie,
Dawne imię obrońców w przelocie wypowie;
To po tej zabłąkanej, jednotonnej nucie
Uroczyste do duszy napływa uczucie;
Cała przeszłość w pamięci ożywionej wskrześnie,
A myśl po jej obszarach błąka się jak we śnie.
Tyleż to i nagrody popiołom walecznych,
Na długą śpiącym przyszłość w snach twardych i wiecznych!
Łzy rzęsne poniewolnie ze zrzenicy biegą,
I westchnienie pierś wznosi nie wiedzieć dla czego!»

Nadsmotryckie pieczary! Nadsmotryckie brzegi!
Milczenie dziś na wasze naległo urwiska;
Trąba bojów nie głosi, nie krążą szeregi,
Nie grzmi działo, stal nie błyska.

Nie deptane rosną trawki,
Czasem tylko głosy kunie,
Wycie wilka, jęk turkawki
Lekko z echem się przesunie.

Młodych urojeń kołysko!
Pierwszych uczuć powiernicy,
Pierwszych nadziei siedlisko,
Podolskie lasy! góry! obecne zrzenicy,
Sercu przylgnione tak blisko!

Jakiś urok niepojęty
Myśl śród was wybujałą wiecznie do was wiąże,
Przez odłogi pamiątek, przeszłości zamęty
Duszą was utęsknioną wiecznie do was dążę.

Postać wasza jednostajna,
Cicha, dziewicza, wiosenna;
Waszych natchnień siła tajna,
Tęskna, dzika, nieodmienna!

Czemuż serce z podolskich wdzięków i słodyczy,
Nic, krom wspomnień bolesnych dzisiaj nie dziedziczy?
Ach! i Ta, którą niegdyś nazywałem moją,
Po której pierś boleje, i łzy w oku stoją;
Ach! i Ta na Podolu! tamtym cichym gajom,
Słońcem swego oblicza tamtym świeci krajom!
A promień tego słońca i tu przez odbicie
Budzi w sercu grobowem zaumarłe życie.
Promień taki łagodny, słońce tak daleko! —
A czemuż blaski jego tak boleśnie pieką?
Spoczynku ni schronienia w żadnej myśli chłodzie!
Idź Luba! spójrzyj czasem — jest tam na ogrodzie
Dąbek mały, poziomy, ledwo widny oku,
Moją ręką sadzony przed półwtórą roku;
Jeźli dotąd niczyją niewsparty pomocą
Nie zwiądł tułacz, i wlecze dziecinność sierocą,

Idź! spójrzyj! on jest mojem godłem i obrazem;
Zapłacz nad nim, nademną, i nad sobą razem.
Nim zwiędnie, listek z niego na pamiątkę ułam,
Ona tułacz! i ja tułacz! — on pod cudzym cieniem,
Ja, wygnaniec sam siebie, z twem tylko wspomnieniem
W własnej się pustej piersi bez pociechy tułam.

Przyjdzież koniec wędrówce? bliski czy daleki?
Niewidny z za obłoku co nasz los ocienia!
Trwać, cierpieć moja Luba! może cierpień wieki
Oświeci kiedyś jasna godzina zbawienia! —

CZĘŚĆ CZWARTA.

POŻEGNANIE.

Bez szczerej rady i wsparcia,
Któż czułą wzniesie rękę do mych łez otarcia?!
WILHELM MICHALSKI.

Żegnaj drogie Podole! święta moja ziemio!
Choć wzburzone uczucia głos w tej piersi niemią;
Choć w oku chciwem ciebie gorzkie stoją płacze,
I z za łez cię nie widzi spojrzenie tułacze,
Ja cię nie zapomnę!
W sercu bez pożegnania na wiekiś przytomne!
Tum się rodził, tu wzrastał, tu kochał, tu śpiewał,
Tu mi kwitły nadzieje, tum je przespodziewał!

Pod tchnieniem twego nieba z rozkazów wyroku,
Martwe słońce dni moich błysło z za obłoku;
Wtenczas je zalewały czarnych chmur powodzie,
I dzisiaj nie jaśniejsze, jak było przy wschodzie.

Czemuż Ty! co nam władzą rządzisz niezawisłą!
Wtenczas dni mych ogniwo z łańcucha nie prysło?
Z łańcucha — co wywity od wieczności krańca,
Do ziemi przykuł losy lepszych stron wygnańca;
Wtenczas duch mój po chwilce krótkich tu odwiedzin,
Byłby się wzbił tak lekko do ojczystych dziedzin;

Wtenczas ziemi oddając pożyczane życie,
Lichwą łez opłacone dzisiaj tak okwicie,
Nie trute wspomnieniami, ni żadną utratą,
Byłbym! .... Przebacz Wszechmocny! — Dzięki Ci i za to! —

Pod tchnieniem Twego nieba, niemowlęce chwilki
Grały mi po tych łąkach jak lekkie motylki;
Pierzchał duch mój po stepach, dziki konik polny,
Obcy szczęścia natchnieniom, lecz i cierpień wolny.
Nijaka troska wtedy uczuciem bolesnem
Nie męszała pokoju w sercu owoczesnem,
Bo wietrzyk co po dołach echem się przekrzywiał,
Wleciał niespodziewany, zdmuchnął ją i wywiał.
I darmo śledzić było trwałego tam piętna,
Na tle duszy co jeszcze była obojętna.

O nie! wietrzyk co echa po dołach przekrzywiał,
Każde tylko wrażenie coraz nowem przywiał,
Ale go nie wyniszczał — jutrzenka różana,
Słodki uśmiech nadziei, zmartwychwstanie rana,
Jasne oko dziewicze, zgodne ptasząt głoski,
Lgnęły na młode serce jak na miękkie woski.

Lecz grom przebiegł po niebie! — i natchnienia silne:
Noc, powódź, śpiew grobowy, jęki z podmogilne,
Łamany łoskot burzy, co po jarach ryczał,
Nowych wpływów wstrząśnieniem dawne wydziedziczał.
I znowu naprzemiany, i znowu przez stopnie,
Łagodnie, bogobojnie, ponuro, okropnie,
Jaki oddech je żywił, jaką pchnięte siłą,
Takiem samem uczuciem przez chwilę się biło.

Aż z tych, co przytajone, co już się przytarły,
Co umilkły w pamięci, i co zaumarły
Urosło dzikie chaos, uśpione na chwilę
W cichem sercu dziecięcem, jak w cichej mogile.

Był pokój! — z dalekiego widnokręgu końca
Wschodziło jakieś światło nieznanego słońca,
Co rozgoniąc przed okiem niewyraźne brzaski,
I sercu jaśniejszemi przyświeciło blaski.
I namuł śpiących wrażeń, co w niem odpoczywał,
Począł się ruszać, jeżyć, wstawał i ożywał;
I gdy weń krocie nowych, różnorodnych strzęgły,
Olbrzymim rósł postępem dziwotwór wylęgły;
Światło wrzało gwałtowniej i gwałtowniej codnia,
Aż buchła w całej sile młodości pochodnia.

Ach! czemże są wulkanów? czem piekła wybuchy?
Gdy się z piersi młodzieńczej wypierają duchy!
Gdy myśl, co jak zdrój lawy zapala i gore,
Zimną rzeczywistości stopiwszy zaporę,
Chciwa kwiatów tysiąca, co tam przed nią kwitnie,
O stropy cudzych niebios niewstrzymana wytnie.
Tu ciasno! wysadzona za krańce błękitu,
Tworzy i tworzy światy nie mające bytu!
Swoje dając im barwy i swoje popędy,
Ognisko ziemskich życzeń wybija tamtędy;
Oderwane piękności przelewając w całość,
Jeden wywodzi ogół, jedną doskonałość;
A pędzlem czarodziejczym kreśląc obwód złoty,
Zaludnia go lubemi urojeń istoty.
Tam oddech niskiej sfery piersi nie naciska,
Tam z czystych źródeł szczęścia strumień życia tryska,
Tam dusza pierwiastkową odzyskując dzielność,
Z kresu, gdzie się z nicością zbiega nieśmiertelność,
Pod natchnieniem nadziei, pod godłami krzyża,
Jak sama tylko piękna, młodzieńcza i świeża
Wiodła przed tron wieczności niećmione zrzenice,
Topiąc je w swego Twórcy, w swego ojca lice.
Rzewną płonąc miłością, w zachwyceniu lubem
Świętym wiarę mu wieczną zaprzysięgła ślubem;
Pomnę ten urok szczęścia! tę chwilę zaślubin!
Przebiegł dłonią powietrzną po arfie cherubin.

Polał się strumień dźwięków, a niebieskie chóry,
Zabrzmiały hymnem chwały i wdzięcznej pokory;
Hymnem, w ogrom cały stworzenia przeniknął;
I u stóp Wszechmocności wysłuchany zniknął.
I dziedziczka zbawienia nieskalana niczem,
Oblubienica nieba, spójrzeniem dziewiczem,
Zapłoniona jak jutrznia, jak poranna róża,
Jak gwiazdka przyświecała Twórcy u podnóża.

Myśl gdzieś na swoich kwiatach, dusza tkwiła w niebie,
I darmo tu na ziemi szukać było siebie;
A jednak trzeba było powrócić na ziemię,
Bo cierpień i boleści przyzywało brzemię;
Ziemia praw swych zazdrośna i przeklęte ciało,
Srogi ukaz powrótu duchowi wydało.

Żegnaj marzeń kraino! świecie szczęścia złoty!
Gdzie przyjaźń bez obłudy, miłość bez tęsknoty,
Żegnajcie ulubione bez bytu istoty!
Żegnaj duchów rodzinnych nieśmiertelne plemię,
Ziemia woła — żegnajcie! ja spadam na ziemię.

I spadłem — cożem zastał? o pierś biły grady,
A w piersi ogień pałał i kipiały jady,
I druga mnie połowa, niemiła, obrzydła,
Zawistna, lotne ducha uwięziła skrzydła;
I bieg mu naprawiając przez ziemne obszary,
Rozkazała dni przyszłych nikłe łowić mary!
A to, co tu składało jej roskosz i pychę,
Przed wyniosłym tronem ducha jakże czcze i liche!

Drogie, wiecznie mi miłe bory z nad Smotrycza!
Świadome westchnień moich, świadome oblicza,
Na waszych jak sęp skałach, myśl i oko w górę,
Stałem, a w serce dzikie szły dumy ponure;
Chciwie je chwytał potwór, co mi pierś obarczał,
Szły jak powódź nie sparta, duch im nie wystarczał;

I gniotąc samowolnie duszę w niej niepewną,
Na usta nie uczone pieśń cisnęły rzewną;
Pieśń w duszy tylko czutą, nie objętą słowem,
Bo życie kwitło siłą w sercu nie jałowem;
W sercu, co nie jak dzisiaj zlepione z pamiątek,
Dogorywa w popiołach dawnych żarów szczątek;
Pragnąć szczerze, przedsiębrać, a lot puszczać górą,
Było mu nawykmieniem, potrzebą, naturą!
Duch, wychowaniec światów, co je sam postwarzał,
Gardził ziemią, na której przybity się tarzał.
Ludzie go otaczali — a on pośród borów
Szukał z dziedzin ojczystych pokrewnych utworów.
Ludzie go otaczali, ale między niemi
Nic mu nie dorównało, wszystko było z ziemi!
Aż kiedy utrudzony daremnemi loty
Przedsiębrał niecofnione do swoich powroty,
Ujrzał nagle wcielone znane mu istoty!
Znane i ukochane na szczęśliwszych światach,
I we mglistych wcielenia rozpoznał je szatach;
Znane mu te uśmiechy, znane mu te lica,
To z niebios przyjaciele, to z niebios dziewica.

Witajcie duchów bratnich nieśmiertelne plemię,
Po promieniu miłości spłynione na ziemię!
Jako?! tak mię kochacie, że się nie boicie
Bóstwa wasze w to ziemskie odziać dla mnie życie!
Dzięki wam! moja Luba! moi Przyjaciele!
Sobie znikły — między was cały się podzielę;
Duszy mojej i serca równe weźcie częście,
W waszych je, w waszych piersiach na wieki uwięźcie;
Rozpłyniony w dusz waszych, w waszych spojrzeń niebie,
Ja sobie już nie żyję, ja nie mam już siebie;
W was wszystkie skarby moje, całe moje szczęście!
Słodko mi nagrodzili, słodko i okwicie!
Za jedno im oddane, setne dali życie.
Dzieki wam! szczęścia mego sprężyny oboje!
Przyjaciele! i Bóstwo opiekuńcze moje!

Lecz pocóż łza natrętna z oka spływa jadem
W serce, co uczuć waszych świętym było składem?
Ach! czyż i to, co u was, niegdyś zwane moje,
Równy ciężar naciska, równe niepokoje?
Czyż i wam zjadłe węże po piersi się wloką,
A łez ronić nie może oniemiałe oko?
O! jeźli tak, wracam wam, weźcie serca wasze,
Niechaj ja sam, sam tylko spełniam jadów czasze;
A wy bądźcie szczęśliwi — niechaj moja burza,
Lubych rysów waszego lica nie zachmurza.
Jedyne skarby moje! jedyne na świecie!
Nie patrzajcie gdzie wicher dni moje pomiecie.
Droga mi miłość wasza! — ale po utracie,
Jeżeli jak ja tęsknić, jak ja cierpieć macie,
Waszych cierpień wspomnienie, jak grom mię przestrasza,
Droższe mi wasze szczęście, niźli miłość wasza!
Zapomniejcie, czym nawet był kiedy na świecie!

Lecz gdzież wy? — tylko w koło zimny oddech grudnia,
Ni gwiazda wzroków waszych świeci od południa.
Całunem odgrodzone wasze drogie twarze,
A godzina rozstania bliska na zegarze!
Noc znika, z za gór słońce wychodzi jaskrawiej,
Wiatr szumi — zawiej wietrze! na południe zawiej!
Zanieś jej przedostatnie westchnienie tułacze,
I osusz niem łzę w oku, jeźli Luba płacze.
Zanieś jej przedostatnie — bo później czy raniej,
Ostatnie, przy skonaniu, pewno będzie dla niej.

Już słońce całe widne na Nyczaja grobie, [1]
I godzina rozstania — słuchaj! bije tobie!

[1] Wielki grób Nyczaja kozaka otoczony sześciu mniejszemi mogiłami wznosi się na gruncie wsi Czeremesznego, dziedzicznej Romualda Wilamowskiego S. G. P. H. i O. Nyczaj poległ w bitwie Kraśniańskiej, zbity od Marcina Kalinowskiego podług historyi, a od Mikołaja Potockiego podług dumy gminnej. Rodem był z za Dniepru, za żonę miał Annę z Beresteczka. Zdradzony od jednego ze swoich oswobodził się z zasadzki; sto-

I serce pocisnęły gwałtowniejsze bole,
Żegnajcie Przyjaciele! Luba! i Podole!!!

Dnia 30. Grudnia, 1826.

czył bój ze 40,000 Polaków; oddzielony od współbraci ratował się ucieczką; koń zagrzązł w rudę i wtedy ucięto mu głowę. Podług innej dumy, pojmany żywo ofiarował bogaty okup, lecz tego nie przyjęto i poległ pod mieczem katowskim.

NIEKTÓRE OBJAŚNIENIA OPISU PODOLA.

Nie biorąc Podola pod względem korzyści, które są niewyczerpane, a uważając tylko dziką, malarską, poetyczną jego naturę, wszędzie wzrok wędrowca mile odpocznie i od tylu piękności odrywa się z niechęcią. — Część ta w szczególności, co nad Smotryczem i Dniestrem położona, powiat kamieniecki, uszycki, mohylowski i w połowie jampolski, już to pasmem gór Miodoborskich prostopadle nad równiny wystrzelonych, już skałami nad Smotryczem i Dniestrem wznoszącemi się najeżona, Szwajcaryją naszą nazwać się może. Równiny odkrywające się w dali, te zgodne sprzeczności, ten cały nieład, zda się umyślnie ułożony, aby zachwycał. Piękności tej części Podola są groźne, wspaniałe, nakazujące. — Inny nad Bohem odkrywa się widok. — Równiny i równiny, cicho, jasno, tęskno i miło.

Lecz jeżeli sam widok natury silnie zajmuje oko, silniej zaiste przemawia Podole do duszy zbiorem pamiątek, których jest pełna.

Rozrzucone do koła po równinach, lasach, górach mogiły, wpatrzonej na nie myśli wysnuwają długi szereg wyobrażeń i domysłów, czyje są? kiedy i dla czego powstały? Lecz darmo na obrazie przeszłości śledzić wątku, coby ciekawość dowiedzieć się chcącą zaspokoić zdołał. — Dzieje milczą, groby nieme. Zostaje jedno źródło: wspomnienia powieści, mniemania, podania miejscowe, w których gorliwość badacza szukać może pokarmu.

Podole, wystawione na ciągłe napady, na ustawiczne ścieranie się wyobrażeń ościennych, w miarę odmiennych coraz wpły-

wów zewnętrznych, różne przyjmowało piętna, czyli raczej charakter i kultura mieszkańców na pierwiastkowem tle swojem różne odcienia przybierała. Mniej zaludnione niż inne prowincje Polski, a częściej wypleniane, coraz to nowym przybylcem widziało zamieszkane równiny swoje. Z tych to powodów dojrzeć można w ogóle mniemań i wyobrażeń te rożnorodne cząstki, aż do wyrażeń językowych, z których skupienia się powstała massa opinii odrębna, żadnego podobieństwa ze źródłami originalnego tworzenia się swego nie mająca, Podolu wyłącznie właściwa. — Może wprawdzie Zadnieprzaniec, Turek, lub Perekopiec przyjśdź i upomnieć się o część własności swojej, którą w czasie odwiedzin Podola zostawił w nezabudku drogo opłaconym, lecz do ogółu rościć prawa nie może. Dzieje właściwym sposobem tę tylko część zdarzeń objęły na Podolu odbytych, które ważnością swoją do nich należą, szczegóły jednak, stanowiące miejscowość, bliżej wypływające na charakter mieszkańców, zaniedbane, dziwnie są jednak zajmujące i piękne. Z trudnością przychodzi ich nabycie, bo z każdą pamiątką związany jest trud poszukiwania jej początków, potrzeby, czasu, celu, i po długiem wpatrywaniu się zaledwie oswoi się oko i odkrywa porządniejszy nieco widok, co zaspokoić może. — Zwyczaje zachowywane niegdyś w istocie, dziś żyją tylko w odgłosie. Ile zakres niniejszego przypisku dozwoli, chciałbym zastanowić się nieco nad poezyą gminną ludu podolskiego, i po części nad przyczynami, które dając jej popęd, rozmaicie go kierowały, i ustaliły jej charakter. Nie będzie to rozprawa uczona bardzo, powiem, co mi się zdaje, a ktokolwiek bieglejszy sprostować mię zechcę, rad się poprawię.

Podole różnych w różnym czasie doznawało przemian i nieszczęść. Te działając na uprawę mieszkańców, działały i na poezyą gminną, która niezawodną jest skazówką usposobienia ludu. Jakoż znać na niej wydatnie cechę wpływów, pod któremi tworzyła się i rosła. Służą jej znamiona ogólnego ducha poezyi słowiańskich, szczególniej jednak i przez blizkość położenia i stosunki tak częste, zpokrewniona jest z ukraińską. Jeżeli poezyę uważać będziemy nie pod względem zewnętrznego jej układu, lecz co do ducha i życia wewnętrznego, co do zapału i mocy wyobraźni i uczucia; lud podolski ma jej bardzo

wiele oryginalnej i prawdziwej. Z powierzchowności nie gładka, nie wyrobiony język mniej był giętki i posłuszny natchnieniom śpiewaków, nie mniej przeto malująca jest i żywa. Opowiadanie ustne nie uchodzi w niej, i mimo kształt rozliczny, który jest wieloraki bądź drammatyczny, bądź opowiadalny, czyli opisowy, wszystko jest w śpiewie, do którego język iloczasem nadzwyczaj jest sposobny. Tło muzyki i poezyi tęskne jest zwykle, niekiedy posępne i dzikie, zawsze jest ujmujące i miłe. Ponurość ta śpiewu pod oboim względem, naturalnym jest objawieniem się charakteru mieszkańców tworzonego pod wpływem klęsk i nieszczęść, to napadów, to wypraw wojennych, zaraz, utrat, niewoli tureckiej i miejscowego ucisku; zresztą pod wpływem samego nieba, melancholijnie cieniującego podolskie równiny i zadnieprzańskie stepy.

Zarazy z równą łatwością udzielały się od sąsiednich Turcyi granic, z jaką pod ciepłym klimatem Podola szerzyły się po jego równinach.

Z napadem choroby część mieszkańców padała jej łupem, reszta po lasach i skałach szukała schronienia. Widno i teraz w wielu okolicach na miejscu całych włości cmentarze tylko. — Dziwnych nasłuchać się można rzeczy w opowiadaniu starych ludzi o powietrzu morowem, które zapamiętali. — Są to płody przelęknionej wówczas wyobraźni ludu rozpierzchlego w rozpaczy po lasach. — Widma przybierają na się tysiączne postacie, pod którem tem łatwiej mogłyby ludziom zaszkodzić. — Działają już pojedyńczo, już w massach. W pierwszym razie najbardziej wystrzegać się potrzeba podwiania czyli oddechu widma, na ten koniec należy nie spać blisko drzwi lub okna. Widziano nieraz jak znalezione na drodze rzeczy, bogactwa, nie wiedzieć skąd zjawione, przerzucały się czyli przemieniały w Dżumę, która oddechem swoim zabijała. Do wsi wchodzić wolno tylko było z rana, bo o godzinie południowej już widma rozpoczynają gonitwy swoje. — Taki wtedy strach, taka tęsknota obejmuje tych, co przybyli z lasów dla obejrzenia domów lub dania pomocy zostałym, że w żaden sposób utrzymać się nie mogą. — Koguty na cały czas choroby chrypną, nie pieją, coś im po połowie przegryza ogony, psy nie szczekają — za bliżeniem się tylko widma, które im jest widzialne,

warczą, rzucają się na nie i ostrzegają panów swoich o niebezpieczeństwie. Widma szczególniejsze upodobanie mają w dręczeniu ich. — Takie np. miało nastąpić zdarzenie w czasie wielkiego powietrza morowego, które grasowało te strony za czasów już Stanisława Augusta: parobek spał na brogu siana, przy którym stała drabina, noc była miesięczna i cicha — nagle powstaje nadzwyczajny klekot i wrzawa psów pędzi wysoką niewieścią postać całą w bieli, z rozczochranym włosem a psy za nią. — Że płot był zaporą dalszej ucieczce, wskaka postać na drabinę. Bezpieczna tem schronieniem, ciągle psom nastawia nogę powtarzając: Na goga noga! na goga noga i t. d. Młodzieniec trąca drabinę, postać spada, psy ją porywają, pogroziła mu zemstą i znikła. — Podobnemi dziwami napełnione są wszystkie usta opisujące zarazę.

Noc jest teatrem, na który występują złośliwe mary w całej okazałości i sile. Ci co po lasach błąkali się, słyszeli i widzieli naocznie, i to nie raz, jak w odgłosach grzechotek, bębnów, piszczałek i śpiewów ze wsi do wsi gościńcem przeciągał Homen — (będzie do zapewne przekręcony wyraz hymen) Homen ten czyli orszak mar otaczał siedzącą na wzniosłym czarnym wozie Dżumę. — Składające go mary pomnażały się z każdą chwilką niewiedzieć skąd — każda rzecz ożywiała się i przerzucała w widmo. — Jeźli odstąpili na chwilę od bud swoich nie widoma ręka tysiączne robiła im pakości — tu rozrzuciła ogień, tam poburzyła sprzęty, ówdzie popsuła napoje i pokarmy, słowem nie szczędzono niczego, co tylko przekorą i złością zwać się może. Całe rodziny łączyły się innemi do wspólnych bud, niechże jedna osoba zachorowała, rzucali ją wszyscy i rozpierzchali się dalej.

Zaraza do nowego tylko roku trwać mogła. Na nowy rok przed świtem zbierały się gromady do wsi, odbywało się nabożeństwo w cerkwi, potem ksiądz poświęcał każdą chatę, jeźli gospodarze jej zostali, wchodzili do niej oknem, bo drzwiami nie godziło się. — Poświecona wewnątrz znowu mieszkalną być mogła. — Nowy rok szczególniejszą miał własność umarzania dżumy, co w rzeczy samej z mrozów wynikać mogło.

Takie są powiększej sześci obrazy powietrza morowego, które, jako klęska od Boga zesłana, i dziś ze drzeniem jest

wspominane. Łatwo w stanie przestraszonego i znękanego umysłu mogły się wyradzać podobne wyobrażenia między ludem nieoświeconym i zabobonnym, a które do wyciśnienia tęsknego i ponurego piętna na poezyi gminnej bardzo się wiele przyczyniły, czemu każdy świadomy toku miejscowego ducha, chętną da wiarę.

Najsilniej jednak działały na melancholijny charakter mieszkańców, następnie i poezyi, napady krymskie, wojny i niewola turecka. I teraz na wspomnienia Turka drżą dzieci świadome nieszczęść dawniejszych od ojców i matek, drżą starsi świadomi ich od przodków — a plen szyli jassyr niewypowiedzianą trwogą wszystkie serca napełnia.

Mieszkańcy Podola, Pobereża i Ukrainy, za dawniejszych czasów, kiedy granice państwa słabo zaopatrzone ciągłej wymagały obrony, byli sobie sami obywatelami i obrońcami, byli to przyrodzeni obrońcy swoich dziedzin: — Każdy oswojony z koniem, mieczem i piką, znał co wojna. — Żegnał i rzucał to, co mu było drogie, za pożegnanem tęsknił, tęsknią śpiewał. — Czuł nie uczenie, lecz za to żywiej i rzewniej, i obraz więc uczuć jego musiał mieć piętno zródła, z którego pochodził. — Każdy był bohatyrem i śpiewakiem razem — pozostali w zagrodach czuli, czego im brakło, wyglądali powrotu rycerzy swoich, śpiewali o nich, do nich, lub dla nich.

Tym sposobem nad brzegami Dniepru i Dniestru powstała duma i dumka. — Różnią się one nieco między sobą, tak co do natury przeznaczenia owego, jak i miejscowości. — Pierwsza poświęcona bohaterom, odwadze, bojom, większa jest i poważniejsza, zadziwia, przeraża. — Druga, zwykle płod natchnień miłości, rozstania, utraty, brzmiąc po samotnych stepach i jarach, słodko rozczula. — Łagodność klimatu, zmiana zdarzeń, ułagodziły dzikie uniesienia, została w nich tylko czuła tęsknota, rzewna żałość, tak nieoddzielna, tak wcielona do tamtych krain, że zdaje się składać część powietrza, którem tam każdy oddycha.

Tym sposobem zrodzona poezja z rzewnych uczuć narodu, nie ugięta w karby prawideł, musiała sobie tylko być podobną.

Cywilizacya nie tknęła dotąd pierwiastkowej prostoty obyczajów krain onych; cała ich poetyczność zachowuje się dotąd

w zupełności, i dotąd nie brak tam na śpiewakach między ludem. — Niedostatek dawnych pobudek nadał inny kierunek ich natchnieniom, i wspomnienie jest jedynem dziś źródłem dla nieuczonych bardów miejscowych.

Lecz jakkolwiek obfite wrażeniami tamte niwy, nie znajdowały dotąd wieszcza, coby im godnie odwdzięczył za natchnienia. Szumiał dziko wiatr stepowy po ukraińskiej zaniechanej surmie, nim tknięta ręką Bohdana, do niejednej przemówiła duszy.

Kilka obrazów w Maryi Malczewskiego i pienia Józefa Bohdana Zalewskiego, w niewielkiej części udzielone publiczności, są zadatkiem tych bogactw, jakie z uprawy poezyi gminnej ukraińskiej i podolskiej literatura ojczysta odnieśćby mogła.

Prócz dum i dumek stanowiących poezyą elegiacką, prócz ulotnych wesołych czabaraszek, czyli śpiewek anakreontycznych, jeszcze pod zazwiskiem Szumek, nie kiedy Kołomyjek (od Kołomyi miasteczka) znanych, ma jeszcze lud podolski śpiewy weselne, które od przeszłości dzisiejszym pokoleniom przekazane w nienaruszonej zachowują się całości, a wzięte wraz z całym przewodem obrzędów weselnych stanowią rodzaj żyjącego rzeczywistego drammatu. Jeźli gdzie, to w nich najoczewiściej daje się spostrzegać mieszanina różnorodnych obyczajów. — Gra tu niepoślednią rolę Pan Wojewoda Kijowski, migocą tu polskie szabelki, jaśnieją tureckie złote lamy, o na obdarzenie panny młodej siedzącej na tak zwanym Propoju, składają się wszystkie te trzy krainy, znosząc jej wszystko, na co tylko przepych i wykwintność zdobyć się mogą. — Imaginacya wszędzie jest żywa i malująca — dziś jednak o śpiewanych bogactwach częstokroć i wyobrażenia nie mają. — Szarfy i inne oznaki honorowe dawane niegdyś rycerzom w turniejach, zastępuje dziś prosty ręcznik. Cukrowe pozłociste marcypany ustąpiły miejscu prostym kołaczom, szabla nahajce, czyli kańczukowi a perły, sobole i t. d., prosty czekman wyręczył. Z tej to zmiany stanu rzeczy wynikło przysłowie: Czyż to wszystko prawda co na weselu śpiewają? Szczegóły te jednak z różnych stron zasiągnięte, związane ogniwem miejscowości, złożyły wesele gminne podolskie tylko. — Cechą wszystkich obrzędów i śpiewów jest przystojność, skromność, prostota i pieszczona

zdrobniałość wyrazów, która nadaje rzeczy szczególniejszą przyjemność.

Upowszechnione u nas do niedawna, bo nawet dotąd, przesądy dobrego urodzenia, nie pozwalały klassie wyższej zwrócić uwagę na obyczaje, zwyczaje, mniemania, słowem, na uprawę umysłową poddanych. — Pogarda, którą szlachta polska tchnęła dla chłopów, zaledwie raczyła przypuścić ich, jeźli nie z praw, to z nazwiska przynajmniej do rzędu ludzi, bo w rzeczy samej czyż mogło to mieć jakąkolwiek cenę, co było chłopskie? Ile to mniemanie jest błędne, zna każdy, jeźli nie dobrze urodzony, to przynajmniej dobrze myślący, uważając godność człowieka bezwzględnie na stan lub urodzenie. Mniemanie to wszakże górowała u nas — dzięki oświeceniu, już znika.

Zebrałem, ile można najstaranniej, w ocolicach Dniestru i Bohu śpiewy weselne z obrzędami i umieszczam je tłumaczone wierszem nierymowym, aby ściślej zachowana była wierność oryginału. — Nieznającym miejscowości, zapewne smakować one nie będą. — Praca ta wszakże, jeźli korzyści nie przyniesie, naganną być nie może. — Jeżeli bowiem greckie i rzymskie starożytności z taką od uczonych poszukiwane są chciwością, jeżeli podobają się nam zwyczaje obcych nam Szkotów, i znamy je dokładniej, niż własne, dla czegoż zająć by nas nie mogło to, co jest zabytkiem dawności naszej, powstałym na naszej ziemi? —

PRZYPISY OBJAŚNIAJĄCE TEKST.

CZĘŚĆ I.

«Smotrycz w koło oblewa czoło strojne w wieniec.»

Kamieniec zbudowany jest na skale wystromionej z pośrodku jarów; Smotrycz rzeka w koło go opływa.

«Meczet, co im rej wiedzie, dumnie śród nich sterczy.»

Meczet czyli świątnica turecka przy kościele katedralnym w Kamieńcu, pozostał na pamiątkę panowania tureckiego. — Traktatem przy zwrócie kamieńca Polakom zawarowali sobie Turcy, iż nigdy niszczonym być nie miał. Na wysokim wierzchu jego księżyc dwurożny służy za podstawę posągu Matki Boskiej.

«Królowo Miodoboru, witaj Tołtro łysa.»

Pasmo gór miodoborskich ciągnących się przez Podole, w niektórych miejscach kamienieckiego powiatu wznoszące się w kształcie ostrosłupów, sowie się Tołtrami.

«Czy na skałę Ladawską, gdzie się orły lęgną.»

W Ladawie, wiosce w powiecie Uszyckim, pod wieszchołkiem skały prostopadle ku niebu wystrzelonej lęgną się orły białe, — dojść do gniazda nie ma sposobu.

«Przyjdź, gdzie barki olbrzymie wydźwiga Otroków.»

Otrokowska góra, w majątku rodziny Marchockich, nadzwyczajnego jest ogromu, w zachwycającem położeniu.

CZĘŚĆ II.

«— — — — — — Przebieżało Drenowę,
«I czule powitało złote krzyże Czercza.»

Derenowa, nazwisko góry ogromnej, co nad miasteczkiem Czerczem wznosi się w jednem z tych pięknych położeń, w które brzeg Smotrycza tak jest okwity.

CZĘŚĆ III.

Treścią tej części jest wyniszczenie kilku tysięcy ludzi w pieczarach Załuckich, w powiecie Kamienieckim; w czasie napadu tureckiego podług rękopisma, które widzieć mi się zdarzyło w Archiwum dóbr niegdyś biskupów

Kamienieckich za czasów Chodkiewicza. Jestto tranzakcya, mocą której właściciele dóbr pobliższych zastrzegają spólność schronienia dla gromad swoich w pieczarach na przypadek napadu. Pieczary te wybite w skale od wody bez wątpienia ciągną się pod ziemię dwadzieścia kilka werst i kończą się w Humańcach wiosce. Schronione tam gromady zaopatrzone w broń i żywność, okryte lasem w około, byłyby się uchowały, lecz przypadek wykrył ich schronienie. Odbywało się wesele w pieczarach, przerwane przed wejściem do nich przez nagłą wieść o ciągnieniu Turków. Panna młoda z drużkami zbiegła do Smotrycza po wodę, szpiegi tureckie ujrzały to i wyśledziły miejsce przytułku. Przypuszczono szturm, napadnieni bronili się z rozpaczą. Użyli Turcy zdrady przez którą wszystkich wyduszono. Rosnący dotąd barwinek na uboczy ma być z wieńca Panny młodej w czasie ucieczki zgubionego. Stosy kości dotąd leżą. Otwór pieczary nadzwyczajnie zmniejszał, ledwo łokcia wysokości, lubo pamiętają starzy, że człowiek bez schylenia głowy mógł tam wchodzić wygodnie. Zamknięte powietrze w środku napełnione gazem węglowym nie pozwala odwiedzać dalszych kryjówek; lud przypisuje to zemście duchów za zuchwałość ludzką. W całym tym opisie trzymałem się ściśle podań i wyrażeń miejscowych. Nazwiska szczególne jakie się znajdują, należą okolicznym wsiom i miasteczkom na trakcie od Chocima położonym. Podole wprawdzie nie było kozakami zasiedlone, wspólność jednak oręża i sposobu walczenia sprawiły. że tameczni mieszkańcy dotąd nazwisko kozaków sami sobie nadają, dla tego osoby tu wchodzący mówią jako kozacy.

«Gdy w niestrojnym nocleżan połamanym głosie.»

Nocleżanami zowią się parobcy, którzy z całej wsi zbierają się z końmi na paszę nocną. Wyjeżdżają razem kilkudziesięciu w odgłosie śpiewów ze wsi, a we lasach zwykle spędzają noce przy rzęsnych ogniach, śpiewając dumy i dawne prawiąc dzieje. Cały ten obrządek ma w sobie coś nadzwyczaj poetyckiego. Są to Bardowie Ossyana. Tam nie uczone lecz pełne życia rodzą się dumy pod nadchnieniem pięknej natury Podola.

TĘSKNOTA.

FANTAZYA

WE TRZECH DZIAŁANIACH.

«Cosi passa tutto ciò, chè fù buono, virtuoso e sensibile. Uomo! tu non sei, che un rapido fantasma, un sogno doloroso. Tu non esisti, che per la disgrazia, tu non sei qualche cosa, che per la tristezza della tua anima, e l'eterna malinconia del tuo pensiero!»

M. M. M.

OSOBY DZIAŁAJĄCE.

HRABINA.
ANIELA, córka Hrabiny.
MARJA, przyjaciółka Hrabiny.
BOŻYDAR.
KSIĄDZ, dawny nauczyciel Bożydara.
JANEK, wychowaniec Anieli 8letni.

TĘSKNOTA.

DZIAŁANIE I.

Dwa hołuby wodu pyły,
A dwa kołotyły,
Bohdaj tii ne skonały,
Szczo nas rozłuczyły.

Pieśń gminna Podolska.

Rzadki tu widok szczęścia na tej ziemi płaczu, —
Człowiecze! męczenniku, wygnańcze, tułaczu!
Jeźliś choć raz łzą tkliwą twoich lic nie skropił,
Choć raz w lubem objęciu duszy nie utopił,
A do zimnej mogiły, od czasu urodzin
Wlokąc pasmo nieżywe obojętnych godzin,
Niezaznał słodkich chwilek radości, wesela,
Nie dawał drogich imion Lubej, Przyjaciela;
I schodzisz dziś kochaną nie płakany łezką
Twardy sny twe przedłużać pod grobową deską,
Bez wspomnień, bez pamiątek, z pamięcią zatartą.
O! jakże się nad tobą ulitować warto!
Jeżeliś twego Nieba temu nie dostąpił,
Że ci go woryk krwawy zazdrościł i skąpił,
Nie twoja była wina — wyższą party władzą.
I losem Ci podobni tkliwą łzę Ci dadzą.

Lecz jeźli wyższych natchnień tajemnicza siła
Serce ci żywszych ogni blaskiem rozjaśniła,

A tyś dłonią lodową cisnął je i stłumiał,
A mogąc żyć podwójnie, i razu nie umiał,
Dumny czołem uderzyć przed słabszą istotą,
Drogieś strącał natchnienia zimnem, mniejsza o to;
I stoisz opuszczony na samotnym grobie,
Obcy, wszystkiemu obcy, krom zbrzydłemu sobie,
Bez wspomnień, bez pamiątek, z pamięcią zatartą,
Litować się nad tobą i wzgardzić cię warto.

Jaki widok nierówny! — tu skała boleści,
A tam brzeg ukwiecony żądne oko pieści;
Na skale śpią mgły wieczne, na brzegu pogody, —
A spodem między niemi mętne płyną wody —
To brzegi losów naszych, to naszych dni rzeka
Po łożu kamienistem leniwo przecieka.
Bez smaku sama z siebie bez barwy, bez życia,
Cechę tylko własności bierze od odbicia.
O jaki brzeg topielca przypadkowo trąci,
Takie uczucie pierś mu rozwidni, lub zmąci.
Takie piętno i duszę i myśl mu naznaczy
Lub oddechem radości, lub jadem rozpaczy.

Szczęśliwi nad wyrazy, wy! co na tym świecie
Pod godłami uśmiechów tamtędy płyniecie,
Dłoń nieznanej opieki, co nad wami czuwa,
Łodź wam bytu tak lekko po glazach przesuwa!

A inniż tam pomocą nie wsparci niczyją,
Po fali się bezdrożach potępieńcy biją,
Nikt niknących westchnieniem nie pożegna cichem,
Ni odwiedzie łzą tkliwą, ni spotka uśmiechem.
Sami, i wiecznie sami — żadne oko z brzegu
Nie śledzi niespokojne znojnego ich biegu.
Jak płyną, dokąd płyną, czy dopłynąć mogą?
A cóż to ma obchodzić i zajmować kogo?
I nie pytaj daremno — bo w życia żegludze,
Obojętna, jak wicher pędzi żagle cudze.

Lecz gdy nawa ostrzęgnie, lub rozbiciem pryśnie,
Bieglejszy żeglarz śmiechu w ustach nie zaciśnie,
I biorąc szczątki łupów z twojego rozbicia,
Powie, żeś nie ostrożnie płynął łodzią życia.

Czyżeście niezdołali żadnej łzy zasłużyć
Ofiary własnej winy, lub losu nadużyć,
Coby stojąc za wami w kochanej zrzenicy
Błysła wam zorzą ulgi, choć raz? Męczennicy!
Zajrzyjcie na dno Czyśćca, kornem okiem wiary,
Tam straszno, tam goreją potępieńcy kary.
To takie opłakane własnych win ofiary.
Cierpią wieczne zażewie pali ich i pali,
A jednak, że za nimi płaczą pozostali,
To lżej im, cierpią chętniej i sercem posłusznem.
Może kiedyś, choć późno w świętym dniu zadusznym
Szczerą łzą pozostałych Twórca przebłagany
Spuści im krwie kropelkę z Zbawiciela rany.
Cieszcie się i ufajcie wiarą nie obłudną,
Spadnie kiedyś ta kropla, otchłanie ochłodną,
I winnych duchów waszych przebaczone krocie
Wzniosą się przed tron górny w cherubinów locie.

Tak i w ziemskich cierpieniach na ziemskiej powodzi,
Kiedy cios nad wytrwałość w serce ci ugodzi,
Gdy w piersi niezgaszone zajmą się pożogi,
A wicher dni twe żenie na rozstajne drogi,
Wiej się na cztery wiatry, gdzie cię oczy niosą!
Wiej się, żadnej pociechy niewzmożony rosą!
I tu i tam pustynia leży przed oczyma.
W koło noc — żadnej zorzy przewodniczej niema
Zbyt znużony wódz dalej, chcieć się dalej błąkać,
Zbyt dumny się poniżyć i skargi wyjąkać,
Cóż ci zrobić zostało? Uderzyć żelazem
I zakończyć wszystko razem.

Lecz rzuć okiem raz jeszcze, przebież wspomnień dzieje,
Może tam jakie światło jeszcze zajaśnieje.

Może tam ukochane jakie lice stoi,
Co cię jednem spojrzeniem na przyszłość uzbroi.
Co tkliwy biorąc udział każdej twojej doli,
Ręką ci wybawienia z przepaści wyzwoli,
Co czujne losom twoim przystawując straże,
Stal ci z dłoni wytrąci, i żyć ci rozkaże.

A może twego życia jej szczęściu potrzeba?
To żyj, cierp i błogosław dobroczynne nieba.
Złączone serca wasze, modlitwą obojąg,
Zagniewaną dłoń Boga z pocisków rozzbroją.
I jeszcze do zazdrości będą losy wasze.
A choć i przyjdzie za nią zpełnić jadów czaszę,
Jak słodko spełnić za nią! a im zguba bliższa,
To i duch w męzkiej piersi dumniej się podwyższa.
I przy samem dopiciu, w kielich jadów na dno
Krople słodkiej nagrody jeszcze ci upadną.

Uzbroj się uśmiechami miłości, przyjaźni,
Bo i losy żelazne i ludzie żelazni.
Tamte siłą otwartą, Ci wiarą obłudną
Zgniotą w przepaść, potrącą i dotrwać im trudno? —

Przyjaźni i Miłości? Czcze słowa, bez treści!
Uśmiech to ale gorzki na lica boleści —
Którym się despotyczna przeznaczenia pycha
Na przekorę cierpieniu złośliwie uśmiecha,
Jak łańcuchy i knuty ukaz Mikołaja
W powabną postać łaski szydersko przystraja,
Gdy ci na pierś rozdartą podła ręka zbira
Zaczepi po ukazu krzyżyk Włodzimira.

Tak los rysy wybladłej od cierpienia twarzy
Uśmiechami radości niekiedy obdarzy —
A potem ostrzejszą, jadowitszą szponą,
Jął za serce i silniej targał pierś skrwawioną.
Ha! toż zima na ziemi, jak cała szeroka
Czystego tchu dla piersi, czystej łzy dla oka?

Jest szczęście, nieulegle przeznaczeń grabieży,
Płynie z źródła wielkości i jej przynależy —
Nie Twoje, zarobione drugim na posłudze,
Najdroższe, bo nie twoje — najwyższe, bo cudze.
Nie mdły kwiatek, ofiara nie rozmarzłych kwietni,
Dąb to jest na smętarzu — silny — wieloletni,
Bujny — bo parość jego, co wyciąga soki
Bez zawody po pokarm chodził w grób głęboki,
I z piersi, która niegdyś wrzała tak gorąco,
Wyciągał siły swojej treść ożywiającą.
Toż nie dziw, że się rozrósł po nad groby żyzne,
I ocenił szeroko grobowców ojczyznę.

Spojrzyj na tego dębu olbrzymią budowę.
Jest to szczęście nie twoje — jest to narodowe.
Z oddechów twojej piersi, z twojej krwi kropelki
Urosł ten Dąb wyniosły, długoletni, wielki,
Dla ciebie każda jego gałązka i listek,
Dla ciebie i zieloność i cień jego wszystek,
Dla ciebie, lecz nie twoje — bo krwie twojej częście
Przeszły na własność kraju i na jego szczęście.
Jego się raduj chwałą, jego śmiej uśmiechem,
Cudzy sobie, oddychaj ogółu oddechem.
I uroń go na górnej ogółu usłudze,
To jest szczęście najwyższe — najwyższe, bo cudze!
A jeźliż Uraganów północne napady,
Uderzą dziką piersią i wyrwą z posady,
I tę kłodę wiekową na ziemię obalą?
A przychodnie, lub swoi świętokradzką stalą
Owe życia uśmiechy, tę zieloność świetną,
I rozrosłe konary bezbożnie obetną?
Kiedy korzenie dębu, co tkwią w ziemi silne,
Rwane gwałtem, odwalą płyty namogilne,
I święte kości przodków, czasem nie pożyte,
Rozrzucą gdzieś szeroko, z grobu wydobyte,
Aby noga nieczysta deptała ich szczątki,
Aby się wzrok nieczysty urągał z pamiątki,

Gdy orlęta wylęgłe na dębu ramionach,
Co kiedyś grom ognisty miały nosić w szponach,
Sieroty bez Ojczyzny, bez Matki, bez Ojca,
Pójdą dni niewolnicze pędzić w szczeblach kojca;
A całej tej rodzinie, co pod Dębu cieniem
Rosła, żywiąc go swego życia odetchnieniem,
Na głowy i na serce padnie całun kiru,
A przed okiem zalegnie pusty step Sybiru —
Kiedy przyjdzie bezsilną wściekłością się pienić,
A krzywd nie módz się pomścić, ni losów odmienić,
I słyszeć jak szydersko łańcuch brzmieniem dzikiem,
Wydzwania Ci na szyi: jesteś niewolnikiem!
To czyż i wtedy powiesz: na kraju usłudze
Dni stargać, górne szczęście, najwyższe, bo cudze?
Toż dożyć dni upadku i urągowiska,
Jest także wzniosłe szczęście, co mu brak nazwiska?

Słuchaj! jest i na gruzach szczęście niezawodne,
Serce z chwil przed upadku, męzkiej piersi godne,
Piersi, co jak stal wroga, jak twe losy twarda,
A w niej klątwa bezsłowna i niema pogarda.
Ich oddech cię wyniesie nad los i nad ciebie
A kogo kląć i gardzić — tam już wiedzą w Niebie.

Alboż to małe szczęście, w serdecznym ucisku
Jako sęp, w głuchą północ stanąć na urwisku
I słyszeć czarujący śpiew północnej sowy,
Gwoli sercu, bo dziki, jak twa myśl grobowy;
I duszą mu wtorować — i na skrzydłach burzy
Słać pieśń swą do przyszłości, która ją powtórzy,
I w tejże samej burzy z podmogilnej nucie
Czytać całej natury cierpiące współczucie,
Co jak tkliwa pierś matki, albo przyjaciela,
Pojmuje głos twej duszy i ból jej podziela,
I w tle burzy, gdy łuną błyskawic zadnieje,
Ujrzeć całe i serce i dni swoich dzieje,—

O gdy oddech tych wpływów pierś ci męzką wzmoże
Syn upadku, jak szatan, na życia bezdroże

Pójdzież dzikich tajemnic osłoniony chmurą
Wyć z wichrami po nocach — i w zmowie z naturą
Głosem klątwy, jak piekła oddechem ognistym
Stwarzać widma przed sercem tyrana nieczystem.

A ile mu chwil miłych głos ten z serca spłoszy
To pójdzie na rachuby czystej twej rozkoszy,
Ile mu zaprzysięgłych wrogów przysposobisz,
Tyleś wielki i tyle na szczęście zarobisz.

Jedno szczęście najwyższe: wybranym, twarz Boga,
A synowi upadku: zniszczenie, pożoga,
Zgryzota, płonny przestrach, albo mary wroga.

ZJAWIENIE I.

ANIELA sama (niespokojnem okiem wypatruje przez okno — na którem wazon z kwiatami).

Darmo — żaden się powóz po drodze nie toczy,
Darmo wbijam tamtędy wypatrzone oczy,
A jego nima i nima
Może jakie nieszczęście — o jakże się trwożę! —
Strzeż go, strzeż i ochraniaj, litościwy Boże!
Dał mi słowo, że na dziś wróci nieodbicie.
Ach gdyby już go ujrzeć i odzyskać życie!
Bo z nim i moje szczęście i nadzieja cała,
I serce i myśl moja za nim poleciała.
A dusza w ciągłej tęsknocie,
Pędząc w każdej chwili długich wieków krocie
Bez niego życiem nie pała.
(Przypatruje się bliżej kwiatowi w Wazonie.)
Rok dzisiaj, jak mój Luby za szczęśliwszych godzin,
Dał mi cię miły kwiatku! w dniu swoich urodzin.
Ty w tenczas byłeś piękny, nie tak, jak dziś zwiędły,
I twoje dni i nasze tak się błogo przędły!
Radość była w około, nadzieja i pokój —

Ożyj nam, ożyj znowu tchnieniem tamtej chwili,
Którą i niedojrzaną jużeśmy przeżyli,
I listków nam twych barwą szczęście wyprorokuj.
Ja ciebie bardzo lubię — tyś tak miły kwiatek,
I jesteś drogiej ręki sercu datek.
Lecz nie więdnij, nie więdnij, moja łza się zlewa,
Może ci ona szkodzi, bo twój liść omdlewa,
To czekaj, ja cię wodą pokropię, polejęę
A potem na rosę
W wieczór cię wyniosę,
To on znowu odmłodnieje.

(W ciągu tej rozmowy samotnej Hrabina wchodząc, zatrzymuje się niewidziana we drzwiach i słyszy ją całą. — Aniela zwraca się szukając wody, wazon spada i rozbija się.)

ANIELA (przelękniona).

Jakież to wróżby złowieszcze!
Boże, gdzie mój Bożydar!

ZJAWIENIE II.

ANIELA. HRABINA.

HRABINA (sama).

— Nie powrócił jeszcze —
Lecz cóż za potrzeba,
Że nim całe wzruszasz nieba?
On tu, na ziemi przebywa.

ANIELA.

Ach matko! ja nieszczęśliwa!

(Padá omdlała u nóg Hrabiny.)

HRABINA (trzymając ją).

Anielo! dziecię moje, córko moja droga!
Ratunku! ach ratunku! ratunku przez Boga!

ZJAWIENIE III.

ANIELA, HRABINA, MARJA i SŁUŻĄCE.

(Służące trzymają Anielę, która po niejakim czasie odzyskuje przytomność.)

ANIELA (trzymając ręce Hrabiny).

Przebacz — ja tyle winna — nieszczęśliwa tyle! —
Nie potępiaj mię —

HRABINA (całując ją w głowę).

Odejdź — ja przyjdę za chwilę,
To pomówiemy z sobą.

(Służące odprowadzają chwiejącą się Anielę.)

ZJAWIENIA IV.

HRABINA i MARJA.

MARJA.

Cóż to za przyczyna!

HRABINA.

Ach moja przyjaciółko, nadziejo jedyna!
Czy ty wiesz? ona kocha! —

MARJA (pół zdziwiona).

Proszę! — o mój Boże!
Panienka lat szesnaście, i już kochać może! —
Otóż to wiek moralny! panienka w kolebce,
A tu w około, jak węże, wiją się pochlebce,
Ten jej zmyśla przysięgi, ten pochwały szepce,
Tóż nie dziw, że od ziemi zaledwie odnikła,
I pacierza nie umie, a kochać już zwykła.
Dawniej tak nie bywało — wszak i ja na świecie
Nie pierwszy dzień żyję przecie,
Jednak tych ogni nie małam
I dotąd niemi nie pałam.
Któż się przecie odważył?

HRABINA.

Wspomnieć, żal mię bierze.
Czy uwierzysz? Bożydar!

MARJA.

Bożydar! nie wierzę!
Jak? on prawie bez imienia,
Tułacz w prochu poniżenia
Przeznaczony pędzić życie,
On by się śmiał odważyć, on by śmiał zuchwale
Uwłaczać starożytnej rodu twego chwale,
I hańbą swej miłości znieważać twe dziecię?
Nie! to nad wszelką wiarę!

HRABINA.

Ach mnie nie to boli,
Ta miłość by nie była sprzeczna mojej woli,
Lecz że ją bez mej wiedzy odkryć sobie śmieli,
Że we mnie by najmniejszej ufności nie mieli,
Boli niewdzięczność jego, a bardziej Anieli —
Kochałam go jak syna!

MARJA.

Źle, żeś go kochała,
Ta niepotrzebna zażyłość
Ośmieliła nadzieje i z tąd wzrosła miłość,
I dziś masz to, czegoś chciała.

HRABINA.

Byli pewni, że pragnąc ich szczęścia jedynie,
Wszystko to chętnie uczynię,
Co ich tylko do niego mogłoby przybliżyć.

MARJA.

Jako? aż tak dalece mogłabyś się zniżyć,
Byś dogadzając chęci jej urojeń gminnych,
Stargała całe pasmo stósunków rodzinnych?
I niepomna, coś winna urodzeniu twemu,
Jedyne dziecię mogłabyś posłubić
Tułaczowi przybłędnemu?
Oczewiście chcesz się zgubić!
Zresztą — jak chcesz. —

HRABINA.

Nie Marjo! moje myśli inne.
Cóż te biedne dzieci winne,
Że je dłoń przesądu dzieli?

A mnie nad wszystkie stosunki rodzinne
Milsze jest szczęście Anieli.

(Aniela niepostrzeżona od nich z przyległej sali słyszy całą rozmowę.)

Marjo! tyś nie kochała — ty powierzysz trudno,
Że te ognie raz, w małej wkradzione iskierce,
W czułe, niedoświadczone młodociane serce,
Podniecane oddechem wspomnienia, utraty,
Gorą, gorą długiemi niezgaszone laty,
I chyba w grobie ochłodną.
I mnie wszystko wydarli, i mnie przymusili;
Zaświadczyć mi, od tej chwili
Byłażem choć raz szczęśliwą?
Jako żywo, jako żywo!
Wierz mi — nieraz jeszcze, nieraz
Łza ukrywana i teraz
Się nie przestaje mi kropić.

MARJA.

Więc przez słabość naganną, z rozsądkiem przeciwną,
Chcesz córkę w innym wirze utopić?
To mi dziwno!

HRABINA.

Powiedzże, co mam robić? jakie rady twoje?

MARJA.

Natychmiast, jak przybędzie, zwołaj ich oboje,
I pod błogosławieństwem
Rozkaż jemu i Anieli,
Aby żadnej nadziei, żadnej mieć nie śmieli,
Inaczej, zagroź przekleństwem.
Powiedz mu, że nikczemnie twoich łask nadużył,
I wypędź raz na zawsze, jak na to zasłużył.
Przyrzecz mi to —

HRABINA.

Nie Marjo! to nad siły moje.
Ja znam jego gwałtowność — ja znam ich oboje,
Oni umrą —

MARJA.

— O! o to wcale się nie boję,
Bo też dotąd o takim nie słyszano cudzie.

W książkach czasem z miłości umierają ludzie,
Lecz na świecie —

HRABINA.

Ach Marjo! a jak on lub ona
W rozpaczy skona.
Kto mi wtenczas nagrodzi.

MARJA.

Wszystko to być może,
Jednak nie trworz się jeszcze, jak ja się nie trworzę,
Zresztą, jeźli tak rozum i powinność radzi
To czekaj, aż powróci i porę wybierze,
Uwiedzie ją, i z domu matki uprowadzi.

HRABINA.

Marjo! ty mię przestraszasz!

MARJA.

Bardzo temu wierzę.
Lecz kto mógł tak snadno
Pod znaką pięknej twarzy duszę kryć szkaradną,
Czyja dusza do zbrodni raz była sposobna
Cóż takiemu niepodobna?
W jego, w jego objęciu widzieć córkę twoją?
Stokroć klasztor lub mary bardziej jej przystoją?
Przyrzekasz mi?

HRABINA.

Ha! trzeba ich i siebie dobić!
Przyrzekam!

MARJA.

Ja ci powiem, co i jak masz zrobić.

(Hrabina odchodzi zapłakana.)

ZJAWIENIE V.

MARJA (sama).

Pojmuję więc — pojmuję — złośliwa gadzino!
Tyś to wiec cierpień moich i mąk mych przyczyną?

Ty niewinna istoto! — jadowite żmije!
Przeżyłam moje szczęście i wasze przeżyję!
Kochałam go tak tkliwie — a on mi nikczemnie
Pogardą odpłacając, urągał się ze mnie —
Widząc moje uczucia, szydersko mi za nie
Szacunek ofiarował i Uszanowanie.
I z każdą wydarzoną zaręczał mnie chwilką,
Że mnie kocha najczulej, ale jak syn tylko.
Jak syn tylko —? rozumiem! przemogłam się wreście,
I w mojej mocy jesteście! —

(Odchodzi.)

Jeżeli masz dawać rady,
To radź, jak czujesz i widzisz.
Śmierć, zniszczenie i zagłady
Piekłu miłe — dobrej rady
I w piekle się nie powstydzisz.

ZJAWIENIE VI.

BOŻYDAR (droga pocztowa lasem. — Bożydar zatrzymuje powóz).

(Do woźnicy.) Czekaj Bracie!

(Do Służącego.) Odwiązać dzwonek, niech nie dzwoni —
Zostać tu przy powozie — lecz niech Bóg was broni,
Przed godziną być we dworze.
Ja przez bór pójdę naprzód — wy przeczekać w borze.
Dać mi strzelbę — tu Dumka!

Hoży, piękny, miły,
W kwiecie wieku, życia, siły,
Na wyniosłe ramiona zarzucił rusznicę,
I pobiegł, jak myśl lotna, przez znajome laski,
Niecierpliwy obaczyć drogich oczu blaski.
Jeszcze ich nie ujrzał, a już myśl niesyta
Tkwiła na nich spojrzeniem, jak gdyby przybita,

I darmo w bliskiej trawce Dumka zadyszana
Wywietrzała przepiórki na rozrywkę Pana,
On jej szczerej radości jak w przód nie podzielał,
A Dumce dziwno było, czemu Pan nie strzelał. —

Biegł, a serce mu w piersiach biło niecierpliwie —
I myślał: «jak ją nagle, jak przyjemnie zdziwię,
I ona mnie powita tak szczerze, tak tkliwie!
O! gdyby już ją ujrzeć! — droga niedaleka,
Jeszcze lasek, jeszcze rzeka
Dalej ogród i podwoje,
Ach, gdzie wszystkie skarby moje!»
Dobrze! dobrze — spiesz się, spiesz się.
Jeszcze pora, ciesz się —!
Tam cię radość czeka!
Milsza chwila pożegnań z śmiertelnego łoża,
Bo serce choć gwałtownie, lecz raz tylko ściska,
Niż ta, co przez dalekie, samotne bezdroża
Wiedzie oko w równe na szczęścia zwaliska.
Gdy już dusza radością poczynała wzrastać,
A serce przeczuwało raj tak blisko siebie
A oko bliskie, wpływało w przedsiebie,
Wrócić — i lube lice zapłakane zastać;
Gdy ci, którymeś nigdy nie przeorał miedzy,
Którycheś czule kochał, którym szczerze sprzyjał
Lub jak czarną zarazę na sto mil omijał,
Bez twojej woli i wiedzy
W padli do twego szczęścia odjechanych dziedzin,
I stosy gruzów wznieśli w pamięć tych odwiedzin,
O! taką znaleść postać za swojem przybyciem,
Stokroć milej w pół drogi rozminąć się z życiem!

Leć tam, leć piękny myśliwcze!
Tam cię czeka z tęsknotą ukochane dziewcze,
Piękne oko w łzach się pławi,
A te łzy dla ciebie płyną,
Tyś ich celem i przyczyną.
Kocha, płacze i zrzódła łez swych błogosławi.

ZJAWIENIA VII.

ANIELA (sama — ogród przy pałacu).

Ach gdzie ty, gdzie ty mój luby,
Ja tu biedna płaczę.
Przybądź, niechaj raz jeszcze przed chwilą zaguby
Niech cię raz jeszcze obaczę!
(Wydobywa truciznę.)
Nim w krótce ten nas balsam na wieki rozdzieli,
Przybądź! odbierz ostatni uścisk twej Anieli;
Nie ma dla nas nadziei, — klątwa, potępienie —
Ostatnia nadzieja w grobie.
Przybądź, odbierz ostatnie Anieli westchnienie,
Niech cię jeszcze raz ujrzę — i skonam przy tobie.

ZJAWIENIE VIII.

ANIELA. BOŻYDAR (wbiega nagle).

BOŻYDAR.

Anielo!

ANIELA.

Ach Bożydar! —

Czyż ziemskich ust mowa
Zdoła żywy głos serca w nieme przelać słowa?
Są chwile uroczyste — gdy nad ziemskie szranki
Wzlata dusza radością, lub milknie boleścią.
Mowa jest im zniewagą, milczenie ich częścią.
Nie liczne w dziejach serca są chwil równych wzmianki:
Drogie lice na marach — i uścisk kochanki
I gdybyś w pierwszej chwili odebranych razów,
W pierwszego szczęścia zapale
Brzmiącym potokiem wyrazów
Śpiewał radość, lub ciężkie wypłakiwał żale,
To albo ty czuł mało, albo nie czuł wcale.

Aż kiedy pierwszych wstrząśnień wstecz się cofnie fala,
Serce czuć i przemówić dopiero pozwala.

BOŻYDAR.

Ty płaczesz?

ANIELA.

Już wszystko odkryte,
Wszystko zniszczone, przeżyte,
Klątwa nam — potępienie —

BOŻYDAR.

Dobrze!

ANIELA.

My niegodni —
Nasza miłość i szczęście najczarniejsza z zbrodni
I niechaj nas nadzieje żadne już nie mamią.
Mnie klasztor, albo mary — a ciebie wypędzą.
To nasz wyrok — a radą Marja —

BOŻYDAR.

Znam ją!
O piekielna jędzo!
Cała dusza jej widna w tej radzie szkaradnej —
Więc żadnej nadziei?

ANIELA.

Żadnej!

(Hrabina i Marja pokazują się od strony pałacu.)

BOŻYDAR.

Ach schroń się moja Luba! bo patrzaj, już biegą!

ANIELA (padając w jego objęcie.)

Tu jedyne schronienie, tu, w twojem objęciu —
Tu niechaj pierś przeszyje swojemu dziecięciu,
Martwą mię chyba zdoła wydrzeć z niego!

ZJAWIENIE IX.

BOŻYDAR, ANIELA, HRABINA — MARJA.

HRABINA.

Wężu! jako? w mych oczach? precz córko wyrodna!
I tyś łask mych już nie wart, i tyś ich niegodna —
Panie! na zbyt wysoko —

BOŻYDAR.

Tak jest, zbyt wysoko
Wzniosło mię serce Anioła,
Bo i pogarda Pani zniżyć mię nie zdoła.
Nie Pani — gdzie myśl zajdzie, a nie zajdzie oko,
Po tron sięgnąć nie wysoko,
Dla mnie nima za wysoko!
Co do łask obopólne zachodziły długi,
Były łaski i zasługi.

HRABINA.

Niema dla was nadziei, pokąd ja na świecie,
A jeźli wam śmierć moja ma być jej powodem,
Jeźli na nią rachujecie,
Moja klątwa nad wami i nad waszym rodem!

BOŻYDAR.

Paniżeś to wyrzekła? sąż to matki słowa?

HRABINA.

Skończono — żegnam Pana.

ANIELA (padając w ramiona Bożydara).

Bądź zdrów!

HRABINA (wyrywając ją).

Precz!

BOŻYDAR.

Bądź zdrowa!

(Hrabina i Marja uprowadzają Anielę).

ZJAWIENIE X.

BOŻYDAR (sam).

Sen że to czy jawa?
Ona niegdyś tak czuła, dobra, tak łaskawa,
Ona mię Synem zwała — łza płakała rzewną,
Gdym odjeżdżał — kazała każdę chwilkę chwytać,
Wracać do niej najspieszniej — i po cóż? zapewno,
By mię tak mogła powitać!

Życia kwiaty i pociechy
Jak majowe kwitną pola.
Jako róże, są uśmiechy,
I jak róż nikła ich krasa.
Jako burza, jest niedola,
Niknę wonne róż oddechy,
I uśmiechów blask zagasa.

I szukaj na trupa twarzy
Śladów, kędy uśmiech biegał,
Zda się, że się tu rozżarzy,
Gdzieś go za życia dostrzegał.

Zda się, że zajaśnieje nad umarłem czołem,
I oblecze blade lica,
Śniadawych promieni kołem,
Jak mosiężna obwódka dokoła księżyca.

Darmo! już się nie roznieci —
Czekaj wieczność, prożna praca.
Życie, szczęście raz uleci,
Ach, i więcej już nie wraca!

Życie serca tak bezsilne!
Jak myśl, błyśnie jedno — chwilne,
Błyśnie i odkwita.
Zabij kogo — nieodbicie

Zabiją cię za zabicie.
A weź życie — rzecz inna — nikt się i nie spyta.

ZJAWIENIA XI.

BOŻYDAR (wchodzi do swego pokoju).

(Do Służącego.) Konie z poczty i powozkę!
A to natychmiast!

SŁUŻĄCY.

Znów pojedziem Panie?
A dokąd?

BOŻYDAR.

Nudnyś! pocóż to dzikie pytanie?
Zresztą — na cztery wiatry — gdzie chcesz w imię boskie!

(Służący odchodzi.)

ZJAWIENIE XII.

BOŻYDAR I JANEK.

Janek (wchodząc, kładzie ukradkiem na stoliku paczkę z pieniędzmi).
Jak się Pan ma?

BOŻYDAR (ściskając go).

Jak się masz?

JANEK.

Ledwo Pan powrócił.

BOŻYDAR.

Bogdajbym był nie wracał!

JANEK.

A toż czemu Panie?

BOŻYDAR.

Przyjazd by nie radował i odjazd nie smucił.
Bo ty się zgodzisz mój Panie!

Że i chwilowe rozstanie
Gorzkie i rozdziera duszę.
A im jest dłuższe, tem krwawsze.

JANEK.

Alboż to Panu trzeba rzucać nas koniecznie!
Jabym chciał, by Pan z nami był wiecznie i wiecznie?

BOŻYDAR.

I ja chciałbym — ale muszę
Kochać was, i pożegnać i stracić na zawsze.
(Odwraca się i ociera łzy.)

JANEK.

Wie Pan, — jak Pan pojechał, to od tego rana
Pan nas wszystkich tak zasmucił!
Panna Aniela często była zadumana,
Często była zapłakana,
Nieraz mię zawołała i pocałowała,
I dała mi cukierków i wciąż powtarzała:
«Ach gdyby on już powrócił.»

BOŻYDAR (do siebie).

Bogdajbyś wprzód był oniemiał.
(Do Janka).
Wróciłem — Bóg gromów nie miał,
Bo na mnie ich nie wyrzucił!

JANEK.

Ale — a Pan wie, co tam leży na stoliku?
(Pokazuje paczkę, którą Bożydar chwyta skwapliwie.)
Pani Panu pieniądze przysyła na drogę.

BOŻYDAR (odrzuca z pogardą).

Powiedz, że tego przyjąć nie mogę —
Odnieś, a o łyżeczkę poproś arseniku.

JANEK.

Jak Panie!

BOŻYDAR.

Arseniku.

JANEK.

Już wiem — arseniku!
A jak u Pani niema, to ja wiem, co zrobię,

Ja gdzie indziej znajdę sobie;
Koło Panny Anieli trochę się popieszczę,
I poproszę grzecznie,
To nie tylko łyżeczkę, lecz i więcej jeszcze
Przyniosę Panu koniecznie.

(Bierze pieniądze i powtarzając — Arseniku, odbiega.)

Koniec Działania I.

Gdzie wszystkim obcy, sam sobie natrętny,
Tułam się wygnaniec.

Mnie powiedziano, że te znamiona
Tam mię kiedyś dowiodą,
Gdzie dusza, już nie gnieciona
Sama sobie jest nagrodą.

Jak bezbożnie i zdradziecko
Społeczeństwa wiara podła,
Mnie, natury wolne dziecko
Oszukała i zawiodła!

Zrodzonemu bez mej chęci
Bez mej wiedzy i pamięci.
Dłoń usłużna pierś swobodną
Odziała w pieluchy,
By koleją niezawodną
Przemienieć je na łańcuchy.
Kołyskę płytką i wązką
Okryto błyszczu gałązką. —

Czucia śpiące w sercu dzikiem
Oddechami złudzeń psuto,
macierzyńskiem lano mlekiem,
Wyniosłą swobody nutą
Jady kłamstwa w pierś zatrutą.
I człowieka wielkie miano
Przybylcowi na to dano,
Aby wstał — niewolnikiem.

Czczeni — Szanowni mordercze,
Ludzkość, Cnota, miłość kraju,
Wiara w miłość, w cnotę, w serce,
I w nieziemskie szczęście raju,
Wiara w ludzkie, w boże słowo,
To były kłamstwa zadatki,
Co z ust kraju, Ojca, Matki,

W potępieńca krew namiętną
Wpłynęły — i pierś woskową
Nacechowało ich piętno.

A dziś — wy moi Nauczyciele!
Kraju mój! moi rodzice!
Gdzież są owe górne cele?
Gdzie te szumne objetnice?

Kłamce! Ludzkość, wolność, prawa,
I moja ziemia w okowach,
Tyran się ich krwią napawa,
Kiry na naszych sercach i głowach
A miłość, szczęście i cnoty —
Puste dźwięki bez istoty,
Brzmią — w słowach!
Nie tak, o nie tak szyderce!
Zaprawiajcie młode serce;
Nie taki widok tułacza
Z przyjściem na świat niech otacza.

Niechaj mu dłoń społeczeństwa,
Naprzód stryczkiem ściśnie ręce,
Niech syn więzów i męczeństwa
Tak przepędza dnie dziecięce.

Kłamce! nie wolności nuta
Niech mu młodą myśl rozwija,
Niech przywyka grzbiet do knuta,
Niech pod jarzmo gnie się szyja,

To to dziecię nieodrodne,
Jak mu cierpień przyjdzie czas,
Niezawodnie będzie godne
Siebie, waszych praw i was!

I bezczelni! wy mówicie,
Że przywilej od powicia

Niesie z sobą ziemi dziecię
Do szczęścia i życia?

Ukochałem lube dziewczę,
Ona duch mój wyniosła z nicości ukrycia,
Jej serca tchnienie ożywcze
W mojem sercu wywiodło boskie źródło życia.

Gdzież ona dzisiaj? szalony zapędzie!
Ona jak gwiazda na Niebie
Jaśnieje dla ciebie,
Lecz twoją niebędzie!

A jednak ona moja, bo jej serce moje!
Czemuż i nie jej ręka? czemu nie oboje?

Ha dziwny ze mnie człowiek, wart śmiechu prawdziwie,
Dziwne robię pytania i potem się dziwię.
Dziecko! dziecko urojeń! spytaj raczej siebie,
Pocoś wzrok śmiał zatapiać w jej spojrzenia niebie?
O! trzeba, trzeba było zrzenice ponure,
Zasłać gdzieś, gdzieś daleko, za dziesiątą górę,
Tak zrobić było potrzeba,
Byłbyś nie znał, nie tracił i nie płakał Nieba. —

Lecz Boże! czyż to moja, lub jej była zbrodnia,
Że uczuciem odpowiednem
Nasze serca dziecięce, bliższe sobie codnia,
Spłynęły się, zmieszały, i stały się jednem?

O! nie — wtem żadnej zbrodni nie dopatrzy rozum,
Bo władza serca osobna —
Można dotrwać ogniom, mrozom,
Jemu niepodobna!

Jednak nazwano zbrodnią — Nima się co dziwić,
Wszak i oni ją także pragną uszczęśliwić,
Wszak jej szczęście i im drogie.

Oni pragną — a ja mogę;
Ale — przeklęte Ale! wszędzie mi się wciśnie,
I najpiękniejszą do szczęścia drogę
Zawsze przeorze zawiśnie!

Więc cierpieć, bez nadziei, bez świateł, bez końca?
I w sercu zatłumiwszy uczucia człowiecze,
Jako Arab, bić czołem przed obliczem słońca,
Co mózg mu czaszce piecze?

Nie! to nazbyt pokory — bezrozumne dziecko!
Czas już, czas łzą bezsilną przestać lica kropić
Za tysiąc ciosów ręką zbójecką,
Ty możesz twoją prawnie dwa utopić.

Trzecim własną krew wysączyć,
W jej resztach niedopitych jadu życia dopić,
I już zupełnie skończyć! — —
Janek!

ZJAWIENIE II.

BOŻYDAR. — JANEK (wbiega).

BOŻYDAR.

Dać pistolety!

(Janek odchodzi i wraca z pistoletami.)

Przetarte?

JANEK.

Przetarte.

BOŻYDAR.

Odejdź — lub nie — zaczekaj. —

(Porywa pióro, pisze prędko, napisawszy, oddaje Jankowi.)

Na — odnieś tę kartę.
Wiesz komu — a ostrożnie i przynoś odpowiedź.

(Janek odchodzi, Bożydar wpada w zamyślenie.)

Jeźliś miał kiedy ducha, to teraz go dowiedź.
Jednak wprzód ją obaczę — choćby tu widomie
Piekło stało naprzeciw i grom bił po gromie.

Chociażbym i przed czasem wyzionąć miał duszę,
Widzieć ją koniecznie muszę,
A potem — i cóż potem? — — żelazo przy tobie,
I troszczysz się potem! — — ha! już wiem co zrobię.

(po namyśle)

A jednak jej spojrzenie może mię osłabić.
To lepiejże teraz nabič.

(Przegląda i przedmuchiwa pistolety.)

Ach jak źle odczyszczony — i już zbity krzemień.
No! to weź drugi i przemień,
Bo ten pewno z losem w zmowie,
Ostatnim twym życzeniom zawodem odpowie.

(Nabija.)

Kto pierwszy te narzędzia wynalazł usłużne,
O! temu plemię ludzkie cześć i wdzięczność dłużne.

(Przymierza pistolet do serca.)

Ten pewno nie odmówi przyjaznej posługi.
Lecz na wszelki przypadek, lepiej wziąść i drugi.
Może jeszcze dla kogo — o tak! nieodbicie!
Zawsze życia warto życie,
Ha toż i ja mojego darmo nie odbiorę.
Śliczna myśl! pójdę, ubiję potworę,
Tę, co tchnieniem swojej rady,
W czarę naszego szczęścia zgubne wlała jady.
Widząc mózg jej po ścianach, oszpecone lice,
Widząc krew z serdecznego wybuchłą ogniska,
Dopiero moję zemstę, dopiero nasycę.
Ale nie — to zemsta zbyt niska —
Bo cóż? zabić hydrę?
Nie, trzeba znaleść męki, jakie są najsroższe.
Brat, ojciec, matka, siostra, co jest jej najdroższe,
Z pod serca jej wydrę,
W jej oczach ich posoką zbójczą dłoń zakrwawię?
Pozbawię ją wszystkiego, a życie zostawię.
Niech noj ą śmiech serdeczny po pod pierś załechce,
Może nie tak do utrat przyczyni się zechce.

Nie — i to jeszcze mało — tu zgryzoty nie ma,
A zgryzota ma stokroć jadowitszą władzę,
Bo nawet na jej ulgę i łzy nie popłyną —
Więc sobie przed jej oczyma
Czaszkę na głowie rozsadzę;
A sumienie powie jej, że ona przyczyną.

(Porywa nagle pistolety i nagle je odrzuca.)

Stój, stój niski zabójco! któryż to z Szatanów
Tchnął ci tę myśl piękną?
Zawołaj ich, i z nimi nad nią się zastanów,
Oni się jej zlękną. —

A ty mogłeś się odważyć,
Twoje nią serce znieważyć?
To serce bóstwu miłe, uświęcone od niej,
Święty ołtarz niebianki plamić myślą zbrodni?
Że nad tobą nie miano litości najmniejszej,
Dla tego masz być jeszcze od nich nikczemniejszy?
Szatanie! Szatanie!

Ty skończysz, a cóż wtedy z nią się biedną stanie?
Drogie łezki jej żalu przez grobowe wieko
Mściwą lawą wyrzutu do serca ci wcieką;
A wtedy, wtedy i w grobie
Spoczynku, ni schronienia, nima więcej tobie!

O przebacz moja luba! żem w rozpaczy szale
Dłoń na dni tobie drogie targnąć miał zuchwale,
Piekło, co w mej duszy wrzało
Tę mi straszną myśl podało.

Nie — nie — wiem, że dla serca, które szczerze kocha,
W ciężkich utraty chwilach mała wieści trocha,
Mały promyk nadziei, co przez cierpień chmurę
Przekradniony rozwidnia obszary ponure,
O życiu ukochanem zasłyszane echo,
Są jeżeli nie szczęściem, przynajmniej pociechą;

Lecz tam, gdzie tylko pewność zostanie niemylna,
Że już wszystko, co drogie, kryje darń mogilna,
Gdy jak kamień grobowy stojąc na mogile,
Liczyć trzeba tęsknotą każdą życia chwilę,
Do nabrzmiałej mogiły pierś zbolałą tulić,
A nie módz w drogiej piersi uczuć już rozczulić;
Za jednę kroplę życia dać swego trzy części,
A mało? oddać czwartej nadzieje i szczęście,
Byle z wiru utraty, z otchłani zaguby
Raz jeszcze ujrzeć oko, ujrzeć uśmiech luby;
Tymczasem niepodobna! kamienna konieczność,
Sercu powstałemu, co rozpaczą gore,
Od serca zagasłego kładzie na zaporę
Niepodobieństwo i wieczność;
Tam okropnie! — I tyż to mógłbyś ją tak dręczyć?
Za tyle szczęścia od niej, tak się jej odwdzięczyć?
A jeźliby rozstania zniknął nagle przedział,
Gdyby jej z twego serca przyszło dawać sprawę,
Cóżbyś nieszczęsny powiedział?

O przebacz Bóstwo łaskawe!
Ty jesteś dni tych ceną — o zbyt mi są drogie
Stargać ich bez zgryzoty, bez zbrodni nie mogę!
Będę żył — będę cierpiał — bo cierpieć dla Ciebie —
Lecz nie! wszak jest Bóg na Niebie,
Toż tak nie może być zawsze,
Nieba nam kiedykolwiek muszą być łaskawsze! —

(Wpada w głębokie zamyślenie.)

Coś Janek długo bawi, czy go nie przejęto?
Bo z tą potworą przeklętą
Żartować nie można.
On zbyt mało, a ona aż nadto ostrożna
Ach, gdyby prędzej wrócił — bo serce tak boli!
A te chwile leniwe płyną tak powoli —
Tak ponuro, tak dziko — nudno — a tęsknota
Tak tem biednem sercem miota —

Pamięć tylko, jak iskra tleje z pod popiołów
Wszystkie uczucia zcierpły, zakrzepły, nie palą,
Leżą jak martwy piasek pod burzliwą falą,
A cięża sercu — jak ołów.

Gdzieśbym szedł — gdzieśbym leciał — gdzieś do ziemi środka,
Możebym tam przynajmniej odetchnął swobodniej.
Potępieńcze! — to samo i tam cię napotka,
I tam nie skryjesz się od niej! —

ZJAWIENIE III.

JANEK (wpada zapłakany) BOŻYDAR.

BOŻYDAR.

Czegożeś się łzami zalał?

JANEK.

Panna, Panie umarła —

BOŻYDAR.

Zmyślasz? czyś oszalał?

JANEK.

Panna Aniela, Panie, truciznę zażyła.

BOŻYDAR.

Chłopcze! piekło z tą wieścią do mnie cię przysyła!

(Wybiega nagle).

Koniec działania II.

DZIAŁANIE III.

Qu'est ce que la vie? un souffle, un peu d'amour, de la gloire, bien de fautes, quelques plaisirs, beaucoup de peines, des larmes — — et de la poussière!

EL.

Bił wicher od północy i ryczały burze,
Biły grady, a księżyc utopił się w chmurze.
Było ciemno i straszno. — Nad urwiskiem skały
Zbłąkany, zniemożony, przeziębły, zgłodniały,
Stał nieznany wędrowiec — któż on jest i poco,
Drze się tam, walcząc z burzą, zamiecią i nocą?
Nie pytaj, kto on taki, nieś mu pomoc raczej.
Ktokolwiek jest, czyż nie dość, że ginie w rozpaczy?
Coraz i coraz słabszy, coraz bliższy końca,
Chciał raz jeszcze obaczyć złote światło słońca,
Lecz darmo z ust krzepnących szła prośba gorąca.
Przeparty ostatniemi z boleścią zapasy,
Zasnął snem nieprzespanym na wieczyste czasy.
Patrz! od wschodu gwiazdy bledną
I słońce wpływa na nieba.
Mniejsza o to! — świeć, nie świeć, już mu wszystko jedno,
Już mu cię więcej nie trzeba.
Gdy cię wzywał, nie przyszłeś, uśpione daleko,
Darmo cię konającą wyglądał powieką,
Teraz blask nieproszony natrętnie oświeca,
Zakośniałe w ciemnościach i martwe już lica.
Oko jego otwarte, lecz z za śmierci cieni
Nie widzi i pogardza blaskiem twych promieni.

Możesz śmiało odciągnąć nieprzydatne blaski,
Lepsza krzywda, a w porę, niż po czasie — łaski.

Nieraz i słońce świeci, i pogoda w górze,
A w duszy wichry ryczą, w duszę biją burze,
I myśl w nocy odmęcie wijąc się bez końca,
Na widokregu ulgi darmo szuka słońca.
Daremne prośby nasze, nasze łzy i skargi,
Z najdroższym głosem serca wyrok idzie w targi.
«Oddaj mi twoję młodość, radość i wesele,
Ja wszystko, co ci drogie, od ciebie oddzielę,
Każdy oddech zatruję, każdą myśl ci zmącę,
Każdy uśmiech dniem życia w rachunku potrącę.
Wszystko pod mojej woli silne wezmę straże,
A na krańcu przyszłości szczęście ci pokażę.
Wieczne jego życzenie ma być twojem hasłem,
I pierś drżącą zażewiem palić nie ugasłem.
Aż gdy ci serce ztrawią tęsknoty powolne,
Gdy już szczęścia słodyczy czuć nie będzie zdolne,
Wtenczas przy twoich marach, lub na twoim grobie
Jego blaskiem odziany, ja stanę przy tobie!»
Mniejsza wtedy o ciebie i o twoje blaski —
Lepsza mi krzywda w porę, niż po czasie łaski.

Stoją mary, śmiertelnym odziane całunem,
A przy marach, jak gdyby rażeni piorunem,
Wszyscy klęczą dokoła — aż żal spojrzeć bierze,
Klęczą i płaczą rzewnie i mówią pacierze.

Piękna — tak, jak i była przed skonania chwilką
Nie — ona nie umarła — nie — ona śpi tylko.
W ślubnej szacie — na głowie z rozmarynu wieniec,
Śpi, marzeń czarownych syta.
Na licu igra rumieniec,
A z ust jej uśmiech wykwita.
Obaczycie, ona spocznie,
I obudzi się niezwłocznie.

Jest przy czasie skonania krótka jedna chwila,
Kiedy się życie wieczne z śmiertelnem przesila,
W niej dusza ciału na pożegnanie,
Nim w krainy szczęścia wzleci,
Dając ostatnie pocałowanie,
Urokiem swej piękności twarz trupa rozświeci.
Wtenczas rys tej piękności z ziemskiego oblicza
Wszystko ziemskie wydziedzicza.
I martwą postać człowieka
Rajskiej uroczystości szata przyobwleka.

Ach patrzaj — tak z jej twarzy tajna jakaś siła
Promienie zachwycenia w około rozsyła.
Dusza widno niechętna oderwać się od niej,
Ulubione oblicze rozjaśnia pogodniej.
Jeszcze jego widokiem napieścić się chciwa,
Jeszcze, jak przyrośniona na niem odpoczywa.

Ach, pocóż te natrętne wyroczne gromnicy
Leją światłem nieżywem na Anielskie lice!
Piękne oko przymknione, rozpuszczone włoski,
Ręce w krzyż, a na piersiach obraz Matki Boskiej.

Pod jej świętą opieką szczęśliwsza od ludzi!
Znój ci długiej wędrówki skrzydeł nie utrudzi,
Pod jej świętą opieką rychło staniesz w niebie,
Gdzie orszak duchów bratnich czeka już na ciebie!
Lecz jakże ci łez godni, co przeżyli Ciebie!
Niesłyszysz — a tu ciebie matka nieszczęśliwa
Łamiąc ręce w rozpaczy, do życia przyzywa.
O! płacz, płacz nieszczęśliwa! nie ma ulgi tobie!
Grób — o nie! nie masz już i w grobie —
Nima w potokach łez winnych
A może — szukaj jeszcze w stósunkach rodzinnych.
Mogłaś nieba przychylić twojemu dziecięciu,
A tyś w ślepocie zaciekła,
Nie macierzyńską ustą wyrzekła,
Że ją wolisz na marach, niż w szczęścia objęciu.

Jakaż była jej wina? Godnaż takiej kary!
To jej zbrodnia cała
Że szczęśliwą być chciała,
Słusznieś ją za tę zbrodnię wywlokła na mary!
Woli twojej zadość —
Raduj się — i przeklinaj tę piekielną radość.

Ofiaro zaślepienia! nie płacz — niech ci płaczą,
Co serce macierzyńskie zatruli rozpaczą,
Te węże, co ziemskiemu szczęściu nie przychylne
Zawiodły cię radami w przepaści mogilne.
Niech ta — patrz! ona stoi. Zimna bryła głazu
Ni zgryzot, ni boleści na licach wyrazu.
Wszystkich wrażeń pociski w jej twarz wyuczoną
Tak nie dowiedziane toną,
Jak upada spojrzenie na nocy czeluście.
A jednak pacierz biega po bluźnierczej uście.
Nie czas ulgi szukać w wierze!
Dla tegoś pewno z jej ciała
Duszę pierwej wygnać chciała,
Byś za nią potem mogła odmawiać pacierze.

Tak i krokodyl nad Nilu zapadnią
Pije mózg z czaszki pielgrzyma,
By zbojeckiemi oczyma
Mógł potem zapłakać nad nią.

Patrz — wszedł jakiś młodzieniec, czy on z grobu wstały,
Że wzrok mu, jak u trupa, martwy, osłupiały?
Stoi niemy i blady jakby posąg z kredy,
A nieczuły, jak ze skały!
O! jeżeliś miał serce, jeźliś kochał kiedy,
Jeżeliś był na swoich nadziei pogrzebie
Przytomny własnej zgubie, jeźliś przeżył siebie,
Drogich utrat świadomy, jeźliś mógł im dostać;
Przywołaj z tych chwil serce, zbierz się cały w myśli,
To ci się obraz jego sam z siebie wykreśli,
I obaczysz jego postać.

ZJAWIENIE I.

HRABINA. BOŻYDAR. MARJA.
ANIELA (na marach).

HRABINA.

Bożydarze! Synu mój!

BOŻYDAR.

Co? tyś matką moją?
A te mary, co stoją?
Jak mówią na to?

HRABINA.

Przebacz, przebacz Bożydarze!
Synu mój!

BOŻYDAR.

Matko moja! ciężko Bóg nas karze!
(Pada przy stopach Hrabiny).

Czyż już nimasz nic na ziemi?
Gdzie wszystkie twe skarby? «w grobie!»
A ty żyjesz, jak kamień grobowy nad niemi?
«Muszę!» Biada, biada tobie.

Na kochanej mogile słońce świeci milej,
Na kochanej mogile płyną pociech zdroje.
Idź tam, i zdroje łez wylej,
Idź — tam wszystkie ulgi twoje.

I jeźli cię powinność ciężkiemi ogniwy
Po stracie życia jeszcze wiąże przy żywocie,
Jeźli z rozdartem sercem chodzący trup żywy,
Poślubiony cierpieniom i wiecznej tęsknocie,
Trwać musisz, a nieufnyś dotrwać o twej sile,
Idź, i na drogiej mogile
Poprzysięgnij cnocie.

To w zbolałe serce twoje
Wytrwałości wpłyną zdroje.
Na kochanej mogile zrób postanowienie,
Stwierdź je pieczęcią klątwy na kochane cienie,
I raz przysiężonemu stale dotrwać umiej,
To z kochanej mogiły posłane natchnienie
Otrętwi twoję rozpacz, okamieni boleść
I żyjący obraz mumij
Przetęsknisz drogę życia obumarłym duchem,
Zwiędłem sercem, okiem suchem,
I bez wsparcia żelaza grobu zdołasz doleść.

Są na drogiej mogile inne ulgi jeszcze,
Gdy serce dłoń utraty w krwawe weźmie kleszcze,
A dusza bez ustanku w wirowym obrocie
Bije się po żelaznym cierpień kołowrocie;

Idź, gdzie na drogim grobie płacze cyprys zwisły
Wyzwij ukochane cienie,
To z kochanej mogiły posłane natchnienie
Jak rdza przeje ten łancuch, co spajał ci zmysły.

Wtenczas możesz, niczemu w naturze niedłużny,
Wydrzeć się powinnościom, wykraść się cierpieniom,
Jeszcze ci błyśnie szczęście z daru tej jałmużny,
I będziesz je raz jeszcze drogim winien cieniom.

Bo po szczęścia utracie, kiedy dzień odednia
Nic już, krom mogiły, niezostało życzyć,
To pociecha niepoślednia
Ze zmysłów się wydziedziczyć!
Na kochanej mogile, gdy już wszystko znikło,
Gdy i głos powinności milczy przed boleścią,

Gdyś już postanowił zgrzeszyć,
Idź, tam i dłonią niewieścią,
Sztyletowi nie nawykłą,
Jak gdyby najuczeńszą zdołasz serce przeszyć.

ZJAWIENIE II.

BOŻYDAR. JANEK.

JANEK.

Pani Pana prosi.

BOŻYDAR.

Gdzież Pani?

JANEK.

U siebie.

BOŻYDAR.

Słuchaj — powiedz mi Janie, był ty na pogrzebie?

JANEK.

Byłem Panie — tak stałem przy grobie —

BOŻYDAR.

Powiedz mi, tylko szczerze, czy żal Panny tobie?

JANEK.

Ach jakże Panie nie żal — takiem płakał szczerze,
Taka kochana Panna.

BOŻYDAR (wzruszony całując go).

Ach wierzę, ci wierzę,
Poczciwy chłopcze! — Lecz tobie łzy biegą?
Czegoż tak rzewnie płaczesz?

JANEK.

A Panże dla czego?

BOŻYDAR (ukrywając łzy).

Ja znowu? nic mój Janie — to tak ci się zdaje,
To ja tak tylko sobie —

JANEK.

Nie Panie — Pan płacze,
Nie płacz Pan, bo mnie z żalu aż się serce kraje;

BOŻYDAR (załamując ręce).

Już jej nie zobaczę! —
O biedne, biedne dziecię! już ją dla nas obu
Wydarł zimny oddech grobu!

Nie płacz jej moje dziecię! bo to nadaremno!
Szczęśliwa! naszych cierpień nie widzi jej oko.
O! zapłacz raczej nademną
Nim i mnie w krótce na mary wywloką!

JANEK.

Alboż i Pan chce umrzeć?

BOŻYDAR.

Nie, nie moje dziecię!
Ja nie chcę, ależ widzisz, nasze ziemskie życie
Takie słabe, niepewne, i tak w lada chwili
Możem zniknąć, jakbyśmy nigdy tu nie byli.
Toż gdybym i ja kiedy umarł niespodzianie,
Weź sobie tę pamiątkę, mój kochany Janie.

(Daje mu worek z pieniędzmi).

To tobie na wspomnienie po mnie pozostanie.
Dasz to twej starej matce.

JANEK.

Cóż mi z tego złota,
Pan umrze, a ja biedny zostanę sierota.
Niech Pan, niech nie umiera.

BOŻYDAR (uśmiechając się.)

Dla ciebie to zrobię,
Że nie umrę — ale ty zabierzesz to sobie?

JANEK.

Ja wezmę, ale potem oddam Panu znowu,
Tylko niech Pan da słowo, że się nie zastrzeli.

BOŻYDAR.

A tyż wierzysz memu słowu?

JANEK.

Wierzę, bo jak Pan słowo dał Pannie Anieli,
Że co zrobi, to zrobił — a Panna Aniela,
Pamięta Pan, mówiła, że to grzech śmiertelny,
Że za to czeka ogień piekielny,
Jeźli kto sam się zastrzela,

A potem dusza jego wypędzona z nieba
Straszy ludzi po nocach — a Panuż potrzeba,
Aby Pan był upiorem?

BOŻYDAR.

Ten chłopiec mię trwoży;
Czy piekło, czy przez niego głos przemawia Boży?
Ale skąd ty masz myśl tę, że ja się zastrzelę!

JANEK.

Bo ja słyszał — tam Pani mówiła tak wiele
Do księdza kapelana, aby był przy Panu,
I z obowiązków swojego stanu
Dawał Panu nauki — a przez swoje wpływy
Cieszył Pana i wspierał — bo Pan nieszczęśliwy;
Że to i wiarę w Panu musiało osłabić,
Że Pan bardzo rozpacza, że Pan chce się zabić.

BOŻYDAR.

I cóż więcej?

JANEK.

Coś jeszcze — ale ja się boję,
Bo Pan będzie się gniewał —

BOŻYDAR.

Nie, nie dziecię moje,
Nie będę, tylko powiedz, co to wszystko znaczy.

JANEK.

Pani Pańskiej lęka się rozpaczy,
I kazała tam nasze zanieść pistolety.

BOŻYDAR.

I tyś odniósł?

JANEK.

A odniósł —

BOŻYDAR.

Tej pięknej zalety
Nie znałem jeszcze w tobie — wstydź się, wstydź mój Janie!
Oszukać mię, to takie twoje przywiązanie?

JANEK.

Ja więcej już nie będę — ja znowu odbiorę —

BOŻYDAR.

Dzięki wam serca tkliwe! pocieszać mię skore.
Piękna, górna życzliwość — szkoda że nie w porę!

Po błękitnem podniebiu płynie księżyc blady,
A iść pod jego światłem, to tuż zaraz w ślady,
Jakkolwiek człowiek mały, wielkoludzkie cienie
Biegą za nim, jak znikłych słodyczy wspomnienie.
Ni odegnać, ni uciec — w którą ruszysz stronę,
Nieodstępne przy tobie, są jak przyrośnione.
Czemuż, proszę, ten księżyc, to wklęsłe podniebie
Choć raz ich kiedykolwiek nie weźmie do siebie.

Ach czemuż gwiazda szczęścia, co się czasem zjawia,
Chmurne cienie przeszłości po sobie zostawia?
Gwiazda znikła, a pamięć jak chmura posępna,
Przyrośniona do duszy żyje nieodstępna.
Czemuż, gdy z nieba wyszła, niknąc znowu w niebie
I wspomnień pozostałych nie weźmie do siebie?

Księżyc świeci nieśmiało, a przestrzeń nadziemna
Niepewną tli się barwą, ni jasna, ni ciemna.
To właśnie taka barwa, napół tajemnicza,
Jaką uśmiech nadziei serce zapożycza.

W takim brzasku niepewnym życzenie się wije —
I młode serce chłopca niewyraźnie bije,
Nim spojrzenie Anioła Niebo mu odkryje.
W takim brzasku niepewnym dusza matki drżąca
Niepewną przyszłość syna trwożliwie przetrąca,
I miłość pół lękliwa, a pół ośmielona
Tkliwem, rzewnem westchnieniem młode wznosi łona.

Księżyc świeci nieśmiało — patrz u wrót smętarza
Jakaś się lekka postać, czy słup cienia stwarza.

Może to duch przeszłości spłynął na promieniu,
Litować się na grobach, żyjących cierpieniu?
Może to duch mogiły, z zapłakanem okiem,
Wyszedł pogadać z wiatrem i jasnym obłokiem,
I przesłać na ich skrzydłach w żywą pierś kochaną
Sny o sobie, co mają pocieszyć ją rano.

A może i Syn ziemi, co usnąć nie może,
Rzucił na chwilę cierpień kamieniste łoże,
I wyszedł zwiedzić życia i śmierci rozdroże.
Między ziemią zbyt bliską, a Niebem dalekiem,
On wygnaniec obojga, jest tylko człowiekiem —
Pragnie Nieba — a z ziemią rozstać się nie może.

Wieszże ty, co jest ziemia? zimna bryła błota,
Którą rządzi znudzenie, czczość, albo tęsknota.
A ci, co na niej tęsknią, co w słodkiej obłudzie
Przelatują w uśmiechach, albo drżą w obawie,
Jak na wschód i ze wschodu ciągnące żórawie,
To są goście chwilowi — to wędrówce, ludzie. —

Jakiż pociąg ich wiąże nieprzeparty, wieczny,
Do tej pustyni życia?
Widzieć zachód ostateczny
Na dziedzinie rodzinnej, znanej od powicia?
Ach ta siła niepojęta,
Wielka, tkliwa, górna, święta;
Ją przynosi pierś dziecięcia
Z najpierwszym życia oddechem,
Ona brzmi w męzkiej piersi myślą, czynem, echem,
I pierś, w której poczęta, wznosi i uświęca.

Wyższa nad stan nużący czczości lub przesytu,
Nad wszechmocną żądzę bytu,
Władnie i pogardza niemi.
Nima, nie zna nic na niebie
Równego sobie, prócz siebie;
Ten pociąg, jest to cnota — Miłość swojej ziemi!

Na tej ziemi gdzieś się rodził,
Pod drogą strzechą ojczystą,
Gdzie ci ranek życia wschodził,
Gdzieś pił życia słodycz czystą,
Nie masz miejsca, ni chwili, byś ich nie obchodził
Myślą, radą, westchnieniem, lub łzą uroczystą.
Na ziemi uczuć twoich, choć ci dłoń utraty
Zniosła najpiękniejsze kwiaty,
Są jeszcze drogie skarby — święte, bo nie twoje.
Trawka, co zieleniła młodości twej błonie,
Na grobach twej przeszłości rozwite powoje,
Drzewko, co ma ocienić grób po twoim zgonie;
Serca, co biją w koło, choć nie tobie biją,
Twarze braci, współludzi, co pod jednem słońcem
Tym, co ty, oddechem żyją,
Co bezsilnym dni twoich początkiem i końcem
Opiekować się raczą,
I z uśmiechem radości, lub niemą rozpaczą;
Grudką ziemi rodzinnej martwą twarz przykryją,
To są skarby tej ziemi, coś jej wdzięczność dłużny
Za radość, za uśmiechy, za łzy i cierpienia,
Dane ci od niej darem obfitej jałmużny,
Równo z chwilą odetchnienia.

To są twe skarby rodzinne,
Którym krew twoja należy,
I twoje piersi powinne
Bronić je od zniewagi, gwałtu i grabieży.

A gdybyś, na jęki jej, niski i wyrodny
Nieponiósł głowy na tysiące grotów,
Gdybyś najdroższych uczuć, najświętszych przedmiotów
Poświęcieć jej nie był gotów,
Toś mieć Ojczyzny niegodny.

Siwy ojciec łamie ręce,
Matka targa pierś w żałobie,
Dziecię dłonie niemowlęce
Wyciąga ku tobie.

I droga, jak miłość cześci,
Ich swoboda, jak kraj droga,
Luba twoja w łzach, w boleści,
Klnie rozstanie, bluźni Boga;

Lecz powinność cię woła — precz żalu niewieści!
Mąż, syn ojczystej ziemi, wiesz gdzie miejsce twoje!
Starą Ojców pochwyć zbroję,
I leć nie wstrzymany płaczem.
Tam legniesz za kraj chlubnie, ciosami przeszyty,
Lub wrócisz laurem okryty,
Lub będziesz wielkim — tułaczem!

ZJAWIENIE III.

BOŻYDAR (na grobie Anieli z pistoletem w ręku).

Ucisz się moje serce! czas upływa chyży,
I w krótce twoich cierpień koniec się przybliży.
Dobroczynne żelazo wszystko razem skróci.
I nicość przywracając, pokój ci przywróci.

Jakież mię wstrzymać węzły na tej ziemi mogą?
Mam że tu niepłakany, opłakiwać kogo?
Mam czekać wśród zamieci, nim błyśnie pogoda,
I nim mi litość czyjaś zimną rękę poda?
Nie — choć ognie pierś palą, choć ból duszą targa,
Do łez się nie poniżę, nie spodli mię skarga,
Jeden cios, tak łagodny! zniszczy stokroć krwawsze,
Nazawsze ją odzyskam, lub stracę na zawsze!
A jeżli i tam cierpieć, pocóż mam odwlekać?
Wszak i tam gorsze piekło nie może mię czekać!

(Słychać głosy za smętarzem.)

Ciszej — już nadchodzą —
Znane mi te głosy,
O! jakże ciężkiemi ciosy
W to biedne serce godzą!

(Hrabina, ksiądz z ludźmi i ze światłem wchodzą, wypatrując Bożydara, który kryje się za grobowce. Nieznalazłszy, odchodzą, ksiądz ukryty i niewidziany od Bożydara, zostaje.)

Strzegą mię — właśnie w porę, w każdych ustach cnota,
Cnotą mię chcą koniecznie przykuć do żywota.
A gdy mnie zabijali, gdzie była ta cnota?
A mnie kto niósł pociechy? duszę wyprzeć zemnie,
Cnota — mnie kochać, zbrodnia — moje szczęście — zbrodnia,
Dla ich pociechy wlec życie nikczemnie —
Cnota — i tak na przemian, od potrzeby, co dnia
Najjaśniej ci udowodnią,
Że co dla nich, to cnotą, co dla ciebie — zbrodnią!
Co dziś zbrodnią, jutro cnotą —
Lecz już — lecz już mniejsza oto!
Uderz, uderz, nim bezwładnie
Od piersi ci niewieściej męzki duch odpadnie.

ZJAWIENIE IV.

BOŻYDAR. KSIĄDZ.

KSIĄDZ (wybiegając nagle z za grobowca, wyrywa pistolet z rąk Bożydara).

Stój zbrodniarzu!

BOŻYDAR (z ironią).

O cnotliwi!
Pewno pociech wam potrzeba,
U was łatwo martwi, żywi,
Ludzie i ziemie, piekła, nieba,
Promień słońca, ciemność nocy
Są natychmiast ku pomocy,
Gdzie zabić nieszczęsnego, lub wskrzesić wam trzeba.

KSIĄDZ.

Samolubie! Mnie nie dziwi,
Żeś nie znając cierpień miary
Pragnął skrócić byt nie luby,
I jednym ciosem zaguby
Z własnej piersi na cudzą zwalić mąk ciężary.

BOŻYDAR.

Więc jeźli was nie dziwi, wy nie samoluby!
To czegoż odemnie chcecie?
Ja nikomu nie zazdroszczę,
O nikogo się nie troszczę,
Ja nie żądam nic na świecie,
Ani waszej pociechy, ani współcierpienia,
Waszej rady, ni opieki,
Ja chcę tylko zapomnienia,
Chcę zapomnienia na wieki,
Czym gdzie był kiedy na świecie?

KSIĄDZ.

Dobrze, istoto wyższa, czy niższa od ludzi!
Na — weź, to przeczytaj (oddaje mu pismo)
I tu ducha dowiedź.
A jakie to tobie uczucie ubudzi,
O radę serca zapytaj,
I czem jesteś w istocie — pokaże odpowiedź.

BOŻYDAR.

Zapewne coś ważnego — nadzwyczajne rzeczy.
Komuś trzeba pociechy — nudny ród człowieczy!
Ojcze! i ty mię nudzisz, i wszystko mię nudzi,
I twoje pismo nudzi.

KSIĄDZ.

Czytaj!

BOŻYDAR (bierze pismo od niechcenia i zaczyna czytać przy świetle latarnki Księdza — i twarz jego coraz żywsza).

Wielki Boże!
Ona z grobu ma powstać? możeż to być?

KSIĄDZ (uroczyście).

Może!

BOŻYDAR.

Moich ojców ziemia święta,
Tam haniebne kruszy pęta,
A ja ostatni z ostatnich
Jeszcze nie w szeregach bratnich?

Słuchaj Ojcze! dziś — za chwilę
Już mię tutaj nie ujrzycie.
Słuchaj Ojcze! w tej mogile
Zostaje mój świat cały — mojej duszy życie.
Ja rzucam ją — ja tam lecę,
A ten grób drogi twojej poruczam opiece.

Każda grudka tej ziemi, każde źdźbło na grobie
Jest mojej duszy własnością.
Ojcze mój! jak mnie, tak tobie
Niech ten grób będzie świętością.

Gdy mię od was los oddzieli,
Bądź mu Aniołem stróżem — błagam cię przez Boga.
I nimam pociechy innej
Prócz mojej ziemi rodzinnej
A ziemia ta zbyt mi droga,
O! bo jest grobem Anieli. —

Błogosław mi — daj grudkę tej kochanej ziemi
Jak zakład błogosławieństwa.
Gdy legnę w boju między nieznanemi
Nią każę przykryć oczy — i ta grudka ziemi
Będzie mi palmą męczeństwa.
Błogosław mi!

KSIĄDZ.

Idź Synu! niech Bóg nad twą głową
Czuwa, jako serce moje.
Niech błogosławi świętą walkę narodową,
Niech wasz oręż, jak groźne mocy jego ramię
Zastępy wrogów przełamie,
Bo jako imię jego, święte wasze boje.

(Bierze garść ziemi z grobu Anieli i całując w głowę Bożydara, oddaje mu ją.)

Noś ją na twojem sercu — a tej ziemi siła
Powie ci, żeś nie wszystko utracił na świecie,
Że jest na nim twa własność — kochana mogiła.

Idź przed czasem zwiędły kwiecie!
Błogosławię drogi twoje!»

(Bożydar odbiera błogosławieństwo, pada na grób Anieli i całuje ziemię na nim.)

Czyj to konik, jak śnieg biały
Biały, w czarnym rządzie,
Szybszy wichru, lekszy strzały,
Leci w całym pędzie?

Tylko pyłów chmura wzbita
Za nim w ślad się zjeża,
I tętętem z pod kopyta
Grzmią Liwca wybrzeża.

Jakiż ogień w jeźdca oku
Tak się dziko pali,
Jak łysk, co od jego boku
Z groźnej bije stali?

Chorągiewka jak myśl drząca
Gra w jego prawicy,
Jako tęcza latająca,
Jak mig błyskawicy.

O! nie radość jeźdca żenie,
Szczęście w oku nie tak świeci,
On śmierć niesie i zniszczenie,
Na śmierć i zniszczenie leci.

Za nim, jakby rwała powodź
Jakby orłów chmura,
Leci hufiec polskiej młodzi,
I grzmi polskie hura!

Tłumy wrogów tam przed niemi,
A to wrogi drogiej ziemi!
Padli — i z oszczepów boru,
Już tylko zwaliska.
Darmo! tam nima oporu,
Gdzie ułańska lanca błyska.

O! komu ułańska pika
O serce się w piersi spyta,
Komu dłoń Ułańska dzika
Wskaże drogę pod kopyta,
Ten nie zdoła pewno więcej
Gorzkich naszych łez przedrzyźniać,
I żyrem swej krwie bydlęcej
Pójdzie niwy nam użyzniać.

Spytaj słońca, świeciło nad Dominicami,
Nad Dębem, nad Iganiami.
Pod Iganiami, pod Dębem
Najezdników plemię
Bezsilne już nieść gwałty, gryzło wściekłym zębem.

Z pod kopyta naszę ziemię
Słońce powie dni tych rzezie,
Bo ich sława nie przeżyta,
Raz zakwitła, nieprzekwita,
Przejdzie wieczność, w wieczność wpita,
Jak ślady krwie na żelezie.

Ale gdzież jest konik biały,
Biały w czarnym rządzie,
Co na czele lotem strzały
Miótł się w całym pędzie?
Gdzież jest jeździec, co w zapale
Nie znał tam dla twego cięcia?
Co tak zapamiętale
Rzucał się w śmierci objęcia?

Nie widno go już na przedzie
Przed hufcem walecznym —
Już na bój go nie powiedzie
Uśpiony snem wiecznym. —

Łza w obozie płynie rzadka
Ale szczera ta, co płynie,
Nie wylewa pewno Matka
Szczerszej po poległym synie,
Jak łza żalu gorzka, dzika,
Nad poległym bratem broni,
Którą oko wojownika
Na polu zwycięztwa roni.

Na Igańskich polach cisza —
Księżyc świeci śniado —
Towarzysze — towarzysza
Na mary tam kładą.

Mary proste — sześć lanc krzyżem,
Postrzelany płaszcz — nakrycie.
O! zbyt rychło skrzydłem chyżem
Młode uleciało życie!

Uleciało z piersi czynnej,
Z piersi wyschłej od tęsknoty,
Którą ozdabiał krzyż złoty.
Jedyna nagroda bohaterskiej cnoty,
I kryta garstka ziemi rodzinnej,
Przyniesiona z strony innej,
Z grobu najdroższej istoty.

Szczęśliwi w dniach owych blasku,
Coście żyjąc duszą czynną,
Legli na ziemię rodzinną
Przykryci garstką rodzinnego piasku!

A my po tej blasku chwili
Dni tułactwaś my dożyli!
Przyjdąż równe, lub podobne
Górnym owym chwilom chwile?

Przeszłość, jak zachodu fale
Odpłynęła w pełnej chwale,
A my — tułacze, jak brzozy żałobne,
We mgle nocy, w tęsknocie, jak głazy nagrobne
Dogasamy na mogile!

w Paryżu,
30. Kwietnia 1832 r.

ODSTĘPCA ALBO RENEGAT.

FANTAZYA.

ODSTĘPCA ALBO RENEGAT.

FANTAZYA.

POŻEGNANIE.

Dwa hołuby wodu pyły,
A dwa kołotyły;
Bohdaj tyiś ne rodyły,
Szczo nas rozłuczyły;
Szczo naszymy ślozonkami
Sebe napojiły.
Z Pieśni ominnej na rusi.

Bądźcie zdrowi! jeszcze raz,
Raz ostatni, chwilka, dwie,
I nie ujrzę więcej was!
I wy nie ujrzycie mnie!

Bądźcie zdrowi!? kto? i gdzie?
Kogo, tu? gdzie? żegnać mam?
Jęk po jęku, łza po łzie
Płynie, niknie, a ja sam!

Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!
Brakło tchnienia, brakło słów,
A z najdroższych wygnańcowi,
Nikt nie odrzekł: bywaj zdrów!

Polsko! takież to posagi
Z progów twych unosi syn?
Nagie serce na świat nagi!
Może łez twych nie był godny?
Ależ nie był i wyrodny,
Za cóż karzesz go bez win?

Na wieczną drogę męczeństwa,
Żaden głos błogosławieństwa
Nie pokrzepił go.
Nikt niknącego westchnieniem,
Nikt współczuciem, współcierpieniem,
Nikt nie wspomógł łzą.

A jednak, jakaś szeroka,
Wszędzie, gdzieś, myśl skarb ma tu,
Droższy niż blask dnia dla oka,
Niż dla piersi kropla tchu.

Skarby ciężko zarabiane
Ceną serca i krwi tej,
Zapłakane, zacierpiane,
Krwawa własność duszy mej.

Na co spójrzę, wszystko drogie,
Ziemia, niebo, tyle lic;
Ja nic z sobą wziąść nie mogę,
Potępieniec, nic a nic.

Jak najlichszym nędzarz żebrał
O garść świętej ziemi tej;
Żebrak, i cóżem odebrał?
Drwiący uśmiech zamiast niej.

Drwiący uśmiech! ten skarb cały,
Matko! twój unosi syn!
Bo tam pewno świat już mały,
Pewno na nim brakło drwin.

Słusznie! poco cudzych Bogów,
Cudzych szyderstw szukać gdzie?
Kiedy można z własnych progów,
Od najdroższych unieść je.

Drwiący uśmiech! tą spuścizną
Obdarzyli w Polsce mnie!
O mój kraju! o! Ojczyzno!
Dusza moja wie, żeś ubogą,
Prócz rozpaczy, co pierś biedną targa twą,
Nic dziś nie masz, i tułaczy
Zaopatrzyć nie masz w co.
Nie dasz laurów tryumfowi, ni pociechy słowa,
Bo nad tobą: knut, łańcuch i ciemność grobowa!
Lecz Bóg świadkiem duszy mej:
Żem nic nie chciał z dłoni twej.
Łzy masz tylko, łzę mi daj!
Świat z nią przejdę z dumnem czołem;
A przy skonaniu, w nieba mi zawisne
Ostateczną klątwę cisnę,
Łzę pokażę i powiem: z Ojczyzny ją wziąłem!
Nią płakał mój kraj!

A dzisiaj! drwiący uśmiech! ta tylko puścizna
Na wieki mi pierś otoczy!
Ten dar dała mi Ojczyzna!
A konającą myśl i oczy
Raz ostatni w niego wlepię.
Skonam, a w sercu zatrutem,
I na potępionej twarzy,
To wieczyste wzgardy piętno
Żywym ogniem się rozżarzy,
I ostatecznym wyrzutem
Wspomni Polskę obojętną!

A gdy przyjdzie sąd ostatni,
Jeźli kiedy przyjdzie gdzie,
Tym uśmiechem, kraju bratni,

Wygnaniec, powitam cię!
Nim przed Bogiem cię oskarzę!
O! i Bóg mię nie ukarze!
Boś ty tak pożegnał mnie.

Kraju mój! ja na wygnanie
Unoszę tylko niedolaną krew;
To moja własna, przy tobie zostanie
Myśl moja i śpiew.

Bądźcie zdrowi! Z poza góry
Drży już blade światło dnia,
A wygnańca wzrok ponury
Opuściła gorzka łza.

«Dość, szaleńcze, dość już czuć!
Weź pielgrzymi kij do ręki,
I rozbratu piosnkę nuć,
A te cnoty i te wdzięki,
Te wspomnienia, łzy i jęki,
Raz na zawsze w piekło rzuć.

«Bez nadziei i bez wiary,
Z zawiedzionem sercem sam,
Jedno mi dziś, step Sahary,
Czy tu; nieba wszędzie jedne,
Piersi z głazu, czoła miedne,
Jedni ludzie, tu, i tam.

«Dajno Boże! byle koń,
Byle rychlej lanca w dłoń;
Pohulamy, póki młodzi,
Gdzieś w pustyniach z wichrem w lot,
Żadna pierś już nie obchodzi,
Jeno w każdą puści grot.»

Dziko wicher października
Po bezlistnych drzewach gnał,
I twarz męża była dzika,
Jak chropawę czoło skał.
Lecz któż wnętrze tych skał zbada?
Może czysta złota żyła
Ramiona tam rozpuściła,
Jak zniszczenie, jak zagłada.
W niedociekłej ich głębinie,
Może wulkan lawą płynie,
Lub ożywny zdrój przepada.
Ale nieme skał oblicze,
Niepojęte, tajemnicze,
Pewno tajni nie wygada.

Twarz męża była niema jak grobowe wieko,
I w przelotnym uśmiech biegu
Igrał po niej zimowo, jak promień po śniegu,
I łza niedostrzeżona drżała pod powieką.
Łza dawna, nie otarta, jak bryzga kryształu,
Dostygła po chwilach cierpień i zapału,
Dostygła! nim uśmiech dumy i pogardy
Zamrozi ją, i nada kryształu hart twardy.
Bo gdyby ją był dostrzegł, otarłby żelazem,
Co mu w dłoni drżało;
Otarłby, lecz z okiem razem,
Co wbrew woli płakać śmiało.
Bo gdzie wola męża działa,
I na rozkazy krew da,
Tam niech w piersi wulkan pała,
Pierś i twarz ma być jak skała,
I jak skała milczeć ma.

A on zaczął nienawidzić,
On się zaczął łez swych wstydzić.
Nienawidzić! Kogo? Gdzie? —
Za co? Ha! Bógże to wie! —

Kogo? — Za co? — o! szczęśliwcze!
Tobie światem twoje dziewcze;
Wszystkie cele, przedsięwzięcia,
Całe niebo duszy twej,
Zawarłeś w krąg jej objęcia,
Utopiłeś w oku jej;
I u stóp twego dziewczęcia,
Niepojęto, dziwno ci,
Że pierś jakąś ból tam gniecie,
Że jest jakaś pierś na świecie,
Co się zawiedziona mści.
Wierzysz w miłość, w przyjaźń, w cnoty,
Uzdrowi cię wiara twa.
A na tamto pytanie, kiedyś w dniach tęsknoty,
Własne serce odpowiedź ci da!
O! i przyjaźń, dusza życia,
Wzniosła cnota, przyznasz sam,
Sam ją wielbię od powicia,
Sam jej równych mało znam.
Jeźli dobre niebo wcieli
Jedną duszę w piersi dwie,
Jak ta dusza przyjacieli
Różowe im przędzie dnie.
Pod jej hartem pierś oboja,
Jakby jasna stalna zbroja,
Wspólną siłą, silna trwa.
Biją wichry, palą ognie,
Rdza nie chwyci, młot nie pognie,
Wszędzie odpór da.
Przyjaciele! o szczęśliwi!
Bez wątpienia was to dziwi,
Że pierś jakaś, bez pociechy,
Bez współczucia, drży samotnie,
I litośnemi uśmiechy
Wsparliście ją wielokrotnie.
Poczekajcie chwil nie wiele,
Wy, serdeczni przyjaciele!

Przyjdzie wielkiej próby czas!
A nim przyjdzie, wy tymczasem,
Oszukujcie się nawiasem,
To odpowiedź zagadki wywiąże się z was.

Miłość, przyjaźń, lekkie cnoty!
Nie ochronią od tęsknoty,
W wyższe szczęście wierz!
Ludzkość cała, i jej równy
Twój rodzinny kraj,
Niechaj będzie cel ci główny,
Całą duszę zbierz,
W takie cele mierz!
W to mi graj! w to mi graj!

Miłość kraju dzisiaj w modzie.
Jasne niebo coś się chmurzy!
Tak tam głoszą na Zachodzie!
Nawet i w Polsce, niektórzy
Wierszopisze piszą śpiewki,
Panie, anioły dobroci,
Szyją piękne chorągiewki!
A wszystko to patryoci,
Kochają swój kraj!

Piękne rączki dla kochanków
Tysiącami wiły wianków;
Wszystkie z mirtu, róż i lauru.
A szaleniec, chcąc przynieść rozrywkę kochance,
Chwycił za miecz i za lancę,
A gorejąca zagłada,
Na krwawych skrzydłach wielkiej nocy Listopada,
Spłynęła na pola Grochowa i Wawru.
Z wielkiej myśli, wielka siła
Jak nowy świat się tworzyła;
Orzeł, groźnym meteorem,
Ulatywał przodem szyków,
Pieśni ludów, wielkim chórem

Brzmiały polskiej cześci śpiew!
A śladami bohaterów,
Od Wawelu do Sybirów,
Upływała krew!

Dwa ludy się bawiły: ten, wtłaczał okowy,
Tamten zrzucał, a gradem sypały się głowy.
I na taką rozrywkę patrzał świat jałowy
W trwodze i zadziwieniu.
On chciał z pod polskiego cięcia
Wyjść czystszy, poprawniejszy, niźli po stworzeniu
Wypłynął z Twórcy objęcia;
Lecz Bóg drwiąco się uśmiechnął,
Wstyd mu było tej poprawy,
I odrodzenia podstawy,
Skrzyżował i zwichnął.
A krew ofiar i wielkie zmartwychwstania dzieło,
W niezgłębiony grób Warszawy,
Wyżej niźli z nieb runęło!

Otoż i po zabawie! jakby nic nie było.
Śniło się coś na chwilę, lecz już się prześniło!
A dźwięk kajdan, co na chwilę
Ucichł był za owych dni,
Znów tak wdzięcznie, znów tak mile
Znaną sercom nutą brzmi.
Tylko mała garść szaleńców,
Co niewiedzieć czego chcą,
Obłąkanych potępieńców,
Co nie mają stracić co,
Oprócz siebie, w świat odłogi,
Bóg wie, po co, na co, gdzie?
Poszli przez rozstajne drogi
Potępione pędzić dnie.
Śmieszni! każdy dumnie głosi,
Że w swych piersiach kraj unosi;
Że ta jego pierś i głowa,
Jest to Arka Narodowa,

Której ziemia winna cześć.
A dziś tę tułaczą głowę,
Te świętości narodowe,
Nagie przez świat musi nieść.
Górne cele! cześć wam! cześć!

Nudni ludzie! po co zmian?
Tak wygodnie jarzmo nieść,
Taki dobry dał je pan!
A choć szyja na obróży,
Choć się łańcuch w szyję wpoi,
Nim się knut dopyta duszy,
Tymczasem się ciało zgoi.
Byle było pić i jeść,
Każde jarzmo można znieść;
A komu swój w niesmak chleb,
Niechaj szuka cudzych nieb.

Oni poszli nieszczęśni! los ich pognał ślepy
Na morza nieznajome, na bezludne stepy.
Bezsilnemu równe ziółku,
Pod cudzemi płotami bohaterskie głowy!
Bez schronienia, bez przytułku,
A na wolnych ich rękach i duszach okowy.
I na każdym świata kresie,
Obaczysz gdzieś pierś tułaczą.
Nieszczęśliwi! oni płaczą
Za tą ziemią rodzinną, której nie zobaczą.
Gdzie żaden kruk ich kości nigdy nie zaniesie!
Płaczą, a ich łzom gorzkim ni ulgi, ni końca!
Jedna ulga, górne: trwaj!!!
I każdy z tych szaleńców jest Polski obrońca,
I każdy kocha swój kraj!

Ale tylko nie tak modnie,
Romansowo i wygodnie,
Jak rozliczni wielbiciele,
Co kochali także go!

Chorągiewki na kościele!
Jak wiatr wionął, tak się gną.
I dziś ci, na zawołanie,
Dwa puhary spełni synek,
Niechaj żyje: Zmartwychwstanie!
Albo: Wieczny odpoczynek!

Twoja myśl potępieńcze nad Ojczyzną tkwi,
Nad tą ziemią kochaną twoich łez i krwi!
Po bezlistnych pustyniach, każdy wiatru szum,
Brzmi ci nutą rodzinną znanych sercu dum.
Błędna gwiazdka na niebie tem ci światłem drży,
Jak niegdyś w oku lubej drżała kropla łzy,
Gdy płacząc cię na krwawy wysyłała bój,
Gdyś żegnał raz ostatni stracony raj twój;
Gdy jasną chorągiewkę zlaną łzami jej
Przywiązałeś do lancy, a do duszy twej
Przywiązałeś jej obraz, co jak gwiazdka czci,
W bojach i na męczeństwie przewodniczył ci.

Męczenniku! na wygnaniu
Do dziś płaczesz ową łzą,
Jakąś płakał przy rozstaniu,
Z krajem twym i lubą twą!
Utul tę pierś rozdartą! daj pokój tej łzie!
Tam cię, ni kraj, ni rodzina,
Ni luba już nie wspomina,
Jakby nigdy na świecie nie bywało cię.
I z tem sercem, tą duszą, jaką tęsknisz tam,
Gdybyś dziś tu zleciał sam,
Świat twej myśli, coś go żegnał,
Co dziś żyje w twojej łzie,
Jak upiora przeszłości krzyżemby przeżegnał,
I jednymby uśmiechem okamienił cię!

O! pozostań lepiej tam,
Wszakżeś tutaj byłbyś sam!
A step pusty jak pierś twa,
Prędzej sercu ulgę da.

Rok w rok, w stepach tam odłogich,
Wędrujący klucz żurawi,
Z Polski twojej, gości drogich,
Niezawodnie ci się zjawi.
A widok tu kochanych spojrzeniem niechętnem,
Zimnem słówkiem, uśmiechem, sercem obojętnem,
Pewno serca nie zakrwawi.

A z temi żurawiami tak miło czas płynie,
Na samotnej pogadance,
O Polsce nieszczęśliwej, o drogiej rodzinie,
I droższej od niej kochance.

I tak, dwa razy corocznie,
To odbierzesz, to dasz wieści;
I dwa razy myśl twa spocznie
W kraju twojej radości i twojej boleści.
I zawsze ci klucz żurawi
Miłą sercu wieść objawi:
Że ród twój i Polska cała,
Wraz z wyjściem cię zapomniała,
A luba dobrze się bawi!!!

Nie troszcz się o jej zdrowie; zdrowa i wesoła!
Widziały ją żurawie, wracała z kościoła,
Gdzie u stopni ółtarza, wieczystemi śluby,
Dłoń i serce twej lubej, inny zajął luby.
A twoi przyjaciele, co drużbami byli,
Za zdrowie nowożeńców trzy dni z rzędu pili.
Dobrzy! nie zapomnieli wśród szumnej hulanki,
I dla ciebie życzliwej przyjacielskiej wzmianki.

Tak ci rzekną żurawie mniej więcej w pół roku,
I żal ci serce ściśnie, i łza stanie w oku,
A jednak nie uwierzysz i wykrzykniesz: kłamią!
Onaby mnie zdradziła? Nie! aż nadto znam ją;
Ona mi poprzysięgła: «Do grobu i w grobie,
Wiecznie cię kochać będę, wierną będę tobie!»

I spojrzysz na jej pierścienie, i w rysach pierścienia
Dojrzysz, jakby w jej oku, klątwę zapewnienia.
I znowu po dawnemu, tak jak przed rozbratem,
Ona ci na pustyni będzie całym światem.

Zostań! Zostań na stepach! widzisz oczywiście
Ważn rozstania korzyście.
Bo gdyby przyszło w kraju własnem okiem widzieć,
Mógłbyś zostać szydercą, mógłbyś świat obrzydzić.
Co większa, patryoci rzekną, żeś niesłuszny,
Boś mógł zacząć nienawidzić;
A tak, dziś, wiarą niezłomną,
Wierzysz jeszcze w dzień zaduszny,
W którym i o tobie wspomną.

WĘDRÓWKA.

Po nużącym biegu,
Stanął nakoniec pielgrzym na afryckim brzegu,
I z obuwia swojej stopy
Strząsnął rychlej pył Europy,
Jakby się lękał za swojemi ślady,
Wnieść zarody zniszczenia, klątwy i zagłady,
Na tę ziemię gościnną, co pusta a dzika,
Miała odtąd przytułkiem być dla męczennika;
Na tę ziemię plag, nieszczęść, przeklęstwa i sromu,
Której od Proroka dano,
Ziemi egipskiej, niewoli domu,
Zelżywe miano;
A która wbrew prorokom, i proroków Bogu,
Nie wzbroniła, gdy wszystkie ziemie zabroniły,
Wielkim synom upadku, wygnańcom Europy,
Tułaczom Polski, na gościnnym progu,

Męczeńskiej wędrówki pyły
Otrząść ze znużonej stopy!
Cześć tobie wielka ziemio! wszystko wielkie tu!
Tyś przyjęła wygnańców do niewoli domu,
Kiedy w krajach wolności ich duszom pociechy,
Stopom ziemi, a głowom odmówiono strzechy!
To wyniosłe przyjęcie jak balsamy chrztu,
Starło z ciebie zmazę sromu,
Co kalał oblicze ci;
I rzuciło jego brzemię
Na europejskie ludy i ziemie,
Bez ducha, wiary i czci!

Jakże wszystko tam niskie, a na twojem łonie
Jak wyniosłe, jak zaszczytnie,
W piramidalnej koronie,
Twej przyszłości wiosna kwitnie!!!
Jak dumnie piramida z siwem owem czołem
Patrzy na wątłe burze, co przechodzą dołem.
Gromy czterdziestu wieków o jej pierś z granitu
Odbiły się i prysły jak o tarczę bytu.
Laury czterdziestu wieków, trwałością granitną,
Jak czterdzieście słońc jasnych na jej skroni kwitną.
A u stóp jej zwycięzkich kryje grób głęboki,
Czterdzieście starych wieków pochowane zwłoki.
Dumna! bo okrom słońca, nikt nie zna wywodu,
Mglistych przygód jej piersi, i źródła jej rodu;
Dumna! bo własna wielkość na ciosy zniszczenia,
Jest bytu jej tarczą;
A rękojmią własne tchnienia,
Że same sobie wystarczą.

U stóp jej stał bohater, jedną o cud świata,
Drugą ręką oparty na szyi bułata;
Jak jeniusz wielkości, do góry spojrzenia;
Czekał dumnie, aż na szczycie,
Z głuchego się ockną snu,
I wielka wieków myśl i życie,

Jednym zdrojem natchnienia
W pierś szeroką wpłyną mu.
Czekał natchnień, tych nie błagał,
Lecz jak winnej daniny dumnie się domagał,
Bo czuł, że i trawki listkiem,
I szczytem piramidy, co w chmurach przepadał,
Bez podziału, jeden wszystkiem,
Skinieniem swej woli władał!

Byłto Ibrahim, władzca owej strony świata,
Gdzie rosną piramidy, a zamach bułata,
Jako polot wielkiej myśli,
Wielkim celom szlaki kreśli.
Na bułacie tym z turbanu,
Gorzał napis z alkoranu:
«Jeźli dłoń nim prawa włada,
Tam, gdzie wstaje, gdzie śpi słońce,
Od południa do północy,
W cztery wielkie świata końce
Sięgnie płomień jego mocy!
A miecz będzie jak zagłada,
Wierny dłoni, jak świat duży
Ostrze jego się przedłuży.»

On wahał się, syn wielki afrykańskich błot,
Czy dotłoczyć swemi stopy,
Wierny jarzmu kark Europy?
Czyli w pierś jej zepsutą, z wielkości jej szczytu
Rzucić jałmużnę wolnego bytu?
I zrobić ją arką cnót!

Wracała ta myśl wielkiej treści,
W jego piersi szerokie, jak granice świata,
I z dotknięciem rękojeści
Przechodziła w pierś bułata.
Aż jakby go nagła siła
Nakazanego natchnienia,
Nową myślą uderzyła;

Zajaśniały mu źrenice,
I wolą postanowienia
Zapłonęło lice.
Skinął natchnionem żelazem
Na te strony, gdzie leżą europejskie brzegi,
I jak groźne nawałnice,
Wstały, za jego rozkazem,
Nieprzeliczone szeregi,
I odpłynęły!

Kogoż straż od przedniej czaty
Przed oblicze wodza wiedzie?
Cudzoziemiec szedł na przedzie,
I twarz jego odmienna, i nie takie szaty.
I widno było w licu, z pierwszego spojrzenia,
Walkę niszczącą, walkę dumy i cierpienia,
I jawny przymus serca, co jakby z zakraty
Młody więzień, patrzało z pozamgły milczenia,
I widną była pamięć jakiejś drogiej straty,
Którą wiecznie w sercu chował;
Którą chciał nie pamiętać i ukryć koniecznie,
Którą chciał nie żałować i zapomnieć wiecznie;
A i ukryć nie zdołał, i wiecznie żałował!!!

WÓDZ.

Witaj wędrowcze! z której krainy?
Z jakiej przychodzisz ojczyzny?
Tyś cudzoziemiec! Pewno z Palestyny
Idziesz od grobu Proroka,
Widzieć wyklęte nasze płaszczyzny?

CUDZOZIEMIEC.

Nie z Palestyny, nie z grobu Proroka,
Ale jak ziemia szeroka,

Szukam grobu dla siebie, bo nie mam ojczyzny,
Któraby mi dała gdzie,
Na swem łonie schyłku dożyć,
W swoim grobie, skroń położyć,
Bez ojczyzny! jestem: NIKT!!!

WÓDZ.

Nie rozumiem cię,
I słowom twoim nie wierzę;
Ta ziemia gdzieś się rodził, którą myśl wybierze,
I za swoją w duszy przyzna,
Ta się u mnie zwie: Ojczyzna!
Jakąż z takich ziem, zwiesz twą?

CUDZOZIEMIEC.

Taką ziemię: POLSKĄ — zwą!!!

WÓDZ.

Znam ją! Dość mi jej nazwiska!
Wielka!!!

CUDZOZIEMIEC.

O! jej zwaliska
Do dziś wielkie, trzy mogiły,
Trzy grobowe wielkie głazy,
Szersze od niej stokroć razy,
Dotychczas jej nie zakryły.
Przywalona ciężkim głazem,
Śpi groźno, świętokradzkiem przeszyta żelazem,
A zelżywa dłoń jej kata
Z łańcuchem i nożem,
Czuwa drżąca nad jej łożem!
Jej dzieci wierne, jedne padły pod obuchem,
Drugie jęczą w podziemiach okute łańcuchem,
A trzecie poszły błądzić po bezdrożach świata.

WÓDZ.

Zapewne wam brakło stali
Żeście pierś jej przeszyć dali?

CUDZOZIEMIEC.

Jej losy-śmy i nasze na jeden miecz kładli,

Biliśmy się tak jak lwy!
Bez porównań! tak jak: MY!!!

WÓDZ.

Dla czegożeście upadli?

CUDZOZIEMIEC.

Brakło jednego — takiego jak ty!!!

WÓDZ.

A też ludów milijony,
Kiedyście wy stali z bronią,
Co robiły?

CUDZOZIEMIEC.

Puste dzwony
Bez serca ci nie zadzwonią —
Klaskano nam, pito zdrowie,
Wydawano za nas bale —
«Niech żyją polscy bohaterowie!»
I w tym samym dziś zapale
Krzyczą: «Niech żyją Moskale!»
Czego ty chcesz od Europy?
Znikczemniona i okuta,
Sama głowę gnie pod stopy —
Jak powietrza do jej tchnienia,
Tak trzeba do jej zbawienia,
Łańcucha i knuta!!!

WÓDZ.

A ty, czyś wygnaniec jej?
Czyś z serca ją rzucił? —

CUDZOZIEMIEC.

Ja? — choćbym oczy zapomniał w niej,
I po oczybym nie wrócił!!!

WÓDZ.

Gdzież dziś idziesz, czego chcesz? —

CUDZOZIEMIEC.

Tego nie wiem sam —
W mojem sercu życzeń mało,

Prawie żadnych nie zostało.
Wyraźniejsze jedno mam —
Jabym chciał tak jak ty chcieć,
Grot u lancy ostry mieć;
Możeby w takiej krainie,
Gdzie obok łez i krew płynie,
Lżej na sercu było tam.

WÓDZ.

Zostań przy mnie!

CUDZOZIEMIEC.

Pozostaję!

WÓDZ.

Niechże odtąd ziemia ta,
Już ojczyzna będzie twa,
I jak dzisiaj miecz ci daję,
Tak onać grób kiedyś da! —

I patrzała natura z ciszą uroczystą,
I patrzało z wysoka jasne oko słońca;
Na taką wielkość troistą —
Wielki wódz! Piramida! i Polski obrońca!

WIEŚCI.

Obóz stał na dolinie, krwawa wrzała spieka;
Spoczywali zdyszani, odrzucona broń.
Tylko młodzian samotny błąkał się zdaleka
Z dumką tęskną, a przy nim, wierny jego koń
Chodził samopas. Szlachetne oblicze,
I oko było piękne, jak serce młodziana,
A włos lniany, powiewny, jak kosy dziewicze,
Po zbroi naramiennej spadał z pod turbana.

Piękny, szlachetny, wśród bnrzliwej dziczy
Był jak Anioł pokoju, z uśmiechem słodyczy.
Ale czemuż ta słodycz, tak spojrzeniu miła,
Tak gorzkim się odcieniem z serca mu się lśniła?
O! bo ta piękna dusza jeszcze nie ochłódła,
Bo to serce, jak wulkan w tajniach swego źródła,
Wrzało w niem własną, gwaltowniejszą spieką,
Niż to niebo nad głową, a gorszą daleko.
On wszystkie skarby swoje to stracił, to rzucił,
Gdzieś w dalekiej Ojczyznie; on stracił i ją!
W stepach, tchnieniem przeszłości czuł, dumał i nucił,
Płakał tylko obecną, nie z przeszłości łzą.

DUMKA.

Gdyby Orłem być!
Lot sokoła mieć!
Lotem orlim lub sokolim,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć.

Droga ziemia ta,
Myśl ją moja zna!
Tam największe szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza!

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień,
Krążył nad nią jak wspomnienie,
Pierś orzeźwiał, czerpał tchnienie,
Z tamtych lubych tchnień!

Gdyby gwiazdką być!
I w obłokach tkwić;
Jasnem okiem w noc majową
Nad kochanki mojej głową,
Do poranka ćmić!

Albo z poza mgły,
Zsyłać słodkie sny,
Jak w jeziora tle przejrzystem
Odbijać sie światłem czystém,
W kropelce jej łzy!

Takbym noc i dzień!
Jak zaklęty cień,
Niewidzialnem patrząc okiem
Zachwycał się jej widokiem,
Boże! w gwiazdkę zmień!

Próżno się tych dni
Obraz w duszy śni;
Zapłacz luba gorzkim płaczem
Nad kochankiem, nad tułaczem,
Co był miłym ci!

Potępieni my!
Wspomnieć serce drży;
Orły lecą, gwiazdy cieką,
Kraj w okowach, ty daleko,
A w około łzy!

Nucił młodzian białowłosy;
Tęskna była dumka ta,
I jak czysta kropla rosy,
Z oka jego spadła łza.
Łza z pod serca.
A na stronie, mąż w turbanię
Stał, i szydersko patrzał po młodzianie;
Potem naprzód zrobił krok,
I zatopił orli wzrok
W lice młodziana.
Aż do głębi serca
Wdarł mu się wzrokiem szyderca.

MĄŻ W TURBANIE.

Czule nucisz! Widno bracie,
Że dotychczas, po utracie
Nieb rodzinnych, drogich lic,
Nie straciłeś jeszcze nic.
Dobroduszna wiara twa,
Jak za złotych czasów trwa!
O szczęśliwy! nuć i graj!
To tak miło kochać kraj!
«Byle orle skrzydło mieć,
Jasną gwiazdką nad nim lśnić,
Jasnem okiem w noc miesięczną,
Nucić lubej dumkę wdzięczną!»
Słodki romans! W Syryi słyszeć taki śpiew
O Polsce. A w tej Polsce, twoja dumka, łzy,
I twój wieniec męczeński i rozlana krew;
Wszystko tak zapomniane jak i cały ty!
Dziwny! chcesz na świata koniec
Unieść serce lubej twej,
Marne chęci! jest tam Doniec,
Tatar, Kirgiz, bliższy jej.
Kraj w okowach! z tem ci źle,
Cóż ci szkodzi, w kraju tym
Na najgłębszem duszy tle,
Radość i wesele rośnie,
Chodzą w jarzmach tak radośnie,
Sambyś pozazdrościł im!
Drogać Polska! musiałeś ją bronić,
I umiałeś ją kochać, bo umiesz łzy ronić.

MŁODZIAN.

A tyś musiał nienawidzieć:
Bo umiesz z jej bezbronnej i z łez po niej szydzić,
Ale powiedz kto ty! kto?
Zkąd cię tu przywodzi Bóg,
Ty syn Polski, czy jej wróg?

MĄŻ W TURBANIE.

Ani tamto, ani to;
Dla mnie każdy świata kraniec,
A na nim każdy manowiec;
Ja własnej myśli mieczkaniec!
Ja własnej piersi krajowiec;
I gdyby mnie Bóg spytał sam:
Jakiej ja ziemi syn?
Jakich mieszkaniec ja stron?
Nie ścierpiałbym takich drwin!
I rzekłbym mu: że jak on
Jestem wszędzie, tu i tam.
Nazwij mię: nikt, albo kto,
Dla mnie dobre to i to.
Bo ja do sądnego dnia,
Będę wiecznie tylko: ja.

MŁODZIAN.

Lecz ty polską mówisz mową,
A mnie droga mowa ta;
Mnie tej mowy każde słowo
Z najgłębszego duszy tła,
Milijony wspomnień wskrzesza,
Myśl tam niesie, wzrok zawiesza,
Gdzie ojczyzna ma.
A ty pewno idziesz z niej? —
Co się dzieje tam z rodziną?
Co tam z Polską nieszczęśliwą?
Biedna ziemia! tam łzy płyną!!!

MĄŻ W TURBANIE.

Jako żywo! jako żywo!
Taka rodość! takie bale!
A co większa, bez ukazu!
Było smutno, były żale,
Krzywiono się trochę zrazu,
Lecz was nie ma, są Moskale!
A serce, ty wiesz, nie z głazu!!!
A tak, po niedługiej chwili,

W sercach ziomek, w sercach ziomków
Od pałaców aż do domków,
Zupełnie was zastąpili.

MŁODZIAN.

Biedna ziemia!!! syn! szyderca!
Urąga się nad twym losem;
Słuchaj! lub ty nie masz serca,
Lub nie mówisz jego głosem.
Choćby nas tam zapomniano,
Dusza wiecznie ich pamięta;
Tamtę ziemię ukochaną,
I ich biednych cisną pęta.
Bez nadziei, bez pociechy,
W więzach myśli, w prochu głowy.
Tam uśmiechy? — Nie uśmiechy,
Tam na sercach kir grobowy!!!
Upadliśmy; ichże winą
Że nas od nich przepaść dzieli;
O! wierz! szczere łzy tam płyną
Tylu braci, przyjacieli,
Ojców, matek, kochanek i obywateli!

MĄŻ W TURBANIE.

A szczególnie kochanek i obywateli;
Zazdrościłbym, ziomku młody,
Gdybym mógł zazdrościć czego:
Tej cierpień twoich pogody,
I łez co z twych oczu biegą,
I świeżości myśli tej,
I żyjącej wiary twej.
Możeby po niszczącem cierpień gradobiciu,
Jeszcze jaka zieloność zabłysnęła życiu,
I konaćby było lżej.

MŁODZIAN.

Przestań pierś żółcią truć!
Tę nienawiść w piekło rzuć!
Łzy się nie wstydź, ni z niej szydź,
A szczęśliwszym możesz być;

Możesz jeszcze zacząć żyć,
Tylko zacznij pierwej czuć.

MĄŻ W TURBANIE.

Ja usłucham twoich rad,
Zacznę wierzyć, kochać, czuć;
Lecz zniszcz wprzódy wspomnień jad!
Ukój wszystkie w sercu rany,
Zagój każdy cios zadany,
I dawne mi serce wróć.

MŁODZIAN.

Czyś ty kiedy z ludźmi żył?
Czuł jak czują? chciał jak chcą?
Czyś ty kiedy, z życia czary,
Ich słodycze i jad pił?
Czyś ty kiedy skrzydłem wiary
W najwyższe się niebo wzbił?
Czyś ty kiedy kochał co?

MĄŻ W TURBANIE.

Czułem już, i wierzyłem, i kochałem dość;
A im nieba byłem bliżej,
Tem na ziemię spadłem niżej.
Im wyższe niegdyś cele męzką pierś żywiły,
Tem większą w niej zostawiły
Tęsknotę i czczość!!!
I gdzie dzisiaj okiem rzucę,
Gdzie bezchętną myśl obrócę,
Jak świat wielki, tu i tam,
Tam byłem, to widziałem; to czułem, to znam,
Słuchaj! ja tobie powiem: znasz ty rzekę Zbrucz?
Znasz ty jej okolice?

MŁODZIAN.

Zbyt niestety znam!
Spytaj mojego serca, i myśli, i łez,
Powiedzą ci: tam ród mój, i niebo me tam!

Moje także było tam.
Znałem, nie znałem nic,
Ujrzałem ją, to los nasz.
A znać? I ty widzisz mnie,
A czy powiesz, że mnie znasz? —
Kto była ona? kiedy? gdzie?
Na nic ci się nie zda to,
Tak, jak nie zdało się mnie,
Ujrzałem ją, to ci dość,
I z tej chwili, noc i dzień,
Z oczu, z myśli, drogi gość,
Ani z serca, ani z tchnień,
Nie wyszedł już obraz ten.
Miły to był, szczęśliwy, czarujący sen,
I kazano wierzyć weń;
A dusza przy jego stopach, jak zaklęty cień,
Tkwiła odtąd noc i dzień.
Wszystkie cele i życzenia,
Całe niebo duszy mej,
Zawarłem w krąg jej spojrzenia,
Utopiłem w oku jej!!!
Z wiarą dziecka, dziecka okiem
Spoglądałem w oko to,
Co za ponurym dni moich obłokiem,
Jaśniało jak nieba nieznajome tło.
Lecz ta jasność wkrótce znikła,
To niebo nieodstępną pokryło się mgłą,
A śmiertelna źrenica widzieć nie nawykła,
Piołunową zaszła łzą.
Słuchaj! Czy tobie kiedy wydzierano duszę?
Lecz ty Polak, to pewno znasz wszystkie katusze!
Wiesz zatem i znaczenie tego słowa: muszę!
Wiesz: kiedy wylęgnione w sercu tajemnice
Raz się w powinność zamienią,
I jak oddech nawałnicy,
Róże marzeń barwami suchot pozielenią,

Wtenczas na licach męża nie szukaj uśmiechu,
Nie szukaj łzy na źrenicy,
Ni w piersiach życia oddechu;
Ja musiałem ją rzucić!

MŁODZIAN.

Z jakiejże przyczyny?

MĄŻ W TURBANIE.

Spytaj, i nieba, i piekła!
I mnie, i ją, i siebie.
I onaby nie dociekła,
I ja nie wiem żadnej winy.
I ty nic nie wiesz, zapewne nie wiedzą i w niebie;
Lecz powinność tak wyrzekła;
Powinność ta, i rozum, te przeklęte słowa,
Wrogi szczęścia, co każą pierś przed sobą korzyć,
Najgłupsze, jakie ludzka wymyśliła mowa,
Albo kiedy Bóg mógł stworzyć.
A jednak, gdy Bóg ten swoje niebo rzucił,
I rozpięty na krzyżu powracać mi kazał,
Złamaniem powinności piersi bym nie zmazał,
Do Polski i do Limy wiecej bym nie wrócił.

MŁODZIAN.

Lima?! — Coś ty rzekł o Limie?
Brzegi Zbrucza, i to imię! —

MĄŻ W TURBANIE.

Krucze pióra na warkoczach,
I otwarte niebo w oczach.

MŁODZIAN.

I pierścień z cyfrą: Z.

MĄŻ W TURBANIE.

Stój!
Patrz! czy nie ten?

MŁODZIAN.

Nieba! mój!

MĄŻ W TURBANIE.

Powiedz: był twój, dziś, już nie!
Zwyczajną rzeczy przemianą,
Darowany, darowano mnie!!!

MŁODZIAN.

Jakże mię dręczysz boleśnie!

MĄŻ W TURBANIE.

Ja? ciebie? przepraszam, niechcący!
Słuchaj! ja cię znam;
Tyś Zdzisław!

MŁODZIAN.

Tak!

MĄŻ W TURBANIE.

Więc ten sam!
Czekaj! ja cię pocieszę. Tyś chciał z Polski wieści!
Ważne rzeczy, i bardzo zajmującej treści;
Tam ciebie wspominają bardzo wiele osób,
Ci czule, ci poważnie, każdy na swój sposób.
Byłem świadkiem tylekroć, a na jednym balu,
Pomnę, byłeś przedmiotem ogólnego żalu.
Był to bal chrześcijański, gdzie, podług zwyczaju,
Grano w karty, tańczono, radzono o kraju;
I jakby w Dzień Zaduszny grzmiał puhar godowy.
Kaznodzieja radości: — Cześć polskiej odwagi!
Cześć tych! co pod Warszawą położyli głowy!
I wieczny odpoczynek męczennikom Pragi!
Mówiono o bohatyrach:
Co polegli, co zostali;
I o tych, co ofiarą jęczą po Sybirach!
Wesołe egzekwije! pobożna zabawa!
Nakryto stolik, weszła herbata i kawa,
A z nią dalszy ciąg wspomnień, to klęsk, to nadziei,
I nie pomnę ktoś z kolei
Przypomniał Zdzisława;
Zdzisław! żałośnym wszyscy powtórzyli szmerem;
I tyś jeden rozmowy został bohaterem.

Ach! jak on pięknie tańczył, powtórzyły panie,
Jak śpiewał! i jak miło grał na fortepianie!!!
Czy pan nie znał Zdzisława? — z pięknemi oczyma,
Z cichem nieco westchnieniem zapytała Lima;
Biedny! — Czy zginął w boju? — Nie! ale zapewna
Gdzieś tuła się wygnaniec! — Czyś pani mu krewna?
Czy tak dobra znajomość? — Nie! odpowiedziała,
I spójrzała na pierścień zrumieniona cała.
Pojąłem tajemnicę. — Wtem na drugiej sali,
Przypadkiem, czy umyślnie, Mazura zagrali.

MŁODZIAN.

Jakiż koniec tych dziejów?

MĄŻ W TURBANIE.

O! bardzo ciekawy:
To było na początku, a w końcu zabawy
Ten zakład, sercu drogi bez wątpienia,
Był już na mojej ręce. O! tego pierścienia!
Nie kupiłbyś odemnie i kosztem zbawienia!
Oddając mi go rzekła: «Tę pamiątkę drogą,
Co mi zawsze była miła,
Panu tylko dać mogę; więcej dla nikogo
Tegobym nie zrobiła.»

MŁODZIAN.

Niewdzięczna!

MĄŻ W TURBANIE.

I owszem, pamięta,
Pamięcią uroczystą, od wielkiego święta.

MŁODZIAN.

Bezbożny! tyś mi wydarł tę własność jedyną,
Którąm uniósł z Ojczyzny, te słodkie złudzenia,
Tę wiarę, tę pociechę.

MĄŻ W TURBANIE.

Szkoda, bez wątpienia!!!
O cóż jeszcze spytasz tam?
Ja tam wiele osób znam.

Znam całą twą rodzinę. Starsza siostra miała
Właśnie przed mym odjazdem wyjść za jenerała;
Tatar rodem; lecz wcale w nim nie znać Tatara,
Bo dostał tytuł grafa za szturm przy Warzawie.
A o młodszą kozacki pułkownik się stara,
Rzecz skończona prawie!
Rosną domu zaszczyty, i blask się podwaja,
Ojciec dostał przed śmiercią krzyż od Mikołaja,
A brat twój, jak słyszałem, tyle drogi ci,
Nie mógł służyć krajowi, a przyczyna ta:
Że płeć delikatną ma,
A kraj nie ma prawa żądać poświęcenia płci!!!
Jednak dla zwyczaju
Emigrował z kraju
Na drugą stronę Zbrucza. Ale z końcem wojny
Powrócił z Galicyi, i jest już spokojny.
Wrócił, gdy ojciec był już na śmiertelnem łożu;
Tkliwy ojciec na życia i śmierci rozdrożu,
Posłuszny głosu serca i twojemu bratu!
Brat posiadł w całości
Wielkie rodu zaszczyty i rozległe włości
Prawem majoratu;
A ty, żeś się w spisie buntowników liczył,
Ojciec z praw i z imienia ciebie wydziedziczył!!!

Ale słuchaj, ichże winą
Że nas przepaść od nich dzieli?
O! wierz: wierne tam łzy płyną!
Tylu braci, przyjacieli,
Ojców, matek, kochanek i obywateli!

Lecz pocóż te czułe wzmianki?
Bez powrótu znikłych dni,
Kraju, brata lub kochanki,
Im się o nas ani śni!
Słuchaj! stalna pierś bułata
Stanie za pierś stalną brata;

A pod sobą dzielny koń,
I posłuszna sercu dłoń,
Za rodzinę, kochankę, i za resztę świata!!!
Zda się dziś będzie bitwa, więc będziem się bili.
Słusznie! bo ci zbrodniarze
Sułtana się ośmielili
Mieć oliwne twarze;
I z takiemi twarzami dumnie powiedzieli
Z europejskich krańców:
Dla czego Afrykanie nie tak jak my bieli?
Zniszczmy Afrykańców!
Samże przyznaj! groźba taka,
Jest obrazą dla Polaka;
U którego w świecie strona
Każda, która uciśniona,
Równie jemu ulubiona.
On, z najlepszej w świecie chęci,
Za cudzy byt się poświęci.
Za słowo: honor, co nie ma znaczenia,
Za słowo: chwała, co straciło treść!
Dla pierwszej myśii lepszej, dla wyobrażenia;
Bo nie może nigdzie znieść
Niewoli i barbarzyństwa.
A dziś bić się różnic nie ma:
Za Francuza, za Niemca, czy za Ibrahima,
Lub za podobne dzieciństwa.
Słuchaj! A my nieodrodni
Będziem się bić za wolność i granice Wschodu,
By mogli Ibrahima tak jak będą chcieć,
Białe twarze lub czarne bez przeszkody mieć.
A jeźli nam równą ceną
Tu zapłacą jak i tam,
Jeźli i ztąd nas wyżeną,
Wszystko jedno nam.
Nieodrodni naszych rodów,
Dobrowolnie czy przymusem,
Pójdziem szukać Antypodów,
By na równi stać z Chrystusem.

Na ziemi go powieszono!
A on ze szubienicy twardego ramienia
Zstąpił w głuche piekieł łono,
Dokonać wielkie dzieło — Męki i Zbawienia!

Prawda! Piękne wykrzykniki!
Takich mnóstwo ci powiedzą
Francuzkie, niemieckie i polskie dzienniki!
A nadewszystko wielcy ludzie owi,
Co za ludzkość w gazetach umierać gotowi,
A spokojnie w domach siedzą.
Wierszy ci mnóstwo nakleci
Jeden, i drugi, i trzeci,
I dziesiąty poeta; ci zwłaszcza poeci,
Co za Polskę walecznie umierali w rymach,
Bez rozlewu krwi drogiej po Dreznach i Rzymach.

Słuchaj! dziś będzie bitwa. Jeżeli ja zginę,
Weźmiesz sobie ten pierścień, to dobro jedyne;
Cudowna jego władza liczne ma korzyści!
Naprzód, broni od zawiści!
Jeźli kto przyjdzie, drugi i trzeci
Do obozu Ibrahima,
I wspomni ci słowa: Polska, Zbrucz lub Lima,
I pokaże pamiątkę znaną ci i drogą;
To pamiątka w twem sercu gniewu nie roznieci,
Bo on jest pamiątek, dobrodusznej wierze
Taka tarcza nieprzeparta,
Ja chrześcijańskiej piersi, krzyż albo szkaplerze
Od napadów czarta!
A bez niego, pierś podwładna
Nakazaną nutą brzmi
Wszystkie, jedna albo żadna,
Wszystko jedno mi.
Bądźmy przyjaciołmi, walczmy obok siebie!
Ja ciebie nie zawiodę! Nie! w żadnej potrzebie,
A ty, słuchaj! możesz mnie,
Jak chcesz, zawieść, albo nie.

Natura jak świątynia, i na każdym kresie,
Miły bóstwu serca śpiew,
Wygnańcom świat ojczyzną, i gdzie ich zaniesie
Nieprzeparty losu gniew,
Każda ziemia, ta, lub inna,
Przyjazna lub niegościnna,
Każda grobem zapłaci za rozlaną krew!
Wszędzie ceny jednakowe,
Wszędzie dadzą grób za głowę;
Bo serca niepłacone, bo tak obojętne,
Czy które dla ludzkości całą siłą wrzało,
Czy w piersi samoluba drzymało bezchętne,
Byleby raz bić przestało,
Jedna dla obu zapłata, jedna niepamięć dla obu;
I zysk, przemiana miejsca, z lodowego świata,
Przechód do zimnego grobu.
A jednak na rodzinnej, ukochanej ziemi,
Pod sklepieniem niebios jej,
Milsze szczęście, cierpienia, i między swojemi
Ach! i konać lżej!!!
Lecz jeźli nie podobna! o! to w takim razie,
Konając nie za swoją, na wroga żelazie,
Ostatecznem westchnieniem kroplę tej krwi czystej
Ślubuj niebu, za dolę krainy ojczystej!
A wszędzie Matka ziemia lepsza od twych braci,
Przyjmie ci ją w rachunku i grobem zapłaci.

Dwie chorągwie rozwite wiały przeciw sobie,
Z jednakiemi godłami, z księżycami obie;

Obie w imię Proroka: co u sklepień Meki
Zawisł, jako myśl wielka u niebios sklepienia,
Na sile niewidomej kołyszą go wieki,
I śpi, aż się przebudzi na sąd przyrodzenia.
Pod jedną z tych walczyli synowie Iślama,
Druga wiała nad głową synów Izmaela,
I piersi pobratane, lecz je rzeź rozdziela,
Rzeź krwawa, uporczywa i nieubłagana.
Szło o to między braćmi: jakiego czcić Pana,
U którego szpony większe,
U którego stryczki miększe,
Którego dłoń wprawniejsza nakładać okowy,
I kto im nadal będzie odrąbywać głowy?
Zagadka była trudna, a w całej zagadce
Odkrytej, nie odkrytej, korzystali władce.
Było o co wieść boje!

Niedawnemi czasy,
Dwa ludy pobratymcze także szły w zapasy
Nad świętym brzegiem Wisły, ale tam nie o to
Czyje więzy twardziej gniotą,
Czyje miłościwsze knuty?
Tam Naród Męczenników do krzyża przykuty,
Zapragnął zmartwychwstania przed obliczem świata!
Od swej dłoni, od swej stali,
Chciał żadnego nie mieć kata.
A na ostrzu jego kosy,
Spoczywały jego losy
I tych, co go krzyżowali.
W takiej walce nie żal przecie
Pierś osadzić na bagnecie.
Lecz ludzie, co z psiem męstwem na siebie się miotą
W najnikczemnieszym zamiarze,
Przed tym, czy przed tym despotą
Upadać mają na twarze?
Nie warte tłumy takiego motłochu,
Naboju polskiego prochu!

Jednak, patrzaj! dwaj męże z oszczepami w dłoni
Z tego Ludu Męczenników,
Z pod górnych owych znamion Orła i Pogoni!
Lecą na czele Ibrahimskich szyków,
Z najwznioślejszem męstwem owem,
Z jakiem szli po listek lauru,
Męczennicy pod Grochowem!!!
Tak więc łatwo z pamięci lada wietrzyk wywiał
Cel, co serca ich ożywiał
Na równinach Wawru? —

O! zaprzestańcie oszczerce!
Taką mową duszę truć!
Jedna Polska jest na świecie,
Jedno tylko polskie serce
I łza, a wy nie możecie
Polskich cierpień czuć!
Dla tułaczy, dla wygnańców,
Jak świat wielki przed oczyma,
W kręgu czterech jego krańców
Piędzi ziemi na grób nie ma.
A którażby pierś polska śmiała się zadłużyć
Jałmużną grobu, pod głowę podróżną,
Gdy Matka Polska nie w siłach odsłużyć
Nikomu równą jałmużną?
Milej obcym za grób służyć,
Niż czuć się dobrodziejstw dłużną.
A krew nasza gdzie upadnie,
Perła w morzu nie przepadnie,
Cień Matki, co bez pogrzebu
Błąka się po każdym kresie,
Odszuka ją, zabierze, pół odda niebu,
A pół nad Wisłę zaniesie!!!

Krwawe było spotkanie; zniweczeni, zbici,
W zamieszaniu, w nieładzie, pierzchli Islamici;
Bo miecz, jak myśl Ibrahima
Tamy nie zna, zawad nie ma.
Zwycięzca po szerokim spoglądał przestworze,
I wrogów już nie było, oprócz pod kopytem,
Trupa albo kaleki, co bezsilnym zgrzytem,
Już mu do Carogrodu drogi nie przeorze.

Zbierali z pola rannych; i patrz, między niemi
Niosą męża w turbanie, młodzieniec szedł przy nim,
Jak Anioł stróż płaczący nad dziecięciem ziemi.
Mąż ciężko był raniony, a po licu sinem
Purpurowy zdrój krwi spływał;
Ranny przez środek czoła, on już dogorywał;
Wódz poznał to spójrzenie, i to dumne lice,
I podał gasnącemu braterską prawicę;
I łza niema zwycięzcy wyszła na źrenicę:
«Tyś wart grobu w każdej ziemi!
Boś mógł każdej być ozdobą,
I konasz między swojemi:
Boś ojczyznę przyniósł z sobą.»

On nie słyszał! on był sam!
On żegnał się z pierścieniem, słowa: Polska, Lima,
Powtarzał niewyraźnie. Ku Polsce oczyma
Zwrócił, łzy się puściły, i wzrok zastygł tam!!!

I patrzała natura z ciszą uroczystą,
I patrzało z wysoka wiekuiste słońce
Na taką wielkość troistą:
Wielki wódz ze łzą w oku, wsparty na oszczepie,
I Męczennicy, dwaj polscy obrońce!
Ten, legły, martwem licem dumnie się uśmiechał;
A ten, piękny, samotny kwiat na cudzym stepie,
Łzą tylką polewany samotnie dosychał!!!

O! ileż razy ujrzy taki zgon tułaczy
Cudza natura, step cudzy, i słońce?
Polskaż tylko nie zobaczy,
Jak konają jej obrońce!!!

PRZYPIS DO LIMY.

Limo! czyś ty widziała wierzch Etny chropawy,
Ów cichy, ów spokojny, tak jak moje lice?
Lecz na nim kwiat nie kwitnie, ni wieniec murawy
Rozraduje uśmiechem przechodnia źrenice.
Albo pierś jego krwawe pożerają lawy,
Niszczące jak mojego serca tajemnice.
Zadumany, milczący, zimny i ponury,
Sam jeden, bez współczucia wśród żywej natury,
Czasem westchnie ku niebu, tem westchnieniem głuchem
Chce sercu przynieść ulgę, ale to westchnienie
Jest tylko lawy wybuchem.
Ulgi nie da, a w około rozleje zniszczenie,
I pierś znowu wre w sobie, a tam u podnóża
Kwitnie wdziękiem jutrzenki młodociana róża.
Czarujące, dziewicze, świetne jej zawoje
Jaśnieją krasą życia, jak oblicze twoje.
Szczęśliwa, nie pojmuje, co ten wybuch znaczy,
I zdradliwsze od niego milczenie rozpaczy.
Limo! i ty szczęśliwa, ty na moich licach
Widzisz uśmiech, jak kwiatek, co kwitnie na grobie;
A męki, co się żarzą w serca tajemnicach,
Niepojęte tobie!
Mnie powinność przykuła, jak więźnia z za kraty,
Do nie twoich przeznaczeń, piękna różo polna!
Mój udział, niema rozpacz, gorzka łza utraty,
I życie bez powabu, tak, jak śmierć powolna,

Widzieć przyszłość bezbarwną, jako szkielet nagi!
Żal kończyć, a przedłużać niestaje odwagi!
I uśmiech gra na licach, uśmiech pałacowy,
Świąteczny, nakazany, umyślny dla świata!
A w sercu ból głęboki, zimny i stepowy,
Wkorzeniony i wieczny jak moja utrata.
Cierpienia już, w tej piersi, tak były dziedziczne,
Jak w stepie ukraińskim zboża podoliczne,
Co nie siane z jesieni, z każdą nową wiosną,
Na niwie niezoranej samorodnie rosną!
Dzisiaj, Limo! już wszystkie wyśmiane uśmiechy,
Już wszystkie moje wypłakane łzy!
Dziś już, zimny szyderca, nie mam nic prócz pychy,
I zmieniam się w kroplę rdzy.
Jad gangreny, albo dżumy,
Będzie treścią mojej dumy,
Którą twem imieniem zdobię,
I śmiem tobie w darze nieść.
Przyjm ją, Limo! Wszak równo obojętne tobie
Autor, i duma, i treść!
Przyjm ją! Może obraz znikłych dni
Zalśni światem uśmiechu, albo zadrży łzą!
Może przypomni ci przeszłość twą,
Jaśniejszą, słoneczniejszą, niż dziś twe nadzieje!
Zresztą, Limo! Przyjm, lub nie!
Rdza niszcząc, sama zniszczeje!
Lecz nie przestanie być rdzą.

B A N K O.

FANTAZYA.

BANKO.

FANTAZYA.

ROZSTANIE.

Oj wyjdu ja nad ryczeńku,
Taj machnu rukoju,
Oj wernysia kozaczeńku!
Zhynu za toboju!

PIEŚŃ GMINNA PODOLSKA.

Klęczał przed nią, i ze łzami
Całował jej drogą dłoń;
Żegnał ją — a za wrotami
Czekał i rżał wrony koń.
I w dziewczęcia zbladłem licu
Widny był ślad dum i łzy
Wydatniej, jak na księżycu,
Tleje ciemna plamka rdzy.
Nie wyrzekła ani słowa,
Tylko się łez puścił zdrój.

«Zoro moja! bywaj zdrowa!»

— «Bądź zdrów! bądź zdrów! luby mój!
Idź i wracaj! ty codziennie
Obecny będziesz mej łzie,
Wiecznie, stale, nieodmiennie
Zora będzie kochać cię!»

— «Ja ci wierzę! ta wiara, jak spojrzenie twoje,
Jak Anioł stróż nad duszą, wiecznie będzie czuwać,
I rozstania niepokoje
Od mej piersi odsuwać.
Ja ci wierzę! ta wiara! jak twoje wspomnienie,
Tęsknoty nie dopuści i trwogę rożżenie.»

— «Nie lękaj się, mój luby! ja cię będę sądzić
Sądem mojego serca, ja ci będę strażą
Przed mojemi myślami, co się nie odważą
Oskarżyć cię przedemną: abyś mógł pobłądzić.
Lecz słuchaj! Zora prośbę do ciebie zanosi
O jedną łaskę małą i niewinną!
Ty się może rozgniewasz, znajdziesz ją dziecinną;
Lecz to dla twego dobra Zora ciebie prosi,
Wykonasz ją, mój luby? daj mi na to słowo!»

— «Zoro! i na me życie! Masz je — i dotrzymam
Sercem i dłonią gotową.»

— «Ja twoją — ty wiesz o tem, ja siebie już nie mam!
Moje myśli, uczucia, mój świat, mój byt cały
W twoją pierś się przeniosły i tobą zostały!
Twój niepokój jest dzisiaj moim niepokojem,
Mojem twoje cierpienie i twe szczęście mojem.
Słuchaj! w chwilach rozstania, jeźli ci się zdarzy
Ujrzeć jaką twarz inną, piękniejszą od mojej,
Jeźli będzie taka szczęśliwa dziewica,
Co sercem kochającem i pięknością lica,
Zaćmi pamięć twojej Zory;
Jeźli w duszy ujrzysz, że już od tej pory
Zawadza ci w niej obraz obojętny: Zory!
Wspomnij: że twój niepokój, moim niepokojem,
Że i twoje cierpienia i twe szczęście mojem;
I dla mojego szczęścia, zakaż twej pamięci
Wspominać mnie przed tobą wspomnieniem bez chęci.
Kochaj ją — niech ci ona cały okrąg świata
Zastąpi; niech ci będzie dni twoich ozdobą;

A dla mnie zostaw tkliwą pamięć brata,
Mój luby, bądź sobą!
Nie lękaj się łez moich, ni mego przekleństwa!
Jeźli łza lub głos mój wzniesie się w niebiosy,
Ta łza, jak kropelka rosy,
Będzie tylko dziękczynną łzą błogosławieństwa,
Lub modlitwą o twe losy!
Lecz wtedy, mój jedyny, jednej łaski błagam,
Jednej ofiary od ciebie wymagam,
Na którą zasłużyłam; — bądź otwarty!
O! bo nieotwartość
Zniszczyłaby w mych oczach serca twego wartość;
Ale to w oczach tylko, nie w sercu i dumie,
Bo duma zna cię wyższym niźli ludzie inni,
I moje serce znać cię innego nie umie!
Władysławie! to serce ciebie uniewinni!»

— «Zoro! w chwilach pożegnania,
To zbytek odwagi,
Na długą mękę rozstania
Dawać te uwagi,
Jabym ci ich nie dał, nie!
To są bolesne zniewagi,
To są ciężkie krzywdy mnie;
Ta prośba, gdybym cię znał i kochał mniej,
To widziałbym tylko w niej
Czyste prawne formalności
Do zyskania wzajemności.»

— «Przebacz! przebacz mój luby! ja taka szczęśliwa
Pewnością twego serca, ta pewność tak miła!
A ta prośba, to była myśl tylko troskliwa,
Co czuwając nad tobą, przyszłość wyprzedziła;
Więc ty będziesz mię kochał? Powiedz, mój jedyny!»

— «Zoro! wiecznie, równo z krajem!»

— «I przebaczasz moje winy?»

— «Zoro! a ty mi moje przebaczasz nawzajem?»

— «Mój luby! w mojem sercu najmniejszego cienia
Ani gniewu nie było, ani zażalenia,
Jakiegoż chcesz przebaczenia?»

— «Ja nie chcę od tej pory:
Tylko serca, serca Zory!
Ale Zoro, chwile płyną,
Trzeba jechać, później, wcześniej,
Po godzinie, przed godziną,
Rozstawać się najboleśniej.
Gdyby wola, nie konieczność
Ciężka, lecz święta, bo kraj,
Przy twej stopie, tubym wieczność
Przeżył jedną tylko chwilką,
Jednem tchnieniem szczęścia tylko!
Otrzyj, Zoro, łezkę z oka,
Ta konieczność jak opoka
Nie zmiękczy się, kamienna. Bądź zdrowa i trwaj!»

I wziął za kochaną rączkę
I pierścionek zdjął,
Z swojej ręki dał obrączkę,
A w zamian jej, wziął
Drogi obraz lic jej, od niej
Wziął, a swój dał jej.
I westchnęła pierś swobodniej,
Jakby cierpiał mniej.
Dziwne serce! jak dziecięciu
Tak jemu się chciało:
I całym na pamiątkę zostać w jej objęciu,
I ją zabrać całą.
Z pamiątkami wiara nowa,
I w pierś ulgi wpłynął zdrój,
— «Zoro moja! bywaj zdrowa!
— Bądź zdrów, luby mój!»

Dzielny konik pod ostrogą
Zwinął się i spiął,
I na obóz prostą drogą
Jak wiatr lekki mknął,
I on znikł. Ale darmo, od miejsca, gdzie ją żegnał,
Strzałą leciał koń szybki, jak ognista strzała
Boleść duszę rozdzierała,
I łza jej niemniej czysta, i koń nie odegnał! —
Ileż on nocy bezsennie
I dni w smutku będzie trawił!
Ona go kocha wiecznie, stale, nieodmiennie.
Ach! i we łzach ją zostawił!
Zniknął — a ona jeszcze na spojrzeniu cała
Wbiła oczy w tę stronę, i jak posąg stała,
Tak leniwy dzień płynął — zeszła noc, i rano
Zastało ją klęczącą, jeszcze zapłakaną
Łezkami pożegnania, u stóp Matki Boskiej;
Zwierzała jej obecne cierpienia i troski,
I prosiła na przyszłość wsparcia i opieki,
Nad jedynym swym skarbem, co od niej daleki.

ROZMAITOŚCI.

Nie masz, nie masz moja luba, jak żołnierskie życie!
Lepszy Ułan na koniku, niźli Pan w karecie.

PIEŚŃ OBOZOWA.

Jak żyć miło na tej ziemi,
Którą kochać jest potrzeba!
A bronić ją piersi swemi,
I ledz w bronie jej bytu;
Ani ziemia, ani niebo,
Nie ma równego zaszczytu!
Taka ziemia polska jest,
Którą polskie serca czczą;
A jej miłość, to jest chrzest,

Którym, w chwili urodzenia,
Polskie matki, dla zbawienia
Swoich synów piersi chrzczą.
I zaprawdę, żadna pierś bez takiego chrztu
Nie znajdzie w niebie zbawienia,
Ni ziemskiego szczęścia tu!
Kraj zawołał! Polskie syny
Pod Orłami już tam są!
Polskie matki! z waszej winy
Opuszczona starość wasza;
Ich żadna śmierć nie zastrasza,
I żadna łza nie zatrzyma!
Bo świętości nad kraj nie ma!
Tę myśl, od was, z mlekiem ssą.
Polskie siostry i kochanki!
Wy lejecie gorzkie łzy;
A któż w obozowe szranki
Lubych waszych pognał? Wy!
Z waszych ócz, jak z jasnej stali,
Serca wasze wyczytali;
Im podały dłonie wasze
Chorągiewki i pałasze!
O! piersi, co tak natchniona,
Żadna siła nie pokona!
Zwyciężą, czy legną, lwy!
Ty! coś wzrastał jak roślina
Pod szkłami twego ukrycia,
Chodź! i w polskim obozie obacz Polski syna,
I naucz się ceny życia!
Obacz jego pierś stalową,
I zginąć i żyć gotową;
Grób pod nogą, miecz nad głową;
A on więdnie, syn użycia
W ręce z pełną czarą życia,
Wesół, nuci pieśń godową!
Polski żołnierz w obozie! o! to wielkie słowo!
Jemu życie jest hulanką,

Gra djabełka; czas bank trzyma,
W banku radość, a więc: banko!
Jasna korzyść przed oczyma:
Do zyskania cały świat,
Do stracenia żadnych strat!
Bankier życia jest świat drugi,
Jest drugi Bóg w miniaturze;
Natura mu na usługi,
I wszystko, co jest w naturze,
Kwiatki szczęścia, to nie woda,
Lub powietrze, co jest wszędzie;
A żyć darmo, czasu szkoda,
I wstyd konać będzie.
Jemu w maju czy w oktobrze,
Jeźli dobrze, to już dobrze;
A jeźli źle, zawsze dobrze!
Bo on idzie na los wszelki
Równą piersią, zawsze wielki!

OBÓZ UŁAŃSKI POD WARSZAWĄ.

DUMA.

Nie mam swego nic na świecie,
Wszystko cudze, co gdzie mam;
A jeźli mnie kulka zmiecie,
Płakać będą po mnie tam.
Stary ojciec dał mi zbroję
Mówiąc: synu, woła kraj!
Idź! to życie już nie twoje,
Ojczyźnie je twojej daj!
Masz konika, niech cię wiezie,
Rzekła matka, idź na bój,
Gdzie o kraj wrą krwawe rzezie,
Dowiedź, synu: żeś syn mój!
Piękne siostry, bracia mali
Odwodząc mię aż za wieś,

Po westchnieniu, po łzie dali,
Mówiąc: «bracie, zginiesz gdzieś!»
Pożegnałem ojca, matkę,
Jak dwie róże siostry dwie,
Małych braci, drogą chatkę,
Co dziecięciem znała mnie.
Lekki wietrzyk oko owiał,
Łza w niem była — rzekłem: trwaj!
Lecz gdy Zory łza perłowa
Zabłysnęła w oku jej,
O! niż wyrzec: bywaj zdrowa!
Stokroć skonać było lżej.
Chorągiewkę i obrączkę
I obrazek dała swój,
Dała serce — ach! a rączkę
Da, aż jak się skończy bój!
Wszystko co mam, to nie moje
Życie, serce i myśl ta,
Ach! kiedyż się skończą boje?
A Bóg Zorę ujrzeć da? —

On nucił zadumany, a bracia ułani
Wtórzyli mu zadumani;
Był czas porozumienia; o tej samej porze
Każdy dumał o swojej, kiedy on o Zorze.
I serca rozbudzone mimowolnym wtórem,
Nuciły tęskną dumkę pod pustym mundurem.
Umilkli, zatopieni w myślach i tęsknocie,
I dziwno! cisza trwała w ułańskim namiocie,
Aż jakby mu wstyd było tej chwilowej ciszy,
Wstał Hubert kaznodzieja i Nestor pułkowy,
Wziął butelkę i kielich, i do towarzyszy
Rzekł takiemi słowy:

HUBERT.

Cóż u licha! jakby mnichy,
Jakby nie ułany,
Siedzicie jak śmiertelne grzechy,
Każden zadumany?
Ułan — bankier, dzięki Bogu,
I z natury i z nałogu.
Dalej, bracia! za kielichy,
Niech żyją ułany!
A Władysław! co tak cichy?
Wiecznie zakochany!
W twoje ręce!

WŁADYSŁAW.

Dzięki, bracia!
Ja dziś nie towarzysz;
Wy pijecie, wy hulacie,
A ja —

HUBERT.

A ty — marzysz!
Rozumiem, zakochany! cała tajemnica,
Lniane włoski, wzrok niebieski
I bladawe lica,
A broń Boże dwie, trzy łezki,
To z nieba dziewica!!!
Ona piękna, ona miła,
Ona łezkę uroniła.
Ach! ja nieszczęśliwy!
Tak wszyscy zakochani;
Takie, lub podobne dziwy,
Każdy plecie o swej Pani.

ZDZISŁAW.

O! słusznie powiedziano w jakimsiś rozdziale,
Co to tam w Piśmie świętem, o święconym kwasie,
Że wszystko może skwasić, choć go i niewiele;
To do zakochanych zastósować da się,
Bo jeden zakochany wśród tysiąca ludzi
Wszystkich skwasi, zawzdycha — i nareszcie znudzi.

WŁADYSŁAW.

Ach! ty, bracie, jej nie znasz — anioł nie dziewica!
Jej serce —

HUBERT.

Tak dalece, aż o sercu mowa!
Ja myślałem, tylko lica,
A to mała jest różnica!
Więc już ani słowa!
Jednak słuchaj, mój kolego,
Czy ona nabożna?

WŁADYSŁAW.

Ale cóż ci tam do tego?

HUBERT.

Wszak zapytać można!
Czy chciała przysiąg koniecznie?
Czy wierzy na słowo?
Czyś ją przysiągł kochać wiecznie,
Czy tak — tymczasowo?
Bo to także jest różnica
Tych dwóch przysiąg: póty szczerze,
Póki tylko na kwaterze.
A wzywam cienie przodków i światło księżyca,
O! ja także pamiętam, koło Hrubieszowa,
Prześliczne dziecko, ach nie, to w Warszawie,
Blondyneczka, i nie ta; cóż też to za głowa!
Ale bo to już dawno, trzy miesiące prawie,
Miałem tu gdzieś jej włosy, a, kiedy z pod Demba
Przyszliśmy do Warszawy, przypominam sobie,
Tak to właśnie naówczas widziałem je obie,
I zabrałem pamiątki. Hej! słuchaj, Zaremba!
Dajno tu nasze włosy!

ZAREMBA.

Panie poruczniku!
A które! Bo to tego u nas tam bez liku.

HUBERT.

Od żon, zresztą jak chcesz, wszystkie pamiątkowe,
I wszystkie pokrywały lubą jakąś głowę.
Słuchaj więc, otóż Zosia, właśnie koło Stoczka,

Kiedyśmy tam bywali, skromna jak fijołek,
A dobre to jak aniołek;
Pokochałem ją strasznie.

WŁADYSŁAW.

Widać! —

HUBERT.

Słuchaj bracie!
Bo to ja nie tak kocham jak to wy kochacie;
Ja to sobie po ludzku.

WŁADYSŁAW.

Pewnie! —

HUBERT.

Niezawodnie!
Słuchaj więc! Zora chciała odemnie przysięgi,
Abym wiecznie ją kochał.

WŁADYSŁAW.

A tyś na tygodnie,
Czy na dnie to chciał robić. Tęgiś, bracie! tęgi!

HUBERT.

Zaczęła mi wyplatać o cnocie i statku,
O moralnej nauce, o domowem szczęściu:
Nie graj, nie pij, nie hulaj! aż szust na ostatku:
Mnie tylko jednę kochaj i kończ na zamęściu.
O! pomyślałem sobie, tyś taka jak druga,
Upadam do nóg pani, i najniższy sługa!

WŁADYSŁAW.

Cóż, przysiągłeś?

HUBERT.

A jużci! — na piękność jej lica
I na światło księżyca.

WŁADYSŁAW.

A cóż teraz!

HUBERT.

Nic!
Wojna! Któż mnie od śmierci w wojnie zabezpieczy?
Napiszę jej żem zginął, i skończone rzeczy!
A twoja, czy blondynka,
Podlasianka, Ukrainka?

Czy jak dziecko pusta, żywa,
Czy poważna z natury, i jak Julia tkliwa?
Zresztą nasze siostry Polki
Wszystko dobre, jak baranki,
Hoże jak młode topolki,
A Litwinki, Podolanki,
Od Poznania, czy Mazurki;
Wszystkie, jak jabłuszka złote,
Wszystkie jednej ziemi córki;
Najlepiej nie znać różnic między Podolanką,
Rusinką a Mazurką albo Galicyanką,
Która piękna — banko o tę!
Wszystkie piękne — wszystkie banko!
Słuchaj, bracie! dzisiaj pijem,
Wojna życie, dzisiaj bijem,
Furażerka na bakier, wąs w górę, pałasze
Bręczą przy bokach, koń dzielny,
W sercu dziewcze i Polska; wara dmuchnąć w kaszę!
Dzisiaj człowiek nieśmiertelny!
Co użyte to, to nasze;
Dzisiaj bracia żyjem,
A tu może z lada chwilką
Krzykną: «na koń!» droga szklanko!
Droga Polsko i kochanko!
Bądźcie zdrowe! bądźcie zdrowe!
Granat huknie wielkie banko;
I ujrzysz gdzieś tylko głowę,
Lub bez głowy — siebie tylko.

WŁADYSŁAW.

O! to u naszego brata
Zdarza się bez granata.

HUBERT.

Słuchaj więc! nim to nastąpi,
Niech przepadnią wszyscy skąpi!
Pijmy za tych co nie piją;
Żyjmy za tych co nie żyją,
Czara za tych, czara za tych,
I za wieczny odpoczynek

Tych, co w Bogu spoczęli za braci żonatych;
Czara dla siostr Ukrainek,
Zadniestrzanek i Litwinek!
W twoje ręce, szlanka z szklanką!
Zdrowie twojej lubej.

WŁADYSŁAW.

Banko!

HUBERT.

O! niechże cię uściskam! Chłopiec w ręku z szklanką!
Czapka na prawem uchu, a na ustach: banko!
To ma swoje znaczenie, to raduje mnie!
A przed chwilą zadumany jakby jaki mnich,
Siedział w kącie ponury jak śmiertelny grzech.
Wierz mi: patrzeć było śmiech;
Teraz wracam ci godność. — Chłopiec, co się zwie!
Lecz gdybyś ty jak bankier, nie jak parafijanin,
Zbył się tych jednostajnych i ciągłych wzdychanin?
Gdybyś ty mógł kochać dwie?

WŁADYSŁAW.

Nie, bracie! nie wymagaj. — Ja z wami, ja wasz!
Jak mnie chcesz, tak mnie masz.
Z wami śmiać się, z wami pić,
Z wami hulać, z wami bić,
Do sądnego dnia.
Wszystko jak wy, lecz kochać, to tylko jak ja!
Jedną, i bez zmiany!

STANISŁAW.

Oczywiście zakochany!

ZDZISŁAW.

O cóż rzecz? ty się kochaj; — lecz jak w każdym kraju
Taki u nas jest zwyczaj — nie psuj nam zwyczaju.
Bo człowiek zakochany, — od lubej daleki
Jest młodzieńcem co jeszcze nie wyszedł z opieki.
Skarby widzi przed oczyma,
Ma świat cały — a nic nie ma.
Ztąd też słuszność, to szczęście, mówił Paweł święty,
Jest martwym kapitałem, co traci procenty;

Zresztą kto ci zaręczył, że z twoją kochanką
Obaczysz się za życia?

WITOLD.

No! słuchaj kolego!
Jeśli ona poszła banko
O kogo innego?
Jeśli cię zapomniała, — to co w takim razie?
Przyjm radę — i zapomnij!

HUBERT.

Przyjm ją i odemnie!

WŁADYSŁAW.

Prędzejbym skonał na własnem żelazie,
Niżbym ją zdradził nikczemnie.
Wy nie znacie serca Zory!

STANISŁAW.

Oczywiście zakochany, i kocha wzajemnie!

HUBERT.

Nie, bracie! on chory!

ZDZISŁAW.

Zora! jakże piękne imię!
Jakby dobrze brzmiało w rymie,
Musi być Ukrainka; ładne imię: Zora;
Ładniejsze niż Aurora, Pomona i Flora.
Lecz jak żyję, do tej pory,
Nie kochałem żadnej Zory.
Kochałem kilka Hortensyj,
Adelaid i Emilij,
Róż, Akacyj i Pretensyj.
Same kwiaty — lecz Zora, jutrzenki imie;
Tak miło odbija w rymie,
A w sercu, Władysławie! pewnie jeszcze milej;
Dla samego imienia, jej zdrowie wypiję.
A ładna?

WŁADYSŁAW.

Gdyby anioł!

ZDZISŁAW.

O! to niechaj żyje!

Kto mnie kocha, ten wypije,
Bracia! niechaj Zora żyje!

WSZYSCY.

Banko! niechaj Zora żyje!

HUBERT.

A co — będziesz kochał dwie?
Posłuchaj! które serce nie kocha nikogo,
To jest serce twarde, lwie;
A im które serca więcej kochać mogą,
Tem się każde czulszem zwie.
Widzisz tedy oczywiście
Najjawniejsze ztąd korzyście,
Kiedy kochasz dwie.
Ale z resztą Bóg to wie,
Może ty już kochasz dwie!

WŁADYSŁAW.

Ja? — nie! —

HUBERT.

Taisz się jeszcze? — więc po tajemnicy,
A owoż to bóstwo, piękny anioł zdrowia,
Co czuwał tam na brzegach Dniestru czy Bystrzycy,
Nad raną boremelską u twego wezgłowia?

WŁADYSŁAW.

O tak! — jam jej winien życie!

HUBERT.

A kto przeczy! czy słyszycie?
Że on Laurze winien życie?
Słuszna więc, panowie,
Wypić pięknej Laury zdrowie.
Niech przepadnie przeniewierca!
Co wdzięcznego nie ma serca.
Kto mnie kocha, ten wypije:
Bracia! niechaj Laura żyje!

WSZYSCY.

Banko! niechaj Laura żyje!!!

HUBERT.

Słuchaj! tę zwać dobrodziejką
A tamtę kochanką;

Wiele słów — a tak lepiej za jedną kolejką,
Niechaj żyją obiedwie!

WSZYSCY.

Dobrze mówisz — banko!
To się po ułańsku zwie:
Zora, Laura! banko dwie!

Tak wesoło w ręku z szklanką,
Noc pędziła młodzież pusta;
I niejednem głośnem banko,
Grzmiały rade pierś i usta.
Aż jak piorun z rykiem grzmotu,
Wleciał granat do namiotu.
Wróg niewinnych rozrywek i miłej igraszki,
Pękł — rozbił sześć butelek, i zsadził trzy czaszki.
Młody Hubert, w ręku z szklanką,
Nie uśpiał już domówić zaczętego: banko!
On wzniósł świętej Polski zdrowie;
Ledwie «ban» z ust mu wyszło, a czaszki na głowie
Już nie było. Aż chyba na sądzie ostatnim
Stanie znowu w kole bratniem,
I to wielkie: «ko» dopowie.
Ślad przepadł — czy miał kiedy głowę albo uszy;
I życie uleciało jak szampan z butelki,
A bracia rzekli: «Panie, świeć tam jego duszy!
«Bankier to był wielki!»

O! w obozie kończyć życie
Pijąc: niechaj żyje kraj!
Jest to kończyć należycie;
Ach tak Boże! i nam daj!

POLSKA W BANKU.

Poczciwi nasi przodkowie
Dobre mieli serce;
Przegrali Matkę Polskę, daj im Boże zdrowie,
Na cząstkowej poniterce!
I największą część przegrali
W faraona do Moskali.
W potomkach duch przodków ożył;
Chcieli grać w djabełka;
Pan Mikołaj bank założył,
A w banku perełka.
Polska w banku była droga,
A bank to nielada!
A spólnik gry w poczciwym przedstawiał się Franku,
Co tak pięknie gada:
«Odegramy cię, kochanko!
Polska — lub zagłada!»
I zagrzmiało wielkie banko
Nocy Listopada.
Tego banko, wielką chwałą,
Grzmiały ziemia i niebiosy;
A za nami nic nie stało,
Oprócz naszych serc — i kosy.
Nie był bankier ów Konstanty!
Chciał z Chłopickim razem,
Po partacku — grać na fanty,
Układami, nie żelazem.
Czuł wyraźnie przegraną, prosił o akordy;
A dyktator akordować radził;
Uradzono, zrobiono — i Konstanty hordy
Ściągnął z banku, i całe za Bug uprowadził.
Chłopicki wziął talię — i chociaż oddawna
Dobrze znał naturę kart,
Lecz dłoń do faraona tylko była wprawna,
W djabełka, on djabła wart.

W owym wielkim djabełku nocy Listopada
Gdzie jedno wygrywało: «byt albo zagłada,»
Drżącą dłonią sam nie widział,
Czy ma ciągnąć bank czy nie?
Założywszy ręce, siedział,
I marnował drogie dnie;
Gdyby wtenczas, z mieczem w dłoni,
Z po nad Bugu: banko! krzyknął!
O byłby wielki sztandar Orła i Pogoni,
Na starych wiał granicach, gdzie wiać się nawyknął.
On radził się kabałki; a tu wołał klub:
Nietak trzeba zbawiać kraj,
Dyktatorze, nietak rób!
Ty akordy radzisz z wrogiem,
Idźże sobie z Panem Bogiem!
A taliję tutaj daj! —
Wzięli taliję sejmowi
I dali Radziwiłłowi,
Jak bez niego, tak i z nim.
Aż Radziwiłł
Sam się zdziwił,
Zkąd ta grzeczność przyszła im?
Wtem dwakroć sto tysięcy poniterów stało;
A na czele graf Dybicz z zabałkańską chwałą;
Banko! krzyknął graf z Bałkanu!
«Dotrzymamy pewnie panu!»
Banko! krocie dział zagrzmiały,
Banko! rzekła zgraja;
Aż w Warszawie okna drżały,
Drżało w Petersburgu serce Mikołaja!
Trzy dni trwała rzeź i mordy;
Wtem szczególny traf:
Pierwszy poszedł na akordy
Zabałkański graf;
Zabrał swoje bohatery,
I sam ruszył na kwatery,
Polskie lance i bagnety
Taką ich uroczystą powitały pliją,

Że aż się pogarbiły zabałkańskie grzbiety,
I bohater wykrzyknął: o! tęgoż tu biją!»
Pan Skrzynecki, Jan z imienia,
Był to sobie Jan;
Wziął taliję od niechcenia,
I miał taki plan:
Chciał, nie chodząc po Bałkanie,
Urwać sobie na miejscu bałkańskiego lauru.
«Banko!» krzyknął niespodzianie,
Zagrzmiał napad Wawru,
I z zimowych ciepłych kwater
Umykał co tchu bohater,
Tam gdzieś na Iganie,
Jak kto mógł i zdołał,
Pod Dębe, do Domanic.
«Naprzód, wiara!» pan Jan wołał;
Na bagnety! proch z panewki!
Naprzód! naprzód chorągiewki!»
I strzepali na nic! —
Prawda nie grzech, panie Janie,
Udały się nam Iganie!
I pewno się tam w niebie ucieszyła dusza,
Nieboszczyka bankiera, pana Tadeusza.
Ale pan Jan zapomniał, że taliję trzymał;
Urwał laurów bałkańskich, i na nich zadrzymał.
Pan Jan był wielki bankier, są na to dowody;
Lecz wzorem Herkulesa, po trudach zwycięztwa,
Do stóp pani Janowej poszedł po nagrody;
Bo piękność, jak świat światem, jest nagrodą męztwa.
I ukląkłszy przy jej stopie,
Rzekł: «O! najdroższa kochanko!
Już w Polsce i w Europie
Głośne moje wielkie banko.
Zabałkańskich laurów snopy,
Składam u twej drogiej stopy,
Ty je listkiem mirtu zamień,
Takich laurów ze trzy kopy
Byłbym przyniósł do twej stopy;

Lecz do ciebie, moja chwało!
Źródło najdroższych omamień,
Do ciebie mnie serce gnało!
A serce, ty wiesz, nie kamień,
O! za żadną w świecie chwałę,
Już z Warszawy do Moskali,
Od ciebie, me niebo całe!
Twój się luby nie oddali!»
I dobra pani Janowa,
W zachwyceniu cała,
Nie wyrzekła ani słowa,
Tylko nań patrzała
Okiem tkliwej miłości, — za całą nagrodę
Głaszcząc go białą rączką po pod siwą brodę,
Aż nieprędko, nieprędko rzekła: «O mój luby:
Dobre niebo spełniło wszystkie moje śluby.
Z krwawych bojów wracasz cały,
Otoczony blaskiem chwały;
Lecz, ileż ta twoja chwała,
Gorzkich łez mnie kosztowała!
Nie oddalaj się odemnie;
Zaniechaj tych banków już.
Mnie tak z tobą żyć przyjemnie,
Tutaj, tutaj, na mem łonie,
Uwieńczone twoje skronie,
Po wojennych trudach złóż!
Słuchaj! gdybyś mógł to skronie
Złożyć na twej lubej łonie,
W dawnej Jagiełłów koronie!
Wtenczas ja — twoja Janowa
Byłabym polska królowa.
Zostań tutaj, w Warszawie. Książe Czartoryski,
Mówią: tronu bardzo bliski;
Wtenczas, księżna Adamowa
Byłaby polska królowa.
O! tej myśli nie zniosę — jeślim tobie miła,
Zrób to, drogi mój Janie, bym królową była,

Nie uwierzysz jak twej żonie
Do twarzy będzie w koronie?»
Tak, pod mirtem w Warszawie, na miłości łonie,
Drzymał stary Walenrod przy siwej Aldonie,
Wielbiąc sercem rycerskiem poważne jej wdzięki.
A tymczasem do koła zbliżały się burze,
Aż zagrzmiało w czarnej chmurze,
Banko Ostrołęki!
Po którem do Warszawy, do najdróższych stopek
Przyniósł pan Jan wawrzynów tylko mały snopek.
I pewno się tam w niebie zasmuciła dusza
Nieboszczyka bankiera pana Tadeusza!
Już było wyświęcono: tu piątka — tam as;
Pan Jan siedział spokojnie, a klub do kabałki,
Sejm poczciwy wyplatał koszałki opałki:
Miał potemu czas.
Jak zaczęli radzić, doradzać, odradzać,
W kontramarszach się przechadzać,
W taki wpadli las,
Że na wieki zapomnieli,
Że już całkiem nie wiedzieli:
Co wprzódy wygrywało: czy — piątka czy as?
Pana Jana na sejmie
Pożegnano uprzejmie;
Chodź ty panie Henryku!
Potrzebni nam wodze,
I nabrali bez liku
Pierwszych lepszych po drodze.
Kraj chciał piątkę, asa klub;
Poszedł as zdradziecki,
I wykopał dla nas grób:
Był to Krukowiecki!
Źle było grać na polu — zaprosił do miasta;
W tym dniu zgrozy i niesławy
Wszedł Mikołaj do Warszawy
I powiedział: «basta!»

A my, wierni samym sobie,
W krwawej rzezi, w krwawym mordzie,
Woleliśmy poledz w grobie,
Lub pójść na świat szeroki w dniach smutku i zgrozy,
Polską piersią zaludniać europejskie kozy,
Niż się spodlić na akordzie!
Lecz tułacze, niedobitki,
Dziś bez kraju i bez stali,
Zgrani do ostatniej nitki,
Cóżeśmy przegrali?
W męzkiej piersi serce bije,
W męzkiej piersi Polska żyje;
Przyjdzie jedna talija — i wszystko odbije!
Każdy z nas, dzięki Bogu,
Wielki bankier — mało który
Patrzy na dół — bo z natury
Przywykł patrzeć już do góry.
I dziś spojrzyj w około: kogo w więzach wloką
Na Sybir lub do kozy, jak szeroki świat,
A on wznosi dumne oko,
Z pogardą z za krat;
I oddech jego piersi i jego spojrzenia
Śmielsze i pogodniejsze niż tchnienie Europy,
Co cała siedzi w kozie własnego spodlenia,
Przytłoczona ciężarem tamerlańskiej stopy;
A on wielki, i z za krat
Idzie banko, choć o świat —
Na me słowo wierz ślepo: to pewno nasz brat.

BANKIER W KOZIE.

Oko więźnia z po za kraty
Widzi świat swojej myśli w całunie utraty;

Blask nadziei bezsilny, w mgłę tęsknot rozegnać,
Co jego niebo osłania,
Więzień umie tylko żegnać;
Bo za kratą nieznany oddech powitania.
Więzień dumał samotny z nieoschłą powieką,
Ale już niepłaczącą, i z piersią przycichłą,
Jego myśl za więzienie, za Dniestr gdzieś daleko
Poleciała stęskniona, i wróci nierychło.
A Dniestr płynął pod okiem w skalistem korycie;
Samotny, niezbadany, tak jak jego życie,
U stóp zielonej skały; — ta piekielna skała
Ani go odganiała, ani wstrzymywała,
Piękną skroń obojętną wynosiła górą,
Patrzając w błękit nieba, czy na gwiazdkę którą,
A co u stóp czekało swego przeznaczenia,
Nie zwróciło uwagi, ani jej spojrzenia.
Była piękna, zielona — lecz była z kamienia.
Wiatr zaszumiał z za Dniestru; — a więźnia spojrzenia
I myśli się ocknęły — znowu wśród więzienia,
Które były rzuciły;
O! w tych wiatrów szumie
Jest jakaś tajna siła, co wtórzy mej dumie,
Jak serce je przeczuwa i dusza rozumie,
I ucho usłyszało w fal dniestrowych drżeniu,
Odgłos jakiś podobny cichemu westchnieniu;
I odbita od fali kropelka zadrżała,
Lekka, jasna, samotna — jakby łezka mała.
Miałożby to westchnienie z krainy utraty,
Z za Dniestru od jej serca dójść do mojej kraty?
Miałażby w jej oku łza
Drżeć tam jak kropelka ta?
O! łza straszna w oku jej!
Wszystko zniósłbym prócz łzy tej!
Jej uśmiech jest trucizna słodka i powolna,
Trawi, niszczy tak jak rdza;
I śmierć od niej miła; ach! bo dobrowolna,
Lecz nie takąby śmiercią zabiła jej łza.
Z tą łzą, przy jej stopie, upadłbym tak trup?

A wtedy, zbrodnio i cnoto?
Ja twój, lub twój, mniejsza o to!
I Bóg mnie nie oderwie od tych drogich stóp.
Tej łzy nie chcę widzieć, nie!
Uśmiechy mnie zabić mogą,
A łza, prócz mnie, jeszcze kogo,
I zbrodniarzem zrobić mnie.
Lecz widzieć ją, czuć jej tchnienia,
Bez nadziei i bojaźni,
Nie znać innego nieba, tylko jej spojrzenia,
Kochać ją śmiałem bez skromnej przyjaźni!
Tak, tak, przyjaźni tylko! to słodki stan bytu.
Jak upływa obłok mglisty
Obok gwiazdki promienistej,
Tam po jasnem tle błękitu,
Takim bytem chciałbym żyć,
Gdyby mógł byt taki być,
«Miłe dziecko! —»

I westchnął, spojrzał na obrazek,
Na nim nie ta twarz była, i zadrżał bez chęci.
«O przeklęty wynalazek!
Pędzla i pamięci!»
Poco mi wspominać? Ja tak dobrze pomnę
Drogie rysy twoje, Zoro!
Te rysy mojej myśli i sercu przytomne,
Twoje spojrzenia dotąd na licach mi gorą;
A w obrazku tym nieżywe
Ni twój uśmiech, ni twe lice;
Lecz pocóż oko twoje takie podejrzliwe?
Patrzy z niego w mojego serca tajemnicę?
Nie obaczysz, Zoro, tam
Nic, czegobym nie rzekł sam.
Prawda, jest tam lice inne
Obok ciebie, lecz niewinne;
Lice dziecięcia, dziecinne,
I piękne lice jak twoje,
Lecz niezazdrość, ni się bój!

To tkliwa święta przyjaźń, ja sam się nie boję!
Zoro! wszak masz słowo moje!
Zoro! wszak ja twój!
Lecz, Zoro! twój wzrok pogodny
Zasępia się tak surowo;
Czyżem wiary twej niegodny?
Zoro! a me słowo? —
Jeźli tak, to za niewiarę,
W moje słowo i uczucie,
Przeznaczę ci taką karę:
«Zora będzie na pokucie;
Wzrok zakryję kwiatkiem toji,
I w kąciku schowam gdzie;
A jak się Zora trochę uspokoi,
To ktoś przyjdzie, kwiatek zdejmie,
I powita cię uprzejmie,
I ktoś pocałuje cię.
Ach! tylko na obrazku, w tę kochaną rączkę.»
Spojrzał na obrazek, spojrzał na obrączkę,
I uśmiał się, spojrzał znowu,
I znowu się uśmiechnął,
«Nie, ja nie żartuję!
Nie dąsaj się, bądź grzeczna, ufaj memu słowu,
To cię pocałuję!
I dam patrzeć na siebie; «a tak, do więzienia.»
I zakrył kwiatkiem toji ciekawe wejrzenia.
Co mu w serce patrzały z martwego obrazku,
Bez zamiaru i bez chęci,
I powtórzył raz jeszcze:
«Nudny wynalazku!
Pędzla i pamięci!
Poco mi przypominać, ja tak dobrze pomnę
Bez obrazku do tej pory,
Kochane lice Laury równie mi przytomne,
Jak z obrazkiem lice Zory.
I na tę i na tę patrzę;
Widzę, choć ich tutaj nie ma,
Widzę je duszy oczyma;

I śmierć tych rysów nie zatrze!
I ocknął się, spojrzał na więzienia ściany;
Gdyby tu kto ujrzał mnie,
Mógłby rzec: żem szalony — albo zakochany,
I co większa — kocham dwie!
Laura, Zora, miłe dzieci,
Dzieci obie, a ja trzeci!
Ja nie kocham obu ich;
Bo dwie kochać, mówią, grzech,
Lecz ja kocham każdą z nich!
Grzech? Jaki grzech? Rzecz zabawna!
Ukraińska dumka nasza,
Matka pieśni starodawna,
Taką rzecz ogłasza:
«Jedna hora wysokaja,
A druhaja nyska.
Jedna myła dalekaja,
A druhaja błyska;
A ja toju dalekoju
Ludiam podaruju,
A do toi błyzenkoi
Da sam powendruju;
A tu toi dalekoi
Woły, da korowy,
A u toi błyzenkoi
Da czernoi browy!»
Czy ta dumka ze mnie drwi?
Czy jej może mówił kto?
Że moja Laura blisko, i ma czarne brwi?
Zkąd ona wie to?
Dumka stara jako świat,
A Laura ma zaledwie siedemnaście lat!
Otóż to mi pieśń nad pieśni,
Pieśń wielka co się zwie!
Ta mądrość człowiekowi czasem się i nie śni,
A dumka o wszystkiem wie!
Niechaj żyje pieśń rodzinna,
Ukraińska dumka gminna!

A taż: «Gdyby orłem być,
Lub sokole skrzydło mieć,
Skrzydłem orlem lub sokolem,
Unosić się nad Podolem,
Tamtem życiem żyć! —»
Tak, do Zory, na Podole!
Nie — tą razą za Dniestr wolę.
Gdyby czółno, gdyby wiosło,
Dniestrze, pod bieg wody twej,
Serceby mnie tam poniosło
Do drogich stóp Laury mej!
Tam gdzie dzisiaj z każdą chwilką
Po zwierciadeł twoich tle,
Pierś samotna, dumkę tylko,
I westchnienie błędne śle.
Gdyby czółno! nie pieśń! — sam,
O! już dawno byłbym tam!
Stój szaleńcze! Dniestru wody,
Góry, lasy, nie przegrody!
Bez wiosła byś przebrnął świat;
Lecz ty więzień, bez swobody,
Jakże wyjdziesz z za tych krat?
Okruszynka od rozbicia
Wielkiej arki, lekkie źdźbło;
Ty niewolnik, ponura gwiazda twego życia,
Zasępiona, niewoli opasana mgłą,
Nie rzuci świateł ulgi na duszy twej tło.
Twoje niebo zamknione; i dni twoich kwiat
Zniweczeje wśród twych krat.
Cztery ściany więzienia, co zmierzysz na piędzie,
Te są twojej wielkości i celów krawędzie;
To twój kraj, to twój świat,
I twój grób tu będzie!
Ty Polak! na twem czole w chwili urodzenia,
Na wieczną zakałę niebu,
Wytłoczono już krwawe piętno potępienia;
Byś mógł, jak świat szeroki, lać krew za swobodę,

Potem tułacz gnić w więzach za całą nagrodę,
I zawadzać pod stopą ciałem bez pogrzebu.
Twoje wszystko upadło, pocóż to «niestety!»
Te «ach!» te smutki, te żale,
«Ponabijam pistolety,
W łeb sobie wypalę;
Pierś boleścią nie zajęknie,
Kulka się wyśliźnie,
W dziesięcioro czaszka pęknie,
I mózg o ściel bryznie.
Laura pewno nie zapłacze,
Zory prędko oschnie łza,
I wszystko już skończone! zresztą jak zobaczę,
Może jeszcze to wszystko przemienić się da,
Niezawodnie zmieni się!»
I spojrzał w około
Czy go kto nie podsłuchał pośród czterech ścian;
I trzykroć bijąc się w czoło
Rzekł: «A mojaż to głowa tworzyła ten plan?
Czy niemoja? nieodbicie
Czyjaś cudza; odjąć życie?
Komu? sobie? — A to zkąd?
Że do kozy wsadził rząd?
To zaiste byłby błąd.
Wolę ja uśmiech Laury, niż jej łzy na grobie:
Kto chce, niech umiera sobie,
Wolno, a ja zaręczam że tego nie zrobię.
Precz niemęzka myśli, precz!
Władysławie, nieodbicie
Przyjdzie koniec zgrozie;
A kto bankier całe życie,
Ten bankier i w kozie.
Wyjść z kozy to rzecz!
A za kozą, wielki Boże!
Ty wiesz jeszcze co być może,
Jakie przyjdą dnie.
Więc już nie wypalę, nie!
Bo choć nie od pałasza

Przyjdzie konać w kozie, tu,
I ta śmierć mnie nie zastrasza,
Wszak żyłem za stu!!!
Życiem kraju pierś wzmocniona
Dotrwa wam jak stalowa,
Żaden cios jej nie pokona.
Bo i na cóż, bardzo proszę?
W męzkiej piersi serce noszę?
Odpowiedź gotowa:
Serce, jest skład na rozkosze,
A na rozum, głowa.
Bankier jest wieczny podróżny,
W te dwa składy wszystko składa;
A u kogo który próżny,
Ten nie bankier, temu biada!
Bankierowi w każdym czasie
I w każdej potrzebie,
Nie zabraknie na zapasie,
Ma samego siebie.

Tutaj rozkosz obecna, tam słodkie wspomnienia,
Tu nadzieja gotowa przedłużyć swe życie,
Tutaj życia pogarda, tam słodkie marzenia.
Myśl rzeźwa, a w odwodzie jakiś cel życzenia.
Śmiać się, płakać, a z serca kochać należycie;
Czuć, używać, być sobą, to bankierskie życie!

Bo cóż, za dwa, za trzy lata
Śmierć, ta poniterka świata,
Zrywać banki nam niesyta,
Przyjdzie z kosą, i zapyta:
«A co w banku?
Twoje życie!
Banko, ciągnij, mój kochanku!»
I wzięła bank, jak widzicie.

«Służę pani!» odpowie każdy bankier wielki,
Spocznę jak po mazurze w chudem jej objęciu;

Czara życia wypita, do dna, do kropelki,
Żyłem prawie za dziesięciu.
Śmierć się zdziwi i tak rzecze:
«Ach! pomiarkuj się człowiecze!
Czy pytasz drogi, czy drwisz?
— Jak mnie widzisz, tak mnie pisz!
Nie rozmawiać! czy ja drwię,
Nie twoja rzecz pytać mnie,
Wiesz, ja lubię piękne lica,
Ale piękne co się zwie!
Zora, Laura — ich źrenica,
Cały świat to wie!
Anioł każda z nich z osobna,
Oprzeć się im niepodobna,
Kto raz widział je!
Serce w piersi nie jest głazem,
Nie przywiązać go rozkazem,
Poszło banko dwie;
Masz! — to cała tajemnica —
Więc się wynoś, lub bierz mnie!
— Wielki bankier, mój kolego,
Jeden dobry wart za stu!
— Banko! — i wzięła jak swego:
Ruszaj tu!»
Potem popów orszak kruczy
Zgromadzi się pod lepianką,
I ponuro ci zamruczy
Urzędowe wielkie banko,
Wielki bankier leżąc w trumnie,
Po tem bractwie spojrzy dumnie,
I tak powie: «Czego chcecie:
Jaż zawadzam wam na świecie?
Zabierajcie moje ciało,
Kiedy wam się podobało.
Przepędziłem moje życie,
Zaręczam was, należycie.
I na słońcu i na mrozie,
I w salonie i w obozie;

Zawsze bankier z chwałą,
A umieram sobie w kozie:
Bo tak mi się chciało!»

Takiem na świat patrzał okiem
Młody bankier ów, z więzienia.
Wtem świat, co wpół jeszcze różanym obłokiem
Owiany, tlał w półblasku młodego marzenia,
On był nieoziębiony uczeń doświadczenia.
Jeszcze piersią bez przesytu,
Czuł i niesmak i smak bytu;
On dumał, ta wyroczna zbliżała się chwila,
Kiedy się walka serca z rozumem przesila;
A serce do drogiego przykute uczucia,
Lub swoim własnym jadem rozpocznie się truć,
Lub jednem silnem tchnieniem może serce spsuć.
On siebie nie rozumiał, jak lekka pierś łodzi,
Płynął po własnych uczuć nieznanej powodzi,
Bez kotwicy i bez wiosła.
A czy przy tym lub tym brzegu
Łódź się wstrzyma kiedyś w biegu,
Nie pomyślał szczęśliwy, płynął gdzie go niosła;
Tło wody było jasne, lecz jak dno głęboko,
O tem nie pomyślała nigdy myśl szczęśliwa;
Bo żeglarza młode oko
Nie badało głębiny, po której upływa.
Lecz brzeg, który opuścił z dobrowolnej chęci,
I drugi był daleko do którego płynął,
A pod nogą głębina, jak otchłań pamięci,
Po szczęściu które ominął.
On miał zaród gangreny, co mu w piersi tlała;
I powoli, nieznacznie duszę okrążała.
On kochał dwie dziewice piersią jednakową,
Lub tak sądził, przynajmniej tak mu się zdawało;
Tutaj go wiodło serce, tam wiązało słowo,
A i jedno i drugie zasnąć nie dawało.

W chwili dumań on patrzył wytężonem okiem
W kochane lice Laury, — nagły zwrót pamięci
Ocknął go Zory widokiem.
On się zmięszał, zapłonił i zadrżał bez chęci,
Patrzał w oblicze Zory, widział w jej spojrzeniu
Jakby wyrzut niewiary, co jej twarz zasmucał,
A Laura, jak cień stała, przy każdem wspomnieniu.
Odrywał się od obu i obie porzucał.
Nagle zapomniane obie
Widział je, jak cień przy sobie!
Zakrywał kwiatkiem toji lice na obrazku,
A z pod kwiatka wzrok patrzał, jak oko upioru,
Prosto na jego serce, w tkliwych marzeń blasku;
Nucił dumkę od niechcenia,
Krzyżowały się wspomnienia.
I Laura była w sercu a na ustach Zora.
On był dobry i niewinny,
Żył w świecie swoich uczuć i swej wyobraźni,
Lecz mu mądrość obrazu, jak rada przyjaźni
Światłej ale obłudnej, świat wskazała inny;
On z tchnieniem tego świata rychło pierś oswoił,
I sokiem niewłaściwym młode serce poił;
A szczęście, czy truciznę, pierś wyssie z tych soków?
Nie dojrzeć za ponurą zasłoną wyroków.

Nad Bohem piękne niebo, ale niełaskawe,
Słońce tam wstaje smutne i zachodzi krwawe;
I oddech ociężały niechętnie w pierś płynie,
Tęskny jak myśl po kraju, jak żal po rodzinie.
Czemuż dziś tak nad Bohem? i serca i pola
Zniszczone, zakrwawione? ciemięży niewola?
Tam z okiem zapłakanem niejedna rodzina,
Wypatruje powrotu ojca albo syna;
Co wleczony w kajdanach podłą ręką zbirów,
Poszedł bez pożegnania na pustki Sybirów!

Tam wśród czterech ścian chaty, dziewczę w północ głuchą
Drżąc, przykłada do ziemi wytężone ucho;
Czy chodu nie posłyszy zkąd albo westchnienia
Czyjego? I zadrżała! O! tego imienia
I przed sobą nie powie w największem ukryciu.
To imię jest jej skarbem jedynym w tem życiu.
On poszedł; może poległ, żadnej o nim wieści
Prócz dawnego wspomnienia i świeżej boleści.
Nie ma go; a ona drży czy jej nie podsłucha
Słuch jaki szpiegujący, przedajnego ucha.
I cisnąc w dłoni listek, drży czy nie obaczy
Tej pamiątki, spodlona źrenica siepaczy.
Łza zadrżała w jej oku i pierś jej zajękła;
Wpadną niepodziewanie; łzę ujrzą siepacze,
I z tej łzy rozpoznają, po kim ona płacze.
Gdzie on jest? odpowiadaj! Sybir lub więzienie!
Wiesz o nim? tak dowodzi ta łza i westchnienie.
Tam dziecię z łona Matki rwane od siepaczy,
Jakby już przeczuwało dnie swego męczeństwa,
Piszczy głosem bezsłownej klątwy i rozpaczy,
A matka łamiąc ręce jak bóstwo szaleństwa,
Lata i wyje niebu wielki hymn przeklęstwa,
To kraj łez i ciężkiego niebłogosławieństwa!
I Bóg słyszy te jęki! I nad Boh ponuro
Patrzy, zakrywszy oczy niedostępną chmurą;
Bo mu wstyd i zgryzota spojrzeć nie dozwala
Na ziemię, którą bez win, klęskami przywala.
. . . . . .
O! nad Bohem okropnie! Nieszczęśliwe rody,
Bohu! co piją twoje zakrwawione wody!
My tułacze wygnani od rodzinnej ziemi,
Litujem się ich doli, i płaczem nad niemi.
Nad Bohem, w północ głuchą w samotnej komnacie
Klęczy młoda dziewica u stóp Matki Boskiej,
Piękna, ze łzą w źrenicy i w żałobnej szacie;
Zwierzała jej obecne cierpienia i troski;
Nie dla siebie prosiła wsparcia i opieki,
Lecz dla tego, co niegdyś był jej całym światem;

I dzisiaj był nim jeszcze, choć od niej daleki,
Lecz go już mogła tylko nazwać swoim bratem.
Jej przeczucia spełnione. Doszły pewne wieści,
Pewne jak piołunowe jej serca boleści
O jego zmianie —
Ranny na Boremla polach
Znalazł troskliwą pomoc, znalazł ulgę w bolach
W gościnnej rodzinie; miłe, piękne dziecię;
Jak młody anioł w wdzięku i świeżości zdrowia,
Pilnowało snów jego chorych u węzgłowia,
I rany uleczało, i wróciło życie.
I on jej opowiadał serca swego dzieje,
I szczęście upłynione i słodkie nadzieje.
I Laura go słuchała z tym tkliwym udziałem
Młodości, co współczuje z przyrodzeniem całem.
On mówił jej o Zorze, i wspomnienie Zory,
Laury nie zatrważało. Zora, od tej pory
Była drogą jej sercu! Widziała jej lice
W obrazku, i jej serca znała tajemnice;
On wdzięczny swego serca kreślił jej obrazy,
Z nowym wdziękiem słuchane po tylekroć razy,
Byle z Laurą rozmawiać, bez wiedzy i chęci,
Niósł serce z chwil obecnych w krainę pamięci,
I obecne uczucie do przeszłości wcielał,
Szczęśliwy, całą przeszłość w mgnieniu oka przelał,
Aby niem żyć przy Laurze. On jej nie rozumiał,
Chwil przeszłych od obecnych rozdzielić nie umiał;
I te, i te szczęśliwe, też ich nie rozdzielał.
Wyzdrowiał jej staraniem; i progi gościnne
Opuścił, lecz z tych progów serce uniósł inne,
Inne życie. Rana głęboka na czole
Zagoiła całkiem. Ale w sercu bole
I rany się odkryły. I on ich nie goił,
Miłe były, i rychło pierś z niemi oswoił.
Przy ognisku obozów, i w ciszy, i w gwarze,
I w samotnem dumaniu, dwie kochane twarze
Spłynione w jeden obraz i jedno wspomnienie,
Były przy jego sercu, jak dwa wieczne cienie.

Kraj upadł: obozowe pogasły ogniska,
Została rozpacz w sercach, i zwaliska.
Białe orły tułacze i polscy obrońce
Poszli na cztery wiatry, w cztery świata końce.
I on znowu odwiedził ustronie gościnne,
Lecz jakże odmienne! Nie, tam zmiany nie ma,
Lecz on na nie innemi spoglądał oczyma,
O! bo serce miał już inne!
Laura go powitała i okiem i słowem,
I sercem znanem jemu, zawsze jednakowem:
Serce nie wypiękniało, bo nie mogło więcej
Wypięknieć jak już było, lecz w twarzy dziecięcej
Rysy się wypełniły, o! właśnie, o tyle
Ile było potrzeba:
Aby oko śmiertelne mogło w całej sile
Ujrzeć całe szczęście nieba!
Ujrzeć je, zachwycić się, i od jego szczytu
Wpaść w otchłań ziemskiej doli i poczuć czczość bytu.

WŁADYSŁAW.

Lauro! może niepoznany
Przychodzę w te drogie progi!

LAURA.

Nasze serca bez odmiany;
A kto w nich raz pożądany,
Ten i w progach zawsze drogi!
Władysławie! a twe rany?

WŁADYSŁAW.

Niezagojone; ta, na czole
Zagojona, tobie dzięki!
Lecz są, Lauro, jeszcze bole
Jadowitsze, krwawsze męki,
Co tę biedną pierś kaleczą;
Te się bole nie uleczą,
Chyba z twojej ręki!

LAURA.

Władysławie! ty znów chory? —
Znowu ranny?

WŁADYSŁAW.

Dawna rana,
O! od owej jeszcze pory
Kiedym cię ujrzał, zadana!

LAURA.

Pozwól! ja ci znowu zajmę miejsce Zory!

WŁADYSŁAW.

Znowu, Lauro! o! na nowo
Niepodobna.

LAURA.

Cóż to znaczy?

WŁADYSŁAW.

Niewłaściwe było słowo,
Niewłaściwie rzecz tłómaczy;
Tyś je raz już zajęła; o! i od tej chwili
Do dzisiaj się serce myli.
Tyś je raz już zajęła; o! i od tej pory
Często myśl widzi was obie,
I nieraz serce chce westchnąć do Zory,
A westchnienie się omyli,
I leci spocząć przy tobie.
Te omyłki tak częste i dni moich schyłek
Jeszcze będzie dniem omyłek.
Lecz nie! wszak ty przyrzekłaś rany me uleczyć;
O! pod anielskim starań twoich wpływem,
Bole się uspokoją; i sercem szczęśliwem
Nie będę się już mylić i niebu złorzeczyć.

LAURA.

Władysławie! a Zora?

WŁADYSŁAW.

Po cóż to pytanie?
Wszak ty czuwasz nademną, a twoje staranie
Czyż nie może, Aniele! jej miejsca zastąpić?

LAURA.

O! ja ich nie skąpiłam i nie będę skąpić,
Bo ja bardzo ją kocham, mój bracie kochany!
Powiedz: czy ona będzie kochać mię wzajemnie?
Czy ona będzie rada, że mnie twoje rany

Opatrywać tak przyjemnie,
Dla jej szczęścia, by zdrowym wzięła cię odemnie.
Podziękuje mi ona? pocałuje za to?

WŁADYSŁAW.

Lauro! jaką ci Zora nagrodzi zapłatą,
Tego nie wiem; i o to nie pytaj daremnie,
Ona będzie ci wdzięczną, możesz się spodziewać.

LAURA.

Miałżeś ty od niej wieści? ona tam zapewne
Niejedną już po tobie łzę wylała rzewnę;
Pisałeś jej o sobie?

WŁADYSŁAW.

Trudno było; wojna!

LAURA.

Ach! a ona tam biedna pewno niespokojna,
Drży o ciebie z każdą chwilką;
I nadzieją wieści tylko
Gorzkie łzy rozstania słodzi;
Pociesz ją, Władysławie! to tak się nie godzi;
Napiszesz?

WŁADYSŁAW.

Postaram się.

LAURA.

Pewnie? —

WŁADYSŁAW.

Niezawodnie!

LAURA.

Kłaniaj się jej odemnie, mojej drogiej Zorze,
Ale kiedyż to będzie?

WŁADYSŁAW.

Trudno o tej porze;
Ale mam pewną zręczność za cztery tygodnie.

LAURA.

Ty czas liczysz tygodniami;
Cztery tygodnie wyrzec tak łatwo, tak snadnie,
Lecz przeżyć je w tęsknocie, westchnieniem i łzami,
To trudno. Władysławie! wierz mi, to niełądnie!

Nie gniewaj się, że ja ci tę wymówkę robię,
Bo ja bardzo ją kocham.

WŁADYSŁAW.

Mój drogi Aniele!
Widzieć ciebie, być przy tobie,
I myśleć o kim jeszcze, nie! to nazbyt wiele!
To obowiązek za trudny.

LAURA.

Nie lubię cię, boś już nudny,
Nie masz serca!

WŁADYSŁAW.

To pewno?

LAURA.

Bo nie kochasz Zory.
To nie ja będę już kochać cię jak brata,
I będę cię zwać panem.

WŁADYSŁAW.

Lauro, od tej pory
Będę pisał codziennie do całego świata,
Ale ty mi, Lauro, zajmiesz miejsce Zory!

LAURA.

Póki będziesz ją kochał.

WŁADYSŁAW.

A jakże to długo?

LAURA.

Czy już ci się sprzykrzyło? czy chcesz drugą?

WŁADYSŁAW.

Nie, Lauro! jak Bóg na niebie,
Tak, nie kocham nikogo prócz ciebie.

LAURA.

Ty mnie kochasz jak siostrę, a Zorę inaczej!

WŁADYSŁAW.

O nie! Lauro! powiedz raczej:
Ją jak siostrę, a ciebie; na to nie ma słowa.

LAURA.

Jakeś ty się odmienił! Dzisiaj twoja mowa
Jakże od dawniejszej inna —

WŁADYSŁAW.

O Lauro! ja nie winien, nie! i tyś nie winna;

Winno moje nieszczęście, co mnie z całą siłą,
I z całą zacietością do twych stóp przybiło.

LAURA.

Wróć do niej, Władysławie! serce jej wróć raz!

WŁADYSŁAW.

Niepodobna!

LAURA.

A słowo!

WŁADYSŁAW.

Dać słowo, a czas?
To różnica. Więc, Lauro! już moja utrata
Niecofniona? Ja stracę, stracę moją cześć,
Szczęścia więcej nie znajdę! Nie! tego nie zdołam znieść.
A słowo? Tak! dałem je! Słuszne twe wyrzuty,
Lecz czyż ona przystanie, jeźli tylko słowem
Kochać ją będę, do twych stóp przykuty?
A w sercu pustem wtedy dla niej i jałowem,
Każdy dzień żyty przy niej będzie dniem pokuty,
Każdy uśmiech przymusem, każda radość gniewem,
Oddech szczęścia przeklęstwem zatruty,
Będzie niszczącym wyziewem,
Co z jadowitej duszy, wznosząc się z ukrycia,
Jej piękną duszę owionie,
I wysuszy źródło życia
W tem anielskiem łonie.
O! jej łza dopomina się o wielkie rachuby,
I na tem biednem sercu pomści się jej zguby
Moja cześć cała: dotrzymanie słowa.
A szczęście! Lauro! każesz? A ta pierś gotowa.

LAURA.

Władysławie! cześć twoja i szczęście i cnota,
W twojej mocy do tej chwili,
A burza, co tak dziko sercem twojem miota,
Wkrótce się przesili,
Bądź tylko sobą!

WŁADYSŁAW.

Lauro! taka rada
Dobra do wymówienia, nie do wykonania.

Mnie czeka jedno: niebo lub zagłada,
I ty, daj wyrok: życia lub skonania!

LAURA.

Władysławie! do tej pory,
Znałam cię przyjacielem nieznanej mi Zory,
Lecz drogiej sercu memu, bo była twym światem,
I tego świata szczęściem i ozdobą;
A ja byłam ci siostrą, jak nad drogim bratem
Czuwałam nad tobą
Dla jej szczęścia, a dzisiaj twoja dusza inna;
Lecz moja jednakowa, mnie jej szczęście drogie,
Ja nieszczęśliwą być mogę,
Lecz nie będę winna!

WŁADYSŁAW.

Ty płaczesz, mój Aniele, cóż łza twoja znaczy?
Jestże to łza współczucia nad mem przeznaczeniem,
Czy zimna łza litości dla mojej rozpaczy?

LAURA.

Bracie mój! ja płaczę nad twojem cierpieniem,
Ja jestem przyczyną:
Że i twoje, i Zory, i moje łzy płyną.
Nad waszemi sercami, co mi równie drogie,
A winna, nieszczęśliwa, ulżyć im nie mogę
Władysławie! powinność! —

WŁADYSŁAW.

Lauro! ciężkie słowo!

LAURA.

Lecz święte i koniecznie! —

WŁADYSŁAW.

Lauro! bywaj zdrową!

ZAMKNIĘCIE.

Dziwne to serce ludzkie! A któż stworzył cnoty?
O! zapewne nie serce, lecz umysł despoty
Rozumu! ten wróg szczęścia, co patrzy ze wstrętem
Na każdą radość życia; nauką obłudną,
Kazał sercu zwać to — świętem,
Co wykonać mu trudno!

Prawodawca! sam jeden wyjęty z pod prawa,
Lał prawa, przygniotł niemi, i sam się naigrawa;
Aż gdy pierś tęsknotami, jak szkielet wysuszy,
I każde źródło szczęścia zatamuje w duszy,
I step życia bez barwy, powabu i blasku,
Rozciągnie przed oczyma jak pustynię piasku,
Wtenczas uśmiechem wzgardy, nikczemny szyderca,
Za szczęście, zniewieściałość, za utratę serca,
Wiernych swoich wyznawców, nieboszczyków żywych,
Chrzci najgłupszem nazwiskiem: mędrców i cnotliwych.

A jednak cnoty wznoszą do siódmego nieba;
Tak mama nauczyła, tak wierzyć potrzeba,
Pierś cnotą hartowna jest jako pierś tarczy,
Co na każdy cios wystarczy;
Albo jak szubienicy nieruchome drewno,
Wybuduj ją, podnieś się, dotrwa ci zapewno.
Cnota, to święte słowo i przyjemne Bogu,
Knut ludzkości, co stał się bóstwem jej z nałogu,
I serce, dobre dziecko, ze łzami i wiarą,
Czci ją najdroższą uczuć i serca ofiarą.
Bałwochwalczy obrządek! dary ogniem spłoną,
I lekki dym uleci, taka korzyść cała;
A łza tylko, jak w urnę, spłynie w pierś sparzoną,
Co jako urna składem popiołów się stała.

W to święte imię cnoty, o jednej godzinie,
Nad Bohem i nad Dniestrem potrójna łza płynie;
Trzy młode, piękne serca, co dla szczęścia biły,
Owiał oddech trucizny w święte imię cnoty;
I trzy piersi żyjące są jak trzy mogiły,
Jak trzy urny pamiątek, żalów i tęsknoty.

Nad Bohem, w północ głuchą, jak Anioł pokory,
Dziewica błaga ulgi, pociechy i wsparcia,
Łza czysta i niewinna z pięknych oczu Zory
Płynie bez otarcia.
Jej przeczucia spełnione, doszły pewne wieści,
Pewne, jak piołunowe serca jej boleści,
O jego zmianie. Wierny przysięgom, nie sobie.
Zmienił serce, nie słowo. Jak kamień na grobie,
On był wierny przeszłości, ale bez udziału
I bez współczucia patrzał na przyszłość jałową,
Jak światła na jej stopie znikały pomału;
Tylko po pustym pamięci odłogu
Snuły się ścieżki nałogu.
I jak pręgierz samotny tkwiło dawne słowo,
Przy którem, powinności łańcuchem przykuty,
Miał żyć pod podłem cnoty długie dnie pokuty.
Te myśli, wylęgnione w serca tajemnicach,
Kryły się pod uśmiechem, co na jego licach
Z rozkazu, jakby napis na grobowcu, błyszczał,
Gdy przymus pierś mu targał i życie wyniszczał.
Nie ta była myśl Zory! Kochanki źrenice
Przeczuły i odgadły serca tajemnice;
Nie dla siebie kochała, nie dla siebie żyła,
Istnością jego bytu swój byt zamieniła.
Jej modły były czyste, żadne ziemskie tchnienia
Nie zmąciły na chwilę jej serca bez skazy,
W którem nie było ani zażalenia,
Ni żółci, ani zemsty. Świętszy stokroć razy
Ożywiał ją anielski oddech przebaczenia;
I miłość zwyczajnemu oku niedociekła.
Ona dla jego szczęścia i jego się zrzekła.

Długą męką tęsknoty, w serca tajemnicy
Zniszczało źródło życia, i zgasła dla świata
Promienista jej dusza, a oko dziewicy,
Niezłomna jak nieszczęście, czarna jak utrata,
Miała zakryć klasztoru ordzewiała krata.
I na długo? Na wieki! O! nie! za pół roku
Znowu barwą różową świat zabłysł jej oku,
Poszła za mąż! A Laura? Także!
Nieszczęśliwy!
Któż rany jego serca głębokie uleczy? —
Niech się państwo nie troszczą, to niewielkie dziwy,
Poszedł banko o trzecią, i skończone rzeczy.

WIERSZE RÓŻNE.

DZIAŁ PIERWSZY.

PRZED POWSTANIEM.

DUMA O NYCZAJU.

Oj spohlanuw kozak Nyczaj na tychii wody,
Ide Lachiw sorok tysiacz choroszoi wrody.

PIEŚŃ GMINNA.

Stepy, lasy na około,
Na około straszno, ciemno!
Ha! i w duszy nie wesoło,
To i we mnie, co przedemną.

Nie daremne te przestrachy
Co się cisną w pierś kozaczą;
Czysto zdradę stroją Lachy;
Lecz cóż znowu te łzy znaczą?
Cóż to znowu za obyczaj,
We łzach oko pławi Nyczaj?
Niegdyś Lackich broniąc granic,
To nad Prutem, to Dunajem,
Tysiąc śmierci miałeś za nic.
A dziś — czyś już nie Nyczajem?

Przypomnij, jak z Beresteczka [1]
Przez te pola i równiny,

[1] Podług historyi bitwa Berestecka nastąpiła, jak i wiele z poniższych tu, po bitwie pod Krasnem — dla wierności tylko zachowuję słowa gminnej

Krwawa przepływała rzeczka,
Na święty brzeg Ukrainy. —

Złotowodzkie wspomnij siecze,
Zamość, Zbaraż, Korsuń, Batów,
Tępiły się nasze miecze,
Na dumnych łbach naszych katów.

Lwów przypomnij i Pilawce
Jak to wtenczas byli mali!
Przeszłych nieszczęść naszych sprawce
Gdyby łanie uciekali.

Dzisiaj Dniepru brzegi święte
Kwitną wolne, Bóg za nami,
Znamię zemsty rozwinięte,
A ty oko zlewasz łzami?

Assaula pod Bohdanem,
Drzysz, choć w około nic nie widno?
Ty tu władcą, ty tu panem,
Łez i trwogi tobie wstydno!

Darmo! — I ty Anno moja!
Jawisz mi się drżąca, blada?
Choć pierś stalna kryje zbroja,
Jednak smutek do niej wpada.

Achmet utknął. — Cóż u bisa!
To zła wróżba! — Hej Dubyna!
Baczność bracia! w górę spisa!
Na bok w lewo koło młyna,

Grobla wązka, błotna ruda,
A nie żarty z Wiśniowieckim, [1]

dumy. — Snadź miała ona być ułożoną w poźniejszym czasie, i dla tego porządek chronologiczny zmięszany.

[1] Nie z Wiśniowieckim, lecz z Potockim miał nazajutrz do czynienia, jak mówią dwie dumy — Bohomolec w życiu Czarnieckiego powiada, że Nyczaja herszta rozbójników zbił Marcin Kalinowski pod Krasnem — podania miejscowe sprzeciwiają się temu twierdzeniu.

Bo on walczy, jak się uda,
Bojem wstępnym, lub zdradzieckim.
Ty pośrodku — Czujduch bokiem,
A Wernyhora na przedzie
Każdy czujny uchem, okiem,
Niech w porządku swoich wiedzie.

Oreł! ty weź kilkunastu,
Tylko żwawszych i na zwiady!
Dołem, po pod las, ku miastu,
Czy nie ma gdzie jakiej zdrady.
Na zdybanie się z Polakiem,
Strzał z rusznicy będzie znakiem! —

Głucho — ciemno — tylko łuna
Księżyca, z chmur co wybieżał,
Zazierała w las Bujeuna [1]
Co zaspany przed nią leżał.

Za czarnej nocy odmętem,
Rozległ się w nim hamor głuchy, [2]
Rozbudzone kopyt tętem,
Wstały groźne zbójców duchy;

I spróchniałe wiodąc wzroki,
Na zarośle, na bezdroża,
Na czahary, na obłoki,
To na synów zaporoża.

Żałowały błogich czasów
Co do serca im przykute,
Że na grobach, w chmurze lasów,
Więdną, jakby za pokutę.

[1] Bujeun rozbójnik miał schronienie z towarzyszami w lesie Czeremoszańskim, który dotąd nazwisko jego nosi.

[2] Hamor, wyraz miejscowy, znaczy gwar, cichą rozmowę — pospólstwo przywięzuje do niego tajemnicze znaczenie niekiedy.

Bo dnie łupów i grabieży,
Już na zawsze dla nich znikły,
Zerdzawiały, w grobie leży,
Sztylet do mordów nawykły. —

A tu zaporozka pika
Miga, jak cień, w górę wzniosła!
Wzlecieliby! — lecz pierś dzika,
Do mogiły już przyrosła. —

Tylko bratnich serc zapałem,
Odwiodły ich na kraj gaju,
I spojrzeniem zapleśniałem,
Pożegnały się Nyczaju!

Lecz za tobą iść bezsilne,
Powróciły z brzegów rowu,
I w pomroki podmogilne,
Na spoczynek poszły znowu. —

Po kamyszach, po czaharach,
To pagórkiem, to doliną,
To po łąkach, to po jarach,
Zaporozkie syny płyną. —

Aż spojrzeniem smutnem, mdławem,
Światła błysły im niejasne:
Już na wzgórzu, już nad stawem,
Już stanęli — i ot Krasne!

«Dopędzona przecież meta,
Bogu dzięki, już i Krasne;
Hej! Dubyna! weź Achmeta,
A ja może z chwilką zasnę. —

Poumacniać straż podwójnie,
Zająć baszty, bramy skrzepić,
Pilnie, bacznie, żwawo, czujnie;
Tylko nie spać, tylko nie pić. —

A jak wkrótce dzień nadbieży,
Z rannem słońcem w imię boskie
Stukniem w czarki jak należy;
Ura chłopcy Zaporozkie!

Ale teraz ani słówka,
Ani na krok — baczność dzieci!
Bo inaczej jak makówka,
Z winnej szyi głowa zleci. —»

Dał rozkazy, i wnet zgraja,
Poszła milczkiem, jak roj czartów;
Bo z rozkazem od Nyczaja,
Nie ma czasu stroić żartów. —

Bezsennie syn Zaporoża
Na rozsłanej burce leżał.
Ha więc dziej się wola boża!
I sen widzę mię odbieżał. —

Ponure jakieś przeczucie,
W przyciśnionej piersi wyje;
A serce jak na pokucie,
Jak za pańszczyznę się bije. —

Czyżby Anna moja luba,
Miała zdradzić tam Nyczaja?
Czy jej może grozi zguba?
Czy tu gdzie się Lach zaczaja? —

Choć ty jeden mój bulacie!
Dotrwaj wiarą mi wzajemną;
Przyjacielu! ojcze i bracie!
Moje wszystko! zostań ze mną!

Wszystko, wszystko, kromia ciebie,
Wydarła nam duma lasza:
Lecz ty w dłoni, Bóg na niebie;
Ukraina znowu nasza!

Znowu odgłos dum, supiłek,
Nie wtórzony kajdanami,
Przez Dnieprowych brzegów schyłek
Zagrzmi dziko między nami. —

Ha! co będzie, nie ominąć,
Co ma wisieć, nie utonie,
Raz się rodzić, raz i ginąć;
Hej Dubyna! podaj konie! —

Tam Chmielnika moja kumka,
Żyje hoża, piękna, młoda,
Czyj też uśmiech, czy też rumka,
Zwiędłej myśli męztwa doda. —

Stój, stój Achmet! «wskoczył, ścisnął,
«Czuch!» i dłużej nie rozprawiał,
Gdyby strzała drogą świsnął,
Tylko wicher za nim zawiał.

Pierzchła z myśli wszelka trwoga,
Znikło z myśli Beresteczko,
A z niem znikła Anna droga;
Stanął, stuknął w okieneczko;

Skrzypły drzwiczki — «kto to! kto to!»
Zapytała kuma hoża;
«Bogdaj zdrowa, moje złota.»
— «Zdrów był synu Zaporoża! —

Kopa lat już! gdzieżeś bywał?
Czy zdrów zawsze, co gdzie robił?
Czy wojował, czy spoczywał,
Czy też Lachów wiele pobił?

Chłodno, wietrzno tak na dworze,
Ni miesiąca, ani gwiazdy,
Gdyby upór o tej porze,
Na nocne się puszczasz jazdy.

Lecz nie stójmy tu na zimnie,
Chatka ciepła, mąż daleko,
Mnie przy tobie, tobie przy mnie,
Słodko do dnia chwilki zcieką. —»

Świeczka na stół — dwa kołacze,
Flaszka miodu — i biesiada!
— «Jedz kozacze, pij kozacze!
Czem bogata, tem i rada.

I ramiona z alabastru,
Zarzuciła mu na szyję,
I jak słodycz z miodów plastru,
Tak z ust jego rozkosz pije.

Wojna, Lachy, ni mu w dumce,
Mniejsza o blask, berł i koron!
Przy kochance i przy rumce,
Życie mija gdyby piorun! —

CZĘŚĆ II.

Już też i wschód w płaszcz bladawy,
Widnokręgu odział końce,
Wstała para po nad stawy,
Z Ujarzyniec wyszło słońce;

Cóż tam znowu widno w dali?
Setnych tęczek wieją krocie,
Czy wpław po wschodowej fali,
Oczerety idą w złocie?

Czy powietrznej floty maszty,
Brną przez obszar światła złoty?
«Baczność! krzyknął Oreł z baszty,
Baczność chłopcy! polskie roty!

Gdzież jest Nyczaj? darmo zwlekać,
Chmura Lachów! i już blizcy,
Póki pora, to uciekać,
Bo do nogi zginiem wszyscy. —

Do Nyczaja! do Nyczaja!»
On w miękkich objęciach kumy,
Słodkim miodem się zapaja,
Zadnieprzańskie pieje dumy.

Aż wpadł Sawa do komnaty,
«Uciekajmy wodzu! Lachy!»
— «Ja uciekać? bisnowaty! [1]
Cóż to znowu za przestrachy?

A w cóż pójdzie sława moja,
I was, synów Zaporoża?
Hej Dubyna! Achmet — zbroja!
Bywaj zdrowa kumo hoża!»

Spojrzał w stronę nad Pirogów,
Po nad ciche spojrzał wody,
Czterdzieści tysięcy wrogów!
Idą, a pięknej urody. —

Pusty obóz, puste szańce,
Hej! leć koniu co tchu stanie!
Już daleko Zadnieprzańce,
Na Czeremoszańskim łanie. —

Minął szańce i okopy,
I już swoim stał na czele,
Ale za nim tuż, tuż w tropy,
Są już i nieprzyjaciele. —

Jak kiedy wichry grudniowe,
Wytną w Kiczmań całą mocą, [2]

[1] Wyraz miejscowy, znaczy opętany od czarta. —
[2] Kiczmań, las ciągnący się kilka mil.

I wyniosłą dębu głowę,
Skręcą z więzów i zdruzgocą. —

Pedem gromu, lub powodzi,
Pan Potocki z trzech gościńców,
Z błyskawicą polskiej młodzi,
Padł na karki Ukraińców. —

Gdzie śmierć zadać, lub odpędzić,
Nie ma czasu schować miecza,
Nie ma czasu życia szczędzić,
Gdzie o sławę idzie siecza. —

Gdzie się polski bułat dźwignie,
Gdzie miecz ukraiński błyśnie,
Pewno z karku głowa mignie,
Pewno z czaszki mózg wytryśnie. —

W około nich zbite kurze,
Skryte miecze, skryte piki;
Niewidziani walczą w chmurze,
Jak powietrzne wojowniki.

Tak w zaciętej wrzały walce,
Niebieskich powstańców duchy,
Gdy tron Jehowy zuchwalce,
Okować chcieli w łańcuchy.

Lecz jak wzleciał skrzydłem złotem,
Orzeł archanielskiej sławy,
Tak zwycięzkim powiał lotem
Polski sztandar z za kurzawy!

Rozjaśniona mieczów świtem,
Znikła pyłów noc zamierzchła;
Pół powstańców pod kopytem,
Gryzie piasek, a pół pierzchła!

W ciemnościach utopione oba ziemi końce,
A nad ziemią piorun kary!
Lecz wzniósł się prośby głos rzewny,
Poszło w górę oko wiary,
I patrz! przez nocy obszary,
Wypływa nad Syonem odkupienia słońce!

Zeszło! a ziemia, nieba, i morskie odmęty,
Zgodnym chórem zagrzmiały: Święty! Święty! Święty!
Pokłon Panu na niebie! bijcie czołem ludy!
Pokłon Panu na niebie! drzyjcie bramy piekła!
Niebo stoi otworem nad dziedziną Judy,
Kwitnie wiara, żyją cudy,
Miłość szatą wcielenia Boga przyoblekła!

Pokłon Panu na Niebie! on tchnieniem zagłady,
Mógł był ziemię zbić z posady,
I śladu jej nie zostawić;
A on — on przyszedł ją zbawić!
Zbawić? — o miłości dziwy!

«Rzuć kamień, ktoś bez winy!» woła sprawiedliwy.
I gorzką czarę śmierci wychylając do dna:
«Przebacz im Ojcze!» zbójcom przebaczenia błaga!
Taki sąd, taka miłość i taka odwaga,
Z bóstwa tylko iść może, bóstwa tylko godna!

Jaśniało słońce łaski — czemuż czarne noce,
Płyną na ziemię całunem?
Na twardej gniewu opoce,
Stanął Bóg zemsty z piorunem. —

Arki Pańskiej zasłony przepękły od góry,
Ślepnie słońce, ląd wyje, morze się wypiętrza!
Drzą osie natury!
Z przelękłego ziemi wnętrza,
Kościotrupów wstały chmury,
«Chwila sądu się przybliża!»
Rozlegał się ryk rozpaczy,

Prorok wzniósł głos nad tłumami;
— «Małowierni! u stóp krzyża
Wzbijcie serca! błagajcie: zlituj się nad nami:
Błagajcie! przebaczy!»

Przebacz Przenajświętsza Trójco!
My bóstwa Twojego ucznie,
Wbili świętokradzką ręką,
W pierś Zbawcy naszego włócznie.
Przebacz Święta Jego Męko!
I miej litość nad zabójcą!»

I znów pękły nieba stropy,
I przez rozstałe obłoki,
Nie zagubne gniewu wody,
Nie zagłady, nie potopy;
Lecz na winne ludzkie rody
Zbawienia płyną potoki!
Zagiń grzechów naszych księgo!
Zagiń przed łaski potęgą!
Tęcza godłem przymierza ślni się przez niebosy;
Jej dziewicze, jasne kosy,
Słodką pojednania wstęgą,
Z niebem wiążą nasze losy!

Mgnieniem oka wiek za wiekiem,
Przelał się w przeszłości głębie;
A do dzisiaj nad człowiekiem,
Tkwi Wiary skrzydło gołębie.

Łagodna — wszechmogąca, po promieniu słowa
Wiecznie krąży nad światem, wspierać go gotowa.
Pokłon Panu na niebie! i sercem i usty,
Wołaj ludu wierny!
Pokłon Panu na niebie! że nam miłosierny!
Niebo znowu na oścież! Zbawca na prawicy,
Na winne dusze nasze rozlewa odpusty,
Z świętej ran swoich krynicy.
1826 r.

MIŁOŚC

DO B...

I z lic jej nigdy oka i myśli nie zdejmę,
Unosząc się nadzieją, że tych rysów władza,
Do reszty zpsuje rozum, który mi zawadza.

MICKIEWICZ.

Znasz istotę, co mianem chrzczono ją chaosu?
Znasz niepojętą losu zawiłość?
Nad chaos, nad zawiłość niepojętą losu,
Stokroć niepojętsza miłość!

Wiesz, jak dotkniona laską proroka,
Śród suszy i spieki,
Źródłem z twardego łona trysnęła opoka?
Tak za rozkazem lubego oka

W duszy płyną życia rzeki!
Lecz jak przegniłemi słoty
Głucha kona jesień,
Tak ćmi dusze mgła tęsknoty;
Po rajskiej chwilce uniesień.

Gdy śród nocy błyskawica,
W niebios stropie przedrze wyłam,
Chcąc anielskie ujrzeć lica
Myśl i oko tam posyłam.

Prożny zapęd! nie długo złudzeniem się pieszczę.
Powraca noc nie użyta,
Znowu oko w więzy chwyta;
I aniołam nie ujrzał i ciemniej mi jeszcze!

Jak błyskawic blask zwodniczy,
Tak ona nam przewodniczy.

Aż gdy na skryte skały wpędzi cię jej flaga,
Łódka pękła, nadzieji wybawienia nie ma;
Próżno łzawemi ku niej spoglądasz oczyma:
Wytrwałość jej nie złamie, i łza nie przebłaga.
Giń! lub krwi twojej okupem,
Bij się po nagim szkarpie — [1]
Bij się wiecznym fali łupem;
Nim odwrotnym bałwan słupem,
Pchnie cię w wiry i rozszarpie! —

Bolesne dni moich dzieje
Stoją w zapłakanem oku!
Widziałem mej młodości olbrzymie nadzieje,
Jak konały przy jej boku.

Choć otwarta była przepaść,
Ona wiodła! mógłżem nie paść?

Chwile piękne! chwile lube!
Wy! których mię wspomnienie zachwyca i mami;
Niechaj patrząc obecny na waszą zagubę,
Raz jeszcze westchnę nad wami.

Raz jeszcze, nim zniszczenia zagarnione falą,
Zaginą obrazy wasze;
Te ognie niepożyte, co mi duszę palą,
Strumieniem łez mych zagaszę. —

Napróżno! — uniesione bezpowrotną rzeką,
Znikły gdzieś pochłonione daleko — daleko. —

I dusza cierpień nie syta,
Wyrywa się za niemi, w tamte drogie kraje;
I oko tam przybite, i myśl tam przybita,
Odjąć się ztamtąd nie daje. —

[1] Szkarp, skała morska.

I gdy przyjdzie noc wieczna zamknąć mi powieki,
O! jeszcze będę patrzał na tę lubą stronę;
I ostatnie spojrzenie nad nią zawieszone,
Nad nią zostanie na wieki. —

W KSIĘDZE PAMIĄTEK

J. W. PREZESOWEJ, BARBARY Z WĘGIERSKICH, ZIELIŃSKIEJ.

Rożne rzeczy, kwiatki, skały,
I nauki i pochwały,
Śpią snem nieprzerywanym w księdze twych pamiątek:
Gdzież się ja tu zmieszczę?
Już zajęty każdy kątek!
A! — Pani masz serce jeszcze!
Tamby było stokroć słodziej,
Tam życzliwej pamięci łaską mię przyodziej,
Tam! — lecz prożne życzenie śni mi się po głowie;
I tam już miejsca nie ma, bo w jednej połowie,
Żyją córki i synowie,
A w drugiej Prezes Dobrodziej.

Przebacz zuchwałej myśli i słowom natrętnym
I rzeknij czasem choć z łaski,
Głosem nie zbyt obojetnym:
«Pamiętam! był na świecie jakiś Pan Gosławski.» —

DZIAŁ DRUGI.

W POWSTANIU.

POEZYA UŁANA POLSKIEGO

POŚWIĘCONA POLKOM.

PRZEMOWA.

Kiedy ciało matki rodziny odniosą już z katafalku do mogiły, jaka w domu pustynia! Darmo oko i rozum umawiają, że już jej nie masz. — Serce sieroty nie wierzy w tę pewność wyroczną — rade się ludzi i dziecinieje — zda się, że tylko na nie długo wyjechała z domu, ale wkrótce powróci — ; że znużona, lub chora spoczywa w drugim pokoju, tylko jej widzieć niewolno, aby snów jej nie przerwać, lecz się obudzi niebawem, i ujrzy ją znowu niecierpliwe oko — a w chwilach oczekiwania dusza żali się tkliwą piosnką tęsknoty, co ma jej sny kołysać i chwilę obudzenia powitać. Miłe sny o niej i marzenia rade serce przedłuża, a pieśń żalu brzmi nieprzerwana w zbolałej piersi sierocej.

Takie to dumki, nucone przy grobowcu Ojczyzny, przynoszę ogółowi mego plemienia, osieroconej Polskiej rodzinie, poruczając je opiece Polek, pod których bliższym wpływem mają wzrastać Pokolenia przeznaczone wyręczyć nas w czuwaniu nad tą drogą Mogiłą i dożyć kiedyś chwili zmartwychwstania.

Wydaję te śpiewki w stanie pierworodnej ich niedoskonałości, jak były powtarzane w obozie, nie gładkie, i chropawe — z serca, więc nie stuczne. Wielu ze śpiewaków naszych, ci

zwłaszcza, którym burza i jęki narodowej wojny, świetność naszych zwycięstw i żałoba upadku, nie mogły przerwać spokojnych zatrudnień poetycznych, mogli bez wątpienia w domowem zaciszu, dać pismom swoim cechę wyższej doskonałości, ręka nie zerwana pałaszem, zwykle trąca bieglej struny lutni — wielu mnie przewyższy talentami, ale żaden miłością tej ziemi, której broniłem i której śpiewam.

I wy Polki! nie szukajcie tu kwiatów — nie w salonach wdziękami natchnęłyście pierś, która was wielbi. — Wyższe to były natchnienia. Utrata najdroższych przedmiotów waszej czułości, dobrowolna wasza zgoda na poświęcenie ich Ojczyźnie; tyle cierpień z męzką znoszonych wytrwałością; w lazaretach kojone bole waszem staraniem; każda kropla krwi zatamowanej w Bratniej piersi szarpiją od was daną — to są wasze zasługi, i wasze niezaprzeczone prawa na cześć i wdzięczność, którą przyjmujecie od tych, co się stali godnymi waszej opieki, choćby tą tylko ofiarą, że przez czas pobytu w obozie ujęli sobie słodyczy ciągłego widzenia waszych lic i cnót.

1. Kwietnia 1832 r.
Château St. Jerome.

Mirosław G.
Ułan Polski.

DO POLEK.

OFIAROWANIE.

Tęskno kwitną Polskiej pola
Zlane łzami, zlane krwią,
Zasępione, jak niewola;
Kości Braci na nich śpią!

I puste, jak serce moje,
Jak przed okiem mojem świat; —
Polki! cyprys i powoje,
Jedyny dziś na nich kwiat.

W dniach upadku i zatraty
Bratnia zrywała go dłoń.
Polki! z bratnich grobów kwiaty
Godne Waszą wieńczyć skroń.

Ręka, co Wam je przynosi,
Nie zna lutni, lancę zna.
A łza gorzka, co je rosi,
To po kraju, po Was łza.

I Wy przyjmiecie to mile,
Co Wam tułacz może nieść,
Kwiaty rwane na mogile,
Pogrzebową Braci cześć.

Tęskne, zwiędłe — mdła ich krasa
Gaśnie, gdzie ócz Waszych rzut,
Jak ócz Waszych blask zagasa.
Mdły przed blaskiem Waszych Cnót.

NA ŚMIERĆ PESTELA, MURAWJEWA I INNYCH MĘCZENNIKÓW ROSYJSKIEJ WOLNOŚCI.

Jakaż to stoi dziewica
Na grobowym głazie wsparta?
Jej oko zapłakane, wybladłe jej lica,
Jej męczeńska pierś rozdarta.

Znane mi te rysy!
Widziałem ją przed laty w blasku pełnej chwały,
Wtedy się na jej skroni laury zieleniały.
Czemuż dzisiaj na jej skroni
Wieniec z cierni — a koło niej
Grobowe tylko cyprysy?

Jeźli nie mylą mię zmysły,
Toś ty swobody dziewica?
Wygnanka z nad brzegów Wisły
Dziś nadnewska męczennica. —

Toś ty na polach Lipska oblana posoką,
Zamykając snem śmierci nieśmiertelne oko,
Gorzką łzą pożegnana, pod nieswojem niebem,
Legła w grobie Józefa, nieczczona pogrzebem.
Jakież to niebios łaski, albo piekieł gniewy,
Wiodą cię zmartwychwstałą na mroźny brzeg Newy?

O! uchodź z pod tych połów zamrożonych zimnem,
Gdzie nigdy świątyń twoich nie uczczono hymnem.

Uchodź z tąd — tutaj zbrodnią jest imię swobody
Tu natura zamarzła i serca jak lody.
Ona milczy — i wiodąc spojrzenia tułacze,
Kogoż szuka po grobach i kogo tak płacze?

Ach was, was ofiary krwawe!
Własnej cnoty męczennicy!
Legli za świętą Ludzkości sprawę
Na zelżywej szubienicy.
Nie płacz — równa im i sobie
Dotrwaj! — łza ich pamięć plami.
O! stań raczej na ich grobie
Otoczona mścicielami!

Szubienica wzniesiona wolnym na mogile,
Nie ulega czasów sile,
Przetrwa pomnik tyrana z marmuru i spiżu;
Ich niepamięć nie pochłonie,
Oni wielcy w każdym zgonie,
Jak ten, co świat odkupił i skonał na skrzyżu!

1826 r.
w Odessie.

POŻEGNANIE SAMHORODKA.

Czyjeż oko zwrócić może
Zwiędły listek, padły z drzewa,
Co z bezdroża na bezdroże
Błędny wietrzyk go przewiewa?

On sam jeden, w różnym biegu
Po szerokim błądzi świecie,
Nim i z tego wkrótce brzegu
Burzliwy go wicher zmiecie.

O szczęśliwi! wy w ostoi!
A mój żagiel w mgły zamroczu,
Wkrótce, wkrótce drodzy moi
Wkrótce z waszych zniknie oczu.

I całuny mgły powloką
Przestrzeń, co mię od was dzieli,
Myśl cierpiącą, łzawe oko
Zwrócę ku wam od topieli,

I nie dójdzie tam źrenica,
I nie dójdzie serca bicie
Tam, gdzie drogie wasze lica,
Tam, skąd mnie już nie ujrzycie.

Silni w duszę wlać gorycze,
Bezsilniście je osłodzić.
Zwróćcie od tych stron oblicze
Bo cóż to was ma obchodzić,

Że łódź, co mię z tąd odniesie
Krucha, wiotcha, bez kotwicy —
Że przy żadnym morza kresie
Nie ma zorzy dla źrenicy?

Że nad głową burze ryczą,
A pod stopą drogi mylne,
Że zatruta pierś goryczą,
Że to serce wam przychylne!

Zapomnijcie — o na wieki,
O wszystkiem, aż do imienia!
Niech sam jeden, gdzieś daleki,
Tęskni tułacz bez wspomnienia.

Wy tylko bądźcie szczęśliwi,
A ta pewność, ta myśl słodka,

Cierpiące serce ożywi
Jak tkliwy anioł pociechy,
Temi błogiemi oddechy,
Któremi niegdyś wietrzyk wiał mi z Samhorodka!

W PAMIĘTNIKU NIEZNAJOMEJ.

Nieznajoma! tyś piękna — takąś być powinna,
Taką cię zna myśl moja — nie możesz być inna —
Nieznajoma! tyś dobra — tak mi z każdą chwilą
Mówią przeczucia serca, które się nie mylą.
Tyś czuła, tak w mej duszy wiara się odzywa,
Lecz powiedz nieznajoma! jest żeś ty szczęśliwa?
Powiedz piękna jutrzenko! czy ta sama ziemia,
Której świecisz, poranka dni twych nie zaciemia?
Czy myśl o losach kraju, i po nim tęsknota,
Młodych uczuć nie truje i sercem nie miota?
Kwitnij poranna różo! pod radości cieniem,
Jak pod mojej przyjaźni niezmiennem życzeniem.

MAZUR PODOLSKI.

Lazła niegdyś z pleców skóra
Darł ją ruski pazur,
Jednak Polak szedł mazura,
Hej, nimasz jak mazur!
Dzisiaj bracia pierzchły chmury
Innych trzeba tańców,
Posłuchajcie, jak mazury
Grzmią śród Pragskich szańców!

Hej ktoś Polak, staniesz w parze,
Jak dawniej bywało,
Biały orzeł na sztandarze,
A przygrywa działe!
Wszak nie obce ci te dźwięki,
Ktoś swobody synem —
Zna je echo z pod Dubienki
Pomni pod Raszynem.

Tam wesoło, tam nad Wisłą
Kruszą się kajdany,
Tam zbawienia słońce błysło,
Dalej i my w tany.
Czemże gorsza nasza niwa,
Niż wiślańskie wody?
Jedna Matka nieszczęśliwa,
Jednakie nam rody.

Toż Bóg i za nami stanie,
Wszak ta ziemia nasza,
Dalej Bracia Podolanie!
Dalej do pałasza!
Nie rzucim go, nie odbiegniem,
Pokąd dźwignąć zdolni,
Dalej! albo w gruzach legniem,
Albo będziem wolni!

Na Podolu,
w Grudniu 1830 r.

MAZUR

na cześć dyktatora, który położył pierwsze zasady upadku narodowej sprawy.

Kto krew ceni, życie szczędzi
Tam gdzie tseba kraj swój wskesić,
Nie wart na grób ziemi piędzi,
Więc nad ziemią go powiesić.

Na tej ziemi rosną jodły,
I konopnia daje strycki,
Wart pójść w górę każdy podły
Wart im wodzem być C...o.icki.

Kto najświętse obowiązki
Stargał, by się z błotem zmiesić
Ten jodłowej wart gałązki
Ten wart, aby go powiesić.

Hejno Zosiu! psędź no prędzej,
Psędź od rana do wiecora,
Warta strycka z pięknej psędzy
Syja Pana Dyktatora.

Psędź i w święta i w niedziele,
Nie powinny święta miesać,
Kiedy tseba strycków wiele,
Kiedy tseba łotrów wiesać.

Zosiu droga! ja cię modlę,
Jeden strycek miej w zapasie,
Jeźli ja się casem zpodlę,
I na mnie on wtedy zda się.

Na Podolu 1831, w Styczniu.

DO ORŁA BIAŁEGO.*

Na Podolu w Lutym 1831 r.

Wróżbo szczęścia, godło chwały!
Opuszczaj te pola,
Tu na szyi łancuch cięży,
Tu niewola pierś ciemięży,
Rzucaj, rzucaj Orle Biały!
Zhańbione niwy Podola.

Tutaj serce ścięte zimnem
Nie uczczą cię górnym hymnem,
Bo im wzniosła swobody niepojęta nuta.
Tu nie czekaj innych dźwięków
Krom niewoli głuchych jęków,
Bo głos piersi, co okuta,
Nie zna natchnień, oprócz knuta!
Tu pod jarzmem zgięte szyje
Nie wzniosą się od poziomu,
A godzina zbawienia, co nad Wisłą bije,
Tutaj jest łoskotem gromu.

MAZUR[1]

na cześć generala rossyjskiego SUCHOZANETA, z powodu połamania mu nóg w bitwie pod Grochowem dnia 25. Lutego 1831 r.

Wara z granic płatni słudzy!
Wara dumne wrogi!
Wara! nieleść w ogród cudzy,
Bo połamiem nogi.

Zaświadczą Suchozanety,
Zaświadczy wam Praga,
Zaświadczą wam własne grzbiety,
Jak polski bicz smaga.

Precz włóczęgi w ruskiej skórze
Dybicze i Tole!
To nie Bałkan, o nie gburze!
To drugie Psiepole.

[1] Mazur ten jest tłómaczeniem z Oryginału rossyjskiego, napisanego przez W. Ks. Konstantego, niegdyś Naczelnego Wodza Wojsk Polskich (jak wieść niesie.)

Nam Bałkanem jest pierś nasza,
Nasza krew Dunajem,
Wodzem nam nie Jusuf Pasza,
My się nie przedajem.

To nie złotem do fortecy
Znaleść sobie drogi, —
Tu pod kijem trzeszczą plecy,
Tutaj łamią nogi!

Waraż z granic najezdnicy!
Dalej naprzód wiara!
Staniem z mieczem na granicy,
I powiemy: «Wara!»

Luty. 1831.

W PAMIĘTNIKU H. C.

Pani! cmentarz i sztambuchy
Są to dwa wierne schronienia,
Gdzie śpią snem nieprzerwanym nieboszczyków duchy
W Archiwie niepamięci, pod godłem: Wspomnienia.

Czasem je ze snu wywoła,
Jako trąba Archanioła,
Ciekawe spojrzenie czyje,
Co w pół roku raz karty Sztambucha odkryje.

Czasem miła właścicielka
Od niechcenia spojrzy na nie,
O! chwila ta jest tak wielka
Dla nich, jako zmartwychwstanie.

I znowu, jak ojce święci
Przed odkupienia epoką,
Jako w czyścu, w niepamięci
Sztambuchowe dni swe wloką.

Ach! czyż i ten upominek
Ma tu zostać tylko na to
Aby wieczny odpoczynek
Był najdroższych mych chęci jedyną zapłatą?

Pani! jam twoje wypełnił rozkazy
Napisałem i Tobie i sercu posłuszny.
W nagrodę, pozwól prosić: na rok choć dwa razy
Wspomnij, że jest dzień zaduszny.

1831 r.
Kwiecień.

MOGIŁY PRAGI.

Podolanka poświęcona dywizyonowi ułanów podolskich Wereszczyńskiego w Zamościu.**

Obłok czarny i ponury
Nieprzejrzanym kirem chmury
Jasną słońca twarz zasunął;
Odgłos twardy i chrapliwy,
Jak wulkanów ciężkie wzrywy,
Wzdłuż wiślanych brzegów runął;

Czy grom niebios i zagłada
Na tyrannów głowy pada?
Nie! to od Nieb zapomniany,
Wolny łamie lud kajdany!

Nie! to nie są nieba plagi —
Niebo wsparcia odmówiło.
Polska własną tylko siłą
Targa pęta, mści zniewagi
Na męczeńskich grobach Pragi.
Cienie święte! wy słyszycie
Te groźne pioruny?
To Matka powstająca przez grobów całuny

Objawia wam swoje życie!
Cienie drogie! wy widzicie
Na krańcach widokręgu gorejące łuny?
To goreją ofiarą ubogie dostatki
Niskiej Nadwiślańskiej chatki!

Jako tych łun blask jaskrawy
Pada na waszych grobów zacisze,
Tak na zimnem swem czole przyszłość zdrojem lawy
Dzieje naszych dni zapisze:
Taki poda obraz krwawy
Barbarzyństwa ciemięzców, naszych łez i sławy.

Lecz naszych? o! niech każda, jak niebios zagłada,
Na wrogów naszych pamięć, niech na ich sumienia,
Niech na ich mogiły pada,
Jak przekleństwo Ludzkości, jak głos jej cierpienia!
Niech pada — niechaj hańby powyciska piętna
Na Europie, co naszą piersią zasłoniona,
Co naszą krwią odkupiona,
Dzisiaj na losy nasze patrzy obojętna.

Rodzino Ludów pokrewna
Duchem, światłem i więzami!
Wy milczycie — a my sami,
Nielicznemi tylko barki,
Ostrzem tylko naszej kosy
Dźwigamy Ludkości losy —
Walka krwawa i niepewna,
Bo bez liczby wrogów karki.

Nie duch, lecz jeżeli ramie
Utrudzone osłabieje,
Jeźli północ nas przełamie,
O! wtedy słońce Europy
Żegnaj! ciemność cię zaleje,
I padną głowy Ludów pod ciemięzców stopy,
I gwiazda odkupienia już nie zajaśnieje!

Polsko! ty trwaj! i z wysoka
Uderz twym wzorem, jak laską Proroka,
W serca Ludów skrzepłe.

Może w jałowej piersi, co dziś nie oddycha,
Zbudzi się ich godności owa górna pycha,
Którą dziś despotyzmu przywala opoka;
Może jasność oświeci źrenice oślepłe;
I za twych wpływów dotknięciem
Myśl zapłonie przedsięwzięciem:
Wspólną Nawę swobody zbawić od rozbicia,
I potegą wspólnej siły,
Z wielkiej ciemiezców mogiły,
Wywinąć dla Narodów górne pasmo życia!

Gdzie ogół, precz tam z lichą rachubą podrobów!
Jeźli na zwaliskach tronów
Ma zakwitnąć szczęście Ludów,
Nie ma ofiar, nie ma trudów!
Pomyślność milionów
Warta tysiąca grobów!
Tysiąca? Bracia moi! w iluż stronach świata
Drogie wasze popioły obcy wiatr rozmiata!
W jakiej krainie krew nie płynie nasza,
I jakich ziem odległych Polska łza nie zrasza!
Lecz ta łza nie żebracka — ona nas nie plami
Ludy! świadkiem Bóg na Niebie,
Laliśmy ją nie za siebie,
Krew za was, a łzy — nad wami —

Polsko! ty trwaj! i z wysoka,
Gdzie nie sięga źrenica zwyczajnego oka,
Jako kroplę rosy błogą,
Wywalczone piersmi twemi,
Zlej szczęście i zbawienie na oblicze ziemi;
Szczęście, którego Ludy, pod ciemięzców nogą
Poniżone, nie czują i pojąć nie mogą.

Bądź ty słońcem — a łyskiem Twojego żelaza
Jasnym jak Sprawiedliwość — bo nie ćmi go skaza,
Świeć na Ludy i na wieki!
Może przyszły świat daleki,
Jego blaskiem olśniony, nabierze odwagi,
Uczuć wzniosłe natchnienia świętych mogił Pragi!

w Lipcu 1831 r.
Zamość.

ŚPIEWKA
W DZIEŃ IMIENIN DOWÓDCY ALEKSANDRA WERESZCZYŃSKIEGO.

Polska każda droga niwa,
Polskie słońce tu i tam,
Lecz najmilsza i szczęśliwa
Ta, co tchnienie dała nam.

We łzach oko, serce w bolu
Wiecznie myśl zwracało tam,
Gdzie rodzinne na Podolu
Przyświecało słońce nam.

Lecz westchnienie, co nawykło
Z tęsknej duszy lecieć tam,
Zatłumione w dali nikło,
I nie było ulgi nam.

Ty, tyś pojął te cierpienia,
Z nas Podoleś stworzył nam.
Przyjm tu od nas cześć i pienia,
A Bracia je wzniosą tam.

Tam, gdzie wszystkie skarby nasze,
Znajdziesz wszystkich równych nam.

Wdzięczny uśmiech, pełne czasze,
I uściski bratnie tam!

26. Sierpnia 1831 r.
Zamość.

DO

ADAMA MICKIEWICZA

BAWIĄCEGO W RZYMIE PODCZAS WOJNY NARODOWEJ.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W serca słuchaczów, i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy to serca współbraci;
Możeby jeszcze w tej jednej chwili,
Kiedy ich piosnka Ojczysta poruszy,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

MICKIEWICZ — WALLENROD.

Pierworodne natchnień dziecię!
Wyniosły synu swobody!
Gdzie ty, gdzie ty Wieszczu młody?
U nas dziś tchnienie swobodne,
Piersią pełne włada życie,
Życie górnych pieśni godne.
A ty winny, dotąd grzeszysz!
Odetchnąć niem nie pospieszysz!

Spiesz — posągi dawnej sławy,
Co wielkością błyszczą cudzą,
Rzym — mumia przeszłości, jak stary miecz rdzawy
Już zamierzchły — nie widne z pod wieków kurzawy,
Już ognistych natchnień falą
Piersi wieszcza nie zapalą,
Górnych pieśni nie obudzą.

Spiesz — nie jeden mąż by może,
Z tych nad których się dzisiaj dziwisz posągami,
Rzucił twarde śmierci łoże,

I za wieńce Polskiej syna
Oddał wieńce Rzymianina,
By w szeregu stanął z nami
Spiesz! my dumni naszym rodem,
Tutaj każdy Wallenrodem —
Spiesz — ten Rzym podeptany gnuśną nogą popa
Co przeszłością świat zdumiewa;
Ta cała wielkość jego — ta śpiąca Europa,
Nie warte jednej Ułańskiej śpiewki,
Którą wolna dusza śpiewa;
Nie warte jednej polskiej chorągiewki,
Co w wolnej dłoni powiewa.

Po co Rzymy? po co wieki?
Po co gdzieś na brzeg daleki
Iść bić pokłon cudzym Bogom?
Słyszysz wieszczu! jak do koła
Jednym głosem ziemia woła:
Pokłoń Polsce, śmierć jej wrogom!
Ona jedna z mieczem w dłoni,
Z męczeńskim wieńcem na skroni,
Znieważoną Ludzkość broni!

Polska — kilka piędzi piasku!
Jej obrońców szczupłe roty.
A jakiż Rzym zdoła w blasku,
Jakie ziemie, jakie czasy
Dzisiaj z Polską śmią w zapasy
Iść o wielkość i o Cnoty?
Wieszczu czczony! coś umiał ognistemi słowy
Do serc braci twoich strzelać,
Coś umiał własne ognie w bratnie piersi przelać,
Wieszczu! świat twojej myśli, jak łysk piorunowy,
Zajaśniał ci przed oczyma.
Czemuż na nim ciebie nima?
Miałżebyś życia jego jeden nie podzielać?
Zmartwychwstań! w jego powiciu
Tyś mu nucił, jak dziecięciu.

Śpiewaj dziś jego młodości życiu —
Utul go w twojem objęciu:
Dowiedź i pieśnią i czynem,
Żeś tej wielkiej ziemi synem!
Niechaj cię wróg jej pozna i w pieśni i w cięciu!
Po rodzinnych bagnach Litwy
Krew się leje — i Litwiny
Na morderczych polach bitwy
Dowodzą, że są jej Syny.
Na wieszczej piersi Bohdana [1]
Co natchnieniem tak ci bliska
Na piersi, co nieskalana,
Widzisz? złoty krzyż połyska!
Ten krzyż słusznie ją ozdobił —
W walce za kraj, pieśnią męża
Jest ponury szczęk oręża,
Wielkość przodków — duma własna,
Jest natchnienia tęcza jasna;
Wieszcz bagnetem laur zarobił.

Zbudzony tej wieści echem,
Spiesz — dalekie rzucaj Rzymy,
Spiesz — bo jeźli zwyciężymy,
Wstyd będzie bez zasługi polskim tchnąć oddechem.
Jeźli padniem pod gruzami;
Wieszczu! wtedy w dniach boleści,
Nie wart grobu dzielić z nami,
Kto nie dzielił krwie i cześci!

13. Czerwca 1831 r.
Warszawa.

[1] Józef Bohdan Zaleski — poeta — podporucznik 1º pułku strzelców pieszych — później poseł na Sejm Narodowy, ozdobiony złotym krzyżem wojskowym: Virtuti militari.

PODOLANKA

(śpiewka godowa ułanów podolskich w Zamościu).

Do kielicha, czy pałasza
Zawoła nas los,
Niech Ojczyzna żyje nasza!
To najpierwszy głos.

Żyjcie starsze nasze Braty!
Co nas macie wieść,
Odzyskiwać drogie straty,
Żyjcie! cześć Wam, cześć!

Żyjcie Bracia nieprzytomni!
Gdzie Boh, Dniestr i Zbrucz,
Myśl was widzi, serce pomni,
Choć znikliście z ócz.

Żyj Podole drogie nasze!
Tobie nasza krew!
Tobie myśli i pałasze,
I serc tęskny śpiew!

w Lipcu 1831 r.
Zamość.

MAJDANEK.***

Ej! widok to miły oku,
Jak mi miły kraj i Bóg!
Gdy się w czarnym krwie potoku
Pod kopytem zwinie wróg.

Na ten widok pierś Ułana,
Tak gra, taki budzi śpiew,
Jakby z wroga krew przelana
Podwoiła twoją krew.

I tak lekko wstrząśniesz lancę,
Tak ci miły wtedy świat,
Jako myśl o Podolance,
Jak podolskiej niwy kwiat.

Czy słyszysz te wdzięczne śpiewki?
Żywe, z serca, w sercu brzmią!
Bo nad głową chorągiewki
Drżą oblane świeżą krwią.

Nie dostąpisz bez chrztu nieba —
I Ułanem aby być,
Chrzciny lancy sprawić trzeba,
Krwią moskiewską trza ją zmyć.

Pragniesz w rajskiej być krainie?
Z nami trzymaj, rób i wierz!
Pod Majdankiem Jordan płynie,
Podolaków w kumy bierz.

«Wiele wrogów?» pyta obcy.
My pytamy: gdzie wróg jest?
«Wróg w Majdanku!» Ura chłopcy!
I sprawiony lancom chrzest!

Czy ich wiele, czy ich mało,
A nam że do tego co?
Nam dość, że nic nie zostało
Policzą ich jeźli chcą.

Po Majdańskich tam nizinach
Stanie jutro mogił huk!
Przy następnych odwiedzinach
Zliczym, wiele padło sztuk.

Powiadali bagnetami
Cały tam Majdanek lśniał —
Tego nie wiem, lecz za nami
Wiem że został — pomost z ciał.

Daj mi dzisiaj dnie Majdanka,
Dam pół życia, tylko daj!
Jak mi miła Podolanka
Jak mi miły Bóg i kraj!

31. Sierpnia 1831 r.
Zamość.

ZWĄTPIENIE

Zamościanka, poświęcona komendantowi oblężonego Zamościa, po pierwszych wieściach o niepowodzeniach narodowych.

Przeklęty bądź dniu plugawy!
Dniu nieszczęścia i niesławy!
Gdybyś kiedy miał zabłysnąć!
Gdyby znowu łańcuch krwawy
Miał nam wolną pierś nacisnąć!
O! jeźli gdzie piekła męty
Kryją twe światła złowieszcze,
Nie wschodź — i w przód nim poczęty,
Przed twoim zarodem jeszcze
Bądź przeklęty!

Jak łza, co pali powieki,
Jak rozpacz, co pierś nam ciśnie,
Dniu nienawisny, nie przyszły, daleki!
Tak niech nad tobą na wieki
Ciężkie przekleństwo zawiśnie!
Bez początku i bez końca,
Ty! co gdzieś tam władniesz w górze!
Czy w żyjącym stoku słońca,
Czyli tron twój w chmurze;
Duchu wielki niepojęty!
W jakiej chcesz się jaw postaci,
Zwij się szatanem, czy bogiem,
Znam cię tylko z łez mych braci,
Znam cię ziemi mojej wrogiem,
I ty, i ty! Bądź przeklęty!

Jak te całuny grobowe,
Mojej ojczyzny oblane posoką,
Co kryją martwą jej głowę;
Jak minione w niewoli me dni porankowe,
Jak moja myśl ponura, wypłakane oko,
Jak moja dusza zwiędła — tak jadem goryczy
Niech przesięknie twa wieczność duch tajemniczy
Niech się tak smutków pomroką,
Twoje wieczne dni powloką!

Niesiem modły do twej stopy,
A ty — ty miasto otuchy,
Ślesz łzy, klęski i łańcuchy! —
Milszy Ci głos zniewagi, który sercem zimnem,
Który zapłaconą wargą,
Wrzeszczą Ci brodate popy, —
Wolisz słynąć wolnych skargą,
Niż wolnej wdzięczności hymnem.

O słyń nią, póki Ci życia
Dostarczy nieśmiertelność; jest na ziemi zgraja,
Co rozdzieli część łupów z naszego rozbicia
Na dwa trony zwycięzkie — twój i Mikołaja.

Skargą naszą? Ludu wolny!
Ludu wielki twoim duchem!
Ty! coś okuty łańcuchem,
Umiał światu dać nauki
Z grobu doby obecnej wolne wywieść wnuki,
Tyż to, ty miałbyś się tworzyć?
Ludu wzniosły! byłbyś zdolny
Chwil nikczemnej skargi dożyć?

Miałbyś tym, co dziś cię cisną
Zkaźbiony podać dłoń bratnią?
Raczej zagubę ostatnią,
Niż tę zgodę nienawisną!

Nie! nie tobie o nią modlić!
Pogardź i ziemią i niebem!
Zagiń w własnych zwaliskach nieczczony pogrzebem
Wprzód, niżbyś się raz miał spodlić.

Giń! a krew i łzy twoje nie popłyną marnie.
Zamknij w milczącej piersi ciężki głos przekleństwa,
Przyszłość, jak bujna niwa, te ziarna ogarnie,
I z nich tak górnie, zaszczytnie
Szczęście wieków na Twojej mogile zakwitnie,
Jak dziś na twojej skroni gałązka męczeństwa.

15. Października 1831 r.
Zamość oblężony.

LIST

do generała Brygady KRYSIŃSKIEGO, poświęcając mu Zamościankę: Zwątpienie.

Generale!

Com czuł, com myślał, słysząc o zbliżającej się wyrocznej godzinie dla naszej Ojczyzny, ośmielam się poświęcić Ci Generale! w tej pewności, że obywatelskie serce Twoje, jak i nasze wszystkie, ugniecione boleścią, podziela z nami każde uczucie i w sobie samem znajdzie źródła pociechy, której tak nam potrzeba! i której od Ciebie tylko oczekuje garstka mężnych, co przenoszą zagrzebanie się pod gruzami tej, niestety! tak już małej Ojczyzny, Zamościa tylko, nad hańbiące łaski naszych tyranów.

Od Ciebie Generale! zależy podniesienie upadającego ducha w Twierdzy. Rzeknij jedno słowo, to górne słowo: «Zginiemy z orężem w ręku!» a rozjaśnią się nasze twarze i serca. Powtórzemy za Tobą: «Zginiemy!» i przyszłość okiem pogardy pewno na groby nasze spozierać nie będzie.

Zostaję z wysokim szacunkiem obywatelskim, Generała podwładny M. G.

OGNIWO

PODOLANKA

napisana, kiedy Polacy zamknięci w Zamościu, jedni z całego Garnizonu nie chcąc poddać twierdzy w ręce nieprzyjaciół, upornie obstawali przy tem, aby Zamość wysadzić w powietrze i przebijać się przez nieprzyjaciół do Galicyi dla połączenia się z resztą wojsk Narodowych, co przecały szukać gościnności Austryackiego Rządu i z nimi los oboż podzielić, byle dobrowolnie w ręce wrogów nie oddawać ojczyzny, którą wtedy przedstawiał sam tylko Zamość trzymający jeszcze oręż, na całym obszarze Polskiej Ziemi — jeden.

Dalej Bracia! stańmy w koło —
Znane nam w tem drogim kole
Każde serce, każde czoło,
Bracia! to nasze Podole.

Wydarła nam zła godzina
Wszystkie drogie skarby nasze;
Lecz nam tam dom, tam rodzina,
Gdzie nasz oszczep i pałasze.

Nieszczęśliwych ojców plemię
Wkrótce rzucić będzie trzeba
I tę opłakaną ziemię,
I te wolne niegdyś Nieba.

Może los nas z tąd pożenie
Tam, gdzie słówko polskiej mowy
Niepojęte ma znaczenie,
Jak zatarty głaz grobowy.

Po dalekich brzegach może,
My wygnańce i tułacze,
Gdzieś z bezdroża na bezdroże
Poniesiem nasz jęk i płacze.

I obca pierś lodowata
Tchem ulch łez nie osuszy.

Obcy nie ma serca brata
Obcy nie ma bratniej duszy.

Bracia! nam w losie obojm,
Prócz nas, nikt nic nie wyjedna,
A gdzie jedna dola swoim,
Tam niech będzie i pierś jedna.

W koło Bracia! w naszem kole
Ożyje przeszłość szczęśliwa!
W niem Ojczyzna, w niem Podole,
W niem! — a my jego ogniwa.

18. Października 1831 r.
Zamość oblężony jeszcze.

ROZSTANIE.

PODOLANKA

napisana, kiedy Rossyanie, złamawszy świętość kapitulacyi, zatrzymali cały oddział Podolaków i pod najściślejszą strażą wysłali w granice Rossyi.

Już Podolskich dumek echem
Nie brzmi Zamość w szerz i wzdłuż.
I podolska twarz uśmiechem
Nie jaśnieje więcej już.

Zadumana i ponura
W niej się dusza tęskna tli,
Jak nieba tu, jak natura,
Jak tutejsze nasze dni.

Po czarownem wspomnień kole
Myśl cierpiąca krąży tam,
Gdzie rodzina, gdzie Podole,
Gdzie wydarte skarby nam.

I łzawa tam tkwi źrenica,
Nad krainą drogą tą,
Gdzie kochane wasze lica
Pożegnane gorzką łzą.

Zwiędłem liściem jesień miecie,
Moi drodzy! przyjdzie czas,
Że tak po szerokim świecie
Los rozproszy wkrótce nas.

Z wyciągnioną wy tam dłonią
Wyglądacie nas u wrót —
A nas w więzach z tąd pogonią
Gdzieś pod jarzmo, gdzieś pod knut.

I zakwitną wasze pola.
I błyśnie wam szczęścia dzień.
A nam! — nima nieb Podola,
Nam radości nima tchnień.

Pokruszone leżą lance,
Jasne groty trawi rdza,
W sercu żal po Podolance,
Po Podolu w oku łza!

Listopad 1831 r.
Obóz pod Zamościem.

NOWY ROK.

Szczęśliwy! nie chcę badać mojego wyroku
A życzeń mam tak mało!
Wszystkie w sercu codziennem — i w tym nowym roku
Nic mi nowego życzyć nie zostało.

Moje życzenie jedno, wieczne nieodmienne:
Widzieć, wiecznie w Twojem oku
Luba! me Niebo codzienne!

W PAMIĘTNIKU Z. D.

Jeżeli chmurę na jakiem czole,
Albo łzę w jakiej ujrzysz źrenicy,
Wspomnij, że jest gdzieś Podole,
I Podolscy męczennicy.
Pomyśl — i wtedy jeźli powieki
Lekka ci łezka zamroczy,
Wspomnij tułacza — co gdzieś daleki,
Zwraca tęskną myśl i oczy
Ku wam, straconym na wieki.

25. Października 1831 r.
Zamość poddany już.

W PAMIĘTNIKU

Przyjaciółki mego Przyjaciela.

Po Ojczyźnie, po rodzinie
Nieraz oko tułacza tęskna łezka zrosi.
Ach jeszcze, po kimś jeszcze tysiąc ich popłynie
Z tych tysiąca, jedna pewna,
Łezka tęskna, szczera, rzewna
Odkradziona M.. i, będzie łzą dla Zosi.

26. Października 1831 r.
Zamość.

W PAMIĘTNIKU ***.

Przeszłość żyje w pamięci — spojrzyj na nią mile,
Ujrzysz tam różne obrazy,
Żywe kwiaty, zieloność i grobowe głazy.
Ja będę jedno widział — żyte z wami chwile
Będą mi kwiatem życia — kwiatem na mogile.

26. Października 1831 r.
Zamość.

DZIAŁ TRZECI.

NA TUŁACTWIE.

DALSZA POEZYA UŁANA POLSKIEGO

POŚWIĘCONA POLKOM.

POLSKI TUŁACZ.

Tutaj zachód, a tam wschód,
Tak południe, północ tak!
Przez pustynie ziem i wód
Cztery wichry wieją wspak —
Po nad głową niebios sklep,
A pod nogą dziki step.

Nie zakwita żaden kwiat,
Nima świateł, nima dróg,
To jest ziemia, to jest świat,
A ja na nim drugi Bóg,
Wzdłuż i poprzek, wszerz i wspak
Jestem wszędzie tak i tak.

Dalej świecie! bez wytchnięcia
Truj do reszty duszę, truj!
Wystarczą ci me objęcia,
Jak szeroki, takeś mój!

Tułacz! — jak świat przed oczyma
Dla mnie nima kropli tchu.
Piędzi ziemi na grób nima,
Wszystko cudze tu i tu.

Wszystko z łaski i z jałmużny,
Słońce z łaski daje dzień,
Za stąpienie ziemiś dłużny,
Powietrzu za kroplę tchnień.

Tułacz — bez praw, bez imienia,
Upadły wierzyciel cnót,
Dzisiaj z lichwą poniżenia,
Żebrać wsparcia, żebrać tchnienia
U niewdzięcznych wrót — — —

Moja dłoń, pierś, moja głowa,
To jest Arka narodowa,
Której ziemia winna cześć!
A dziś tę tułaczą głowę,
Te świętości narodowe
Nagie przez świat trzeba nieść!

I zbawicielską dłonią narodową
Zebrać litości nad tą nędzną głową,
I piersią narodową krwawe znosić razy,
Upokorzenie dumy, wzgardę i obrazy,
I litośne uśmiechy, i niskie jałmużny
I od kogoż? od świata, co jej wdzięczność dłużny? —
Polsko! Polsko! tej Ofiary
Wielkość nie zna żadnej miary!

I ten Bóg co pod Syonem
Z krzyżowego drzewa zgonem
Mazał z ziemi Ojca gniew,
Nie za całe ludzkie plemię,
Nie za całą przelał ziemię,
I nie całą swoję krew.

Ta, co nas odkupić miała,
Nietknięta w niej pozostała
Bezkorzystna nam.

Na szesnaście milionów
Na trzy wielkie krzyże wbito,
I męczeństwem czterech zgonów
Narodową pierś przeszyto,
A on skonał — sam!

Niema Polski! — Dalej świecie!
Wszystko jedno — gdzie chcesz nieś.
Na szerokim twoim grzbiecie
Na grób ziemi starczy gdzieś.

Ja nie idę po jałmużny,
Ni po litość, gardzę nią,
A depcę cię, boś mi dłużny
Boś kupiony moją krwią.

SĘP SYBIRU.

Kraknął rado sęp Sybiru,
Bo przeczucie w pierś mu szepło,
Że dostatkiem będzie żyru,
Że krwią napoi się ciepłą.
I obrócił wzrok jaskrawy
Po gościńcu od Warszawy.
I w około step był próżny —
Tuman stał się po nim biały,
Karawany nie ciemniały
Żaden nie ćmił się podróżny.

«Czegoż wzrok twój wciąż tam pływa
Po tym stepie od południa?

Ani jedna dusza żywa
Pustyni tam nie zaludnia.
Tam przychodnia nie zawiedzie
Żadna ścieżka po pokarmy,
Nawet wilki i niedźwiedzie
Nie zachodzą tu na łowy.
Bo step dziki i jałowy.»

Mówiła młoda orlica
Małżonka stron tych dziedzica
Co ze skrzydłem Uragana,
Z sercem cara krwawem, dzikiem,
Najmiłościwszego Pana
Był tu pełnym namiestnikiem
I wciąż wodził wzrok jaskrawy
Po gościńcu od Warszawy.

— «Dajno pokój droga żono!
Będzie zdobycz niezawodnie,
Jestem pewny, jak bym szponą
Już te nowe jął przychodnie.

Słuchaj, i wierz — jam był w górze,
Od bram nieba nie daleko,
Tam wiesz, gdzie już gniewne burze
Milcząc u stóp jego cieką.

Przelatałem się nawiasem,
Czy się może nie wydarzy
Coś posłyszeć z nieba czasem,
Coś wyczytać z nieba twarzy.

Wierz — i wichry mają mowę,
I te stropy safirowe
Czasem wiele rzeczy wiedzą.
Małe gwiazdki, co tam wiszą,
Chmurki, co się tam kołyszą,
Czasem z nieba coś usłyszą

Jedna, druga mniej ostrożna,
Wnet Ci wszystko wypowiedzą.
A z tych słówek i bez związku
Wielkich tajni dociec można.

Tak latałem długo w górze,
Ziemia była gdzieś podemną,
Niewidziana, cała w chmurze,
Z pod chmur zdała się podziemną.
Lecz widno gwałtowne burzy
Wstrząsały nią — bo tak grzmiała,
Trzy dni z rzędu tak ryczała,
Tak bił piorun po piorunie,
Że myślałem, jak jest cała
Tak złamana w dwoje runie,
I gdzieś w odmęt się osunie.

Tak latałem. Widno w górze
Usłyszano ziemskie burze
I rozkazał Bóg naturze
Swoich gromów huk uciszyć,
By mógł ziemskie lepiej słyszeć.

Kazał nieba porozwodzić
By przez podniebne otchłanie
Lepiej widział, co się stanie
Lecz sam nie raczył wychodzić.

Nie widziałem go — a tylko
Trzy dni z rzędu z każdą chwilką
Jęki, modły, rozpacz, łzy
Przemienione w krwawe mgły,
Słupem z ziemi w niebo szły,
Tam nikły. — W dwie postaci
Łamał się obłoku słup,
Co do boskich dążył stóp.

Jeden skrzydłem Uragana
Leciał od imienia Pana.

Drugi modły niósł od Braci,
Od Ojczyzny. Ten był biały
Jak twe skrzydła — jasny, czysty,
Jak niebo był promienisty;
Lecz go krople krwie zlewały
Jakaś czysta krew, niewinna.

Co dziwniejsza, jego mowa,
Którą płakał swoje żale,
Takie same — miała słowa,
Jak ty droga! nieraz miewasz
Gdy na stromej siadłszy skale
Wzrok utopisz na południe,
Jak w bezdenną gdzieśby studnię,
I rodzinne dumy śpiewasz.

Nie pojąłem całej treści
Jego żalów i boleści,
Lecz niektóre słowa pomnę,
Bo duchy, co tam przytomne
U stóp nieba strażą stały,
Kilkakroć je powtarzały.

Coś bez związku: dłonie bratnie,
Ucisk, ludzkość, wolność, prawa
Byt, jarzmo, cześć, przodków sława
I Ojczyzna — to ostatnie
Słowo ciągle, ciągle brzmiało,
Niebo wciąż je powtarzało,
I ma ważne być zapewno,
Bo nad niem niebo całe płakało
Łzą jakąś gorzką i rzewną. —»

«Stój! Stój! nie kończ — po tej mowie,
Potem tylko jednem słowie
Wszystko już przeczułam.
Widzę w tej krwie świętej strudze
Kraj, po którym sierota po pod nieba cudze
Dziś nędzna się tułam.»

Rzekła, i w oku orlicy
Łzy nie było — nie wymowne
Czucie dzikiej tajemnicy
Zaległo wzrok jej — gwałtowne
Miotały sercem boleści —
Jej skargi były bezsłowne,
Jej rozpacz była bez treści.

Dziwne dzieje tej istoty!
Córka orła, co poloty
Dziesięć wieków po tym globie
Sam oznaczał mieczem sobie,
Co pod tronu swego stopy
Giął dowolnie północ trwożną,
A podnóże, jak nieb stropy
Podkreślił łuną dwurożną,
Zwyciężonego Księżyca
Z nieb zdjętego jego szponą,
I córką tego orła, ta biała orlica
Dziś jest sępa pustyń żoną?

To tak było: lat nie wiele
Tego orła ziemia święta
Zniszczona — nieprzyjaciele
Z Białocerkwi i Tulczyna
Zaprzedali ją obcym — a małe orlęta,
I cała jego rodzina
Poszła w zakrwawione ręce
Wrogów, dni wlec niemowlęce.

Rozmaicie je chowano,
Różnem mlekiem napawano,
Aby kiedyś w groźnej chwili
Dawnem życiem nie ożyli,
Dawnym lotem się nie wzbili.

Aby się nie opomnęli,
Że mieli Ojców i po nich spuściznę,

By pomyśleć nie umieli,
Że mieli kiedyś Ojczyznę.

I kazano tak je chować,
By sieroty pogrobowe,
Z białych w czarne przenicować,
Poprzerabiać na dwugłowe.

Toż w posępne szaty z kiru
Odziewano pierś im z młodu;
Słano na pustki Sybiru
Bez nazwiska i bez rodu.

Tak i ta orlica biedna
Tu rosła.

Lecz w naturze jest tajemna władza
Niedocieczona, niewidna,
Co w duszą święte ziarna uczucia
Zasiewa — niestrzeżone strzeże od zepsucia,
I w bujne plony rozradza.

Te ziarna ręka niewidnej opieki
Rzuca w ludy, rzuca w wieki;
I choć z nich bezsilne szczepy
Los zaniesie na puste i bezwodne stepy.
Raz natchnionych życia duszą
Żadne burze nie zagłuszą.
I za wieków miliony
Z pod grobowej czasów płyty
Zejdą, jak zeszedł świat utajony,
Co leżał w oceanach od wieków ukryty.
Zejdą, w Cedry się rozrosną,
I zieloną Ludzkości uśmiechną się wiosną.

Tak niebo, co z rozrywki, czy w zaciętym gniewie
Rozproszyło polskie rody,
Rzuciło w polskie serca niezgasłe zażewie,
Uczucie narodowej cześci i swobody.

I niech wietrzyk przypadkowy
W jednej piersi iskrę wzruszy,
A wnet pożar narodowy
Z narodowej buchnie duszy.

Ta młoda orlica biała
Dzieckiem matkę postradała,
Lecz spuścizna po niej święta
Na sieroty, na orlęta
Niezagrabiona spłynęła:
Pamięć, czysta pierś zatruta,
Dum rodzinnych tęskna nuta,
I ta dumka sercu miła
«Jeszcze Polska nie zginęła.»

Ona młoda pod obłoki
Nieraz lot swój utopiła,
Pustkę stepów nieobjętą,
I ocean nieb szeroki
Nieraz, nieraz okrążyła,
I tę dumkę tęskną, świętą,
Powtarzać ich nauczyła.
I posłuchaj, nieraz w górze
Zaśpiewają Ci ją burze.

A sęp patrząc na twarz żony
Rzekł: «Cóż ci to? No! nie szalej —
Młody obłok był skrwawiony,
I cóż z tego? słuchaj dalej.

Biedny! on stał i narzekał,
Jak by zlitowania czekał,
A Uragan, co go ścigał,
Stał na stronie. Coraz dziczał,
Coraz wyżej się podźwigał,
Coraz czerniał — w tem zaryczał
I uderzył piersią brudną
Aż się wstrząsł ten wklęsły strop.
Już z samych niebios stóp

Widziałem ich krwawy bój,
Opisać go trudno.

Niech tak będzie i tamtem mały
Jasny obłok, to jest twój.
A ten z skrzydłem Uragana,
Niechaj będzie mego Pana,
Niechaj będzie mój.

Twój stał, czekał nieruchomy,
Z mieczem była jego dłoń,
W czystej piersi były gromy,
Laur męczeński krył mu skroń.

A mój skrzydłem od Sybiru
Zajął obszar po południe,
Jego odzież była z kiru,
Jego pierś, jak paszcza wiru,
Wyglądała brudnie
I aż do dna, jako cała,
Różnorodną krwią kipiała.

Twój był jeden — wprawdzie tam
Liczny w koło jęk i łzy,
I okrzyki za nim szły,
Lecz pierś nastawiał on — sam.

A za moim, nie jaśniejsze
Od mojego, lecz dwa mniejsze
Uragany, z moim w zgodzie,
Czekały mu na odwodzie.
O! to widok pożądany
Trzy w przymierzu Uragany! —

Leciał grom w grom, cięcie w cięcie,
Z piersi w pierś, z miecza w miecz.
Trzy dni wrzał bój nad pojęcie,
I słuchaj! to dziwna rzecz!

Jeden walczył obłok biały
Jeden i to taki mały!
Lecz widno Anioła siła
Jego ciosy roznosiła,
Takie wszystkie były silne,
Tak na wroga szły nie mylne
On sam spokojny, stał wryty —
A Uragan wpół przeszyty,
Skrwawiony, już nie mógł dostać.

Lecz wnet mu w piersi nieczystej,
Jak w piekła paszczy ognistej,
Silniej zakipiały jady,
I myśl inną wzięła postać.

Stanął, i z piersi na lice
Wysłał uśmiech, i źrenice
Łzą obłudną skruchy nalał.

Lecz na tle serca leżał żamiar zagłady,
Co od dawna pierś tę kalał,
Co jak wąż, obwiniony w czarne tajemnice,
Uśmiech ten z głębi podpalał.

Stanął pogodny i rzecze:
Bracie drogi! wstrzymaj bój,
Krew to droga po nas ciecze,
Krew rodzinna — ja brat twój!

Jedna ziemia, jednem tchnieniem
Pobratymczą pierś nam żywi,
Pod tych samych nieb sklepieniem
Bracia, będziemy szczęśliwi.

Tyś pobłądził — Pan nasz prawy,
Którego ja jestem sługą,
Miłosierny i łaskawy
Nierad pomni krzywdy długo.

Najłaskawszy Pan ten raczy
Zwiastować ci te ukazy:
«Poddaj się — ja tak każę a przeszłe urazy
Może ci moja łaska, jeżeli obaczy,
Że tak mi się podoba, może ci przebaczy.»

Na te słowa obłok twój
Rzekł z pogardą: Stój!
Ja nie byłem nigdy katem,
Byś miał prawo zwać mię bratem.

Słuchaj ty, Pański służalcze!
Ja syn wolny wielkiej ziemi,
Ja piersiami nie cudzemi
Jak ty, ja własnemi walczę —
Walczę za siebie i za nią —
Ty krwie cudzej lejesz zdroje,
Nastawiasz piersi nie twoje.
Przedałeś je, i tak tanio
Kupiono cię niewolnika,
Z twojem życiem i imieniem,
Z przekonaniem i sumieniem
Ceną — blaszki lub krzyżyka!

Pójdź i powiedz panu twemu,
Że ja nie przebaczam jemu,
Pókąd krew mej ziemi drogą
Smoczą paszczą będzie chłeptać
Pókąd Tatar dziką nogą
Zgiętą Ludzkość będzie deptać.

Niech wyzionie smocza paszcza,
Co połknęła z naszej krwi,
Niech to odda, co przywłaszcza,
Co jej żywe w gardle tkwi,
W ten czas tylko, w ten czas żmije!
Przebaczenia czas wybije,
A na pański ukaz wasz
Tę odpowiedź od nas masz!»

To rzekł i gromy ogniste·
Posłał w serce mu nieczyste.

Uragan nie śmiał nie wierzyć,
I nie śmiał się począć mierzyć.
Stanął pogodny — i znowu
Takiemu pójść kazał słowu:

— «Pan mój nie chce rozlewu,
I mnie słudze tak rozkazał,
Abym pamięć klęsk i gniewu,
Z łaskawej piersi wymazał.
Wolne będą twoje rody,
Pełne prawa i swobody
Za najpierwszem słówkiem zgody.
I co dotąd zwał cię jeńcem,
Lub przeniewiercą poddanym,
Odtąd nazwie sprzymierzeńcem
Nazwie bratem ukochanym.» —

I powierzył obłok jasny,
Co Uragan mówił brudny.
Biedny! sądził, że jak własny,
Tak każdy głos nie obłudny.

O! biada ci wiaro młoda!
Z dziecka okiem, z sercem dziecka!
Gdy ci kielich jadu poda
Przy uśmiechu dłoń zdradziecka.

Wtedy dobroduszna wiaro!
Pół kielicha nim wypijesz,
Padniesz własnych cnót ofiarą,
Do dna dopić nie dożyjesz.

Jasny obłok miał na czele
Starca, z białą jak śnieg głową —
Tego starca przez lat wiele
Za młodu rosą majową

Swoich kwiatów pierś ożywiał,
Swojem słońcem rozjaśniał jego twarz i oko,
I z poziomu wzniósł wysoko.

A gdy mu wiek szronem przywiał
Czczoną i kochaną głowę,
Wzniósł go najwyżej. On dożył
Że kraj w jego ręce złożył
Swoje życie narodowe,
I miecz swojej obrony i pochodnię świętą,
Od tylu wieków zajętą,
Którą z najświętszych uczuć, z najczystszego tchnienia
Narodową uwił dłonią;
Pochodnię cześci swojego plemienia
Co miała lub objaśnić zmartwychstania chwilę,
Lub zawieszona nad wieczności tonią
Tleć gwiazdą nie zagasłą na jego mogile.

Ten to starzec, jako głowa,
Jako dusza narodowa,
Krew Ojczyzny i jej losy
Wziął na swoje siwe włosy.

O! to miało postać dziwną!
Starzec ten, z rószczką oliwną
Jako gołębica biała,
Co spłyniona z niebios stropu
Niegdyś arce zwiastowała
Koniec gniewu i potopu.

Wyszedł — nad jego głową lekka mgła rozwiana
Jasna i przezroczysta wiodła go — mgła wiary,
Dziękczynienia — posłana niebu na ofiary
Z narodowego tchnienia — szedł do Uragana.

Tak syn człowieczy, wcielone słowo,
Zstępował z krzyża w otchłań czyszcową
Aby za swojemi ślady

Wywieść ofiary zniszczenia,
I nad krainą zagłady
Zawiesić słońce zbawienia.
Poszedł — i w pierś jego brudną
Utopił się na chwilę — dojrzeć było trudno
Co tam robił, co mówił. —

Z jego oddaleniem
Jasny obłok drżał, bledną, i ciężkiem westchnieniem
Całej niebieskiej krainy
Duszą przejmował — złowieszczem drżeniem.
Starzec wyrnął, i wracał ku swoim — był siny,
Jakby się tam krwią ochłeptał.
Jego uśmiech biegł przez lica,
Jak po czeluściach nocy błyskawica,
A w wirze rozroku jego była tajemnica.
Wrócił, stanął, coś zaszeptał,
I skrył się — a obłok biały
Zbladł i stanął skamieniały.
Potem to w lewo, to w prawo
Chwiać się począł, jak omdlały,
Rozstał się w kilka części, i łzę rozlał krwawą.

I krew ta padła gdzieś tam w dół, pod stopy,
Nie wiem ziemie tam czyje,
Lecz padła prosto na głowy Europy,
Nie wiem kogo tam pobije.

Dziwno: odgłos głuchej wrzawy
Powstał z ziemi — i ku niebu
Słali przekleństwa tułacze,
I w strop jego bił płacz krwawy,
Hymnem, jakim natura w dzień swego progrzebu
Nad swoim grobem zapłacze.

I była pierś Uragana
Krwawą pręgą przepasana.
A na tej prędze czerniały
Napisy zwycięztw i chwały

I z gardzieli Uragana
Płatne modły szły za Pana.
A gwiazdka mi jedna mała
Tak w przelocie powiadała:
«Ten hymn płaczu, którym wierni
Czczą pamiątkę drogiej straty,
I ten hymn chwały, który pop brodaty
Wznosi napędzony knutem,
Równo nieba imię czerni,
Równym każdy jest wyrzutem.

I widziałem jak w natłoku
Oderwane od obłoku
Cząstki jego nieczyste, podłe nietoperze,
Uplatane w dobrej wierze
W pozłacane zdrady sidło,
Gnało czarne wichru skrzydło
W pierś Uragana.

Przed niemi
Leciał starzec ony dziki
Z Judasza sercem — za krew swojej ziemi
Po obiecane srebrniki.

Tak mi druga gwiazdka mała
Co niebo podsłuchiwała,
Słowo w słowo powiadała.
I mówiła, pewno szczerze,
Że te podłe nietoperze
Będą wszystkie na Sybirze.

A inna gwiazda znajoma,
Wielu tajni też świadoma,
Mówiła mi: «Ciesz się, ciesz,
I na stepy rychlej spiesz.
Pan twój całą ową ziemię,
Co obłoki takie rodzi,
I żyjące na niej plemie
Na stepy wam poprzewodzi.

Bo ten wielki Pan zastępów
Kocha wiernych swoich sępów.
I szczodro na step Sybiru
Z drogich ludów szle dań żyru.»

Dzięki, dzięki Panu memu
Panu najmiłościwszemu!
Słońce świata, Pan zastępów,
Syty laurów i wawrzynów,
Tkliwy Ojciec tylu ludów,
Śród pobożnych swoich trudów,
O dobro kochanych synów,
Nie zapomina i Sępów!
Cóż ty na to droga żono?»

Jak poranny pączek róż,
Ona spała — Białe łono,
Skróś przejęte bolu szponą
Nie cierpiało więcej już.

I tylko w oku orlicy,
Gdzie powieka martwa tkwi,
Stała łezka na źrenicy,
Jak kropelka jasna krwi.

I sęp upadł na to łono
I budził je tkliwą szponą.

I jęczał nad niem, i płakał
Gorejącą, krwawą łzą.

Darmo! porwał się, zakrakał —
I utonął w Niebios tło.

DO

KAROLA LIPIŃSKIEGO.

Po koncercie dnia 29. Listopada 1831 we Lwowie.

Jest świat szczęścia niepojęty,
Jest błogi świat zapomnienia,
Wyższy nad ziemskich losów odmęty —
Na nim dusza ciężkiemi niegniecіona pęty,
Odzyskuje sama siebie
I w rodzinnem swoim niebie
Przeżywa jednę górną chwilę — zachwycenia.

Ja żyłem chwilę na tym świecie czarodziejstwa
Wyższy nad ziemską radość, nad ziemskie cierpienia.
Lipiński! świat ten dziełem Twego dobrodziejstwa
Utworem był Twego pienia.

Milczy w piersi westchnienie, gdy ją ból oniemia,
Łza nie błyska na oku, gdy w sercu ostygnie,
Myśl, kiedy ją więzi ziemia,
Ku niebiosom się nie dźwignie;
I życie tam nie zakwita
Gdzie dokoła wzrok zaciemia
Rzeczywistość jałowa, mierna, pospolita
Gdzie w koło ziemia tylko, i ziemia i ziemia! —

Dziś tyle szczerych westchnień wzleciało ku niebu,
Przeszłość, przyszłość ponure rozjaśniła lice,
Jakby światłem weselnem nagle śród pogrzebu
Grobowe błysły gromnice.

Dziś tyle łez płynęło! — rzewnych — i w tej chwili
O jeszcze nie jedna płynie
Po upadłych nadziejach, rzuconej rodzinie
Po wszystkiem, cośmy przeżyli.

Dziś myśl z gnuśnych snów wybita
Znowu dawną siłą wzlata,
Znowu żyje i zakwita
I na gruzach upadku, pustyniach świata.

Świątyni zmartwychwstania kres węgielny znaczy,
Co jak Arka Noego na świata powodzi
Ludzkości losy odrodzi,
I będzie jej ostoją od burz i rozpaczy.
Tobie Wieszczu, Tobie dzięki!
Tobie, bo dusza Twoje zrozumiała dźwięki —
Twojem uderzona pieniem
Zmartwychwstała i odmłoda
Ożyła, boś ją Twojem ożywił natchnieniem,
Uczuła, boś jej uczuć wyschłe odkrył źródła.
O! daj, o! daj słyszeć jeszcze
Twoje pienia wieszcze!
Wyciskaj łzy, smuć czoła, rozjaśniaj uśmiechy,
Z lepszej strony Posłańcze!
Słodź, słodź Aniele pociechy
Nasze tutaj dni wygnańcze! —

WIESZCZ UKRAINY.

FANTAZYA

z koncertu KAROLA LIPIŃSKIEGO,

Poświęcona Bohdanowi Zaleskiemu w znak współczucia w dzień opuszczenia Polski.

Widzisz gwiazdkę nad obłokiem?
Osłoniona lekką mgłą,
Patrzy w niego łzawem okiem,
Cała zda się łzą.

A on czarną kiru chmurą
Jak sęp odział pierś ponurą,

Nieruchomy, niedostępny,
Zawisł u jej stóp posępny,
Jak rozpaczy tło.

Odwróć oczy, Gwiazdo świtu!
Na rodzinnem jasna niebie!
Tułacz syn ziemskiego bytu,
Nie dla Ciebie! nie dla Ciebie!

Nie patrz w pierś tę — tam zniszczenia,
Tam rozpaczy gore grom,
Nie budź, nie budź jej milozenia,
O! bo chwila obudzenia
Straszna jego i twym dniom.

Grom, co z piersi tej wypada
Gdzie ugodzi, biada tam!
Dziecię nieba! tobie biada!
W nieśmiertelną pierś twą czystą
Wstrzęgnie strzałą płomienistą,
A sam wichrem się rozwieje,
Lub się krwawą łzą rozleje,
I natenczas — biada wam!

Gwiazdo świtu! twoja dola:
Na rodzinnem Niebie lśnieć,
Jakeś wyszła z Nieb Podola,
Tak im świeć.

A on — pod Nieb cudzych sklepem
Błędny tułacz, bez gościńca
Niechaj płynie dzikim stepem,
Dzikim, jak pierś ukraińca.

Gwiazdo świtu! z Ukrainy
Przypłynął ten obłok luby.
Bez Ojczyzny, bez rodziny,
Błądzi po szerokim świecie,

Gdzie pędzony tchem zaguby
Uragan go miecie.

Znasz ty dzieje jego życia?
Jego duszę od powicia
Żywił głos rodzinnych dum
Tajemniczą grobów nutą,
W głębi piersi tylko czutą
A tkliwą, świętą i miłą,
Jak wzdłuż stepu nad mogiłą
Gra rodzinnych wichrów szum.

Tam po stepach on pozdrawiał
Cienie przodków, w szatach z mgły,
W głuchą północ on rozmawiał
Z wiekowemi mogiłami
Dziką dumą, westchnieniami,
Co z pogrobnej piersi szły.

Toż twarz jego taka chmurna,
Bo te dumy w sercu tkwią,
Bo to serce dziś, jak urna,
Przeminionych chwil jest składem;
A w niem przesięknione jadem
I oblane świeżą krwią,
Po przeszłości żale śpią.

I dziś ożywnym oddechem
Nie wzmogły go na drogę macierzyńskie pola,
Nie pożegnało uśmiechem
Rodzinne słońce Podola.

Tylko cierpień posłannikiem
Po męczeństwa krwawe wieńce
Do przyszłości powiernikiem,
Z ciężką klątwą w sercu dzikiem
Wysłali go potępieńce.

On Ojczyźny niesie jęki
W świat szeroki, w świat bez granic —
Krew Grochowa, Ostrołęki,
Laury Igań i Domanic.

Krew rozboju z mogił Pragi
W jego, w jego pierś się zlała,
Gorzka skarga za zniewagi,
Dawny tryumf, dawna chwała,
Ochronione przed grabieżą
Złożone w tej piersi leżą,
I pierś jest, jak lodu skała,
A w niej wulkan lawą pała.

Nie patrz w niego gwiazdo blada!
Niech się własnym ogniem trawi,
Jasność, co od ciebie pada,
Szczęścia jego dniom nie nada,
Tylko silniej pierś zakrwawi.

Wierny czuciu, co go dręczy,
On wędrówki nie zatrzyma,
I przy jasnych stopach tęczy
Jemu ulgi świateł nima.

Póki rodzinne równiny
Obca będzie moc ciemiężyć,
Na obłoku Ukrainy
Nie przestanie klątwa ciężyć.

Wieńców szczęścia mu nie wolno
Na męczeńską przywdziać skroń,
Pokąd śmiercią tam powolną
Kona Matka Ukraina.
Odwróć oczy od jej Syna,
I łzy gorzkie nad nią roń.

A on — a ty — Niebios róża
Twa Ojczyzna, Niebios stróp,

Tam ci bliżej do podnóża,
Do Ojcowskich bliżej stóp.

Tam wróć i dziecinnym płaczem
Rozbrój Ojca ciężki gniew
Zawieszony nad tułaczem,
Niechaj odwróci pioruny,
Niechaj zdejmie kiru całuny
Z Ukrainy smutnych niw.

Wtedy gwiazdo w dniach zbawienia
Przezroczystą lekką mgłą,
Wolny obłok syn jej tchnienia
Wzleci pod twych nieb sklepienia,
Jasne jak twej duszy tło
Ucałować stopę Twą.

DO
MAJORA WERESZCZYŃSKIEGO ALEKSANDRA.

DOWÓDCY PODOLAKÓW †).

Niechaj szczeka zawiść niska
I potworca bez nazwiska,
Niech rzuca ciosy tajemne
Na twoje imię bez skazy,
Ty milcz — to są podłe płazy
To są owady nikczemne.

Podłej piersi nie oczyści
Cześć górna, winna zasłudze.
Tyś zbrodzień w oczach zawiści —
Bo ona poziomemi nie sięgnie oczyma
Wyniosłych zasług twoich, których sama nie ma,
Bo jej hańbą cnoty cudze.

Zbrodniu! o wieluż twoich pozazdrości zbrodni! —
A szarpać ci tylko mogą,
Co jak niskie jaszczurki pełzają pod nogą,
Czernią, bo wielbić niegodni —

Niechby gnuśny niewieściuch, co dziś tworzy plany
Tonąc w puchu, lub cudze zlizując półmiski,
Toczy boje z za pieca, jątrzy cudze rany,
I rzuca jadowite na mężnych pociski.

Niechajby się tam był zjawił
Gdzie gorąco, gdzie się pali —
Gdzie u wroga stal w ręku i serce ze stali —
Niechby tam chwilkę czoło nastawił,
Gdzie my do końca dotrwali.

Niechby ścian Zamościa spytał,
Tam podolskie znają miecze,
Zamość na śmierć nas żegnał, gdyś ty wiódł na siecze
I płakanych za chwilę zwycięzcami witał.

Na Majdańskich tam polach, w gruzach Nowo-miasta
Na świeżych grobach jeszcze trawka nie porasta,
Każda niwa stłoczona, każda grudka zbita,
Zna i ramię podolskie i tętęt kopyta.

Powie, jak barbarzyńskich zastępy bagnetów
Padały pod lancy razem,
Jak zagony oczeretów
Podciętych żelazem.
Nas tam święte wiodły cele,
Górne — a tyś był na czele.

A jeżeli zawiść niesyta,
O świadectwa cię zapyta,
Zrób gwałt skromnej zasłudze, niech przerwie milczenie
Z prawej piersi rzuć odzienie,

Tam niech obaczy oszczerca
Świeżo odnowione blizny,
I oby tak mógł widzieć głąb twojego serca,
W którem jedna namiętność jest — Miłość Ojczyzny:

Pokaż mu to, niechaj widzi
A jadowita paszczeka
Sama siebie znienawidzi
I szczekniony fałsz odszczeka.

Lecz nie — kto nie śmiał wyrodny
Ranami za Ojczyznę swej piersi ozdobić,
A cudzą, niedobitą, chce oszczerstwem dobić,
Ten widzieć twojej niegodny.

Nie zniżaj się — mąż bądź mężem!
Skargą dumie nie uwłaczaj.
Tyś nie przebaczał wrogom, na polu, z orężem.
Bezbronnym, pokryjomym potwarcom przebaczaj.

w Grudniu
1831 r.
Valon-sec.

PODOLANKI.

A czy znasz ty moc uroku
Co pustynie życia złoci?
Ten urok, jest to łza w oku,
Łza w pięknem oku dobroci.

Na promieniu współcierpienia,
Do niskiej człowieka strzechy,
W dniach upadku i zwątpienia,
Spływa anioł zlitowany,

Niezgojone serca rany .
Goić oddechem pociechy.
Przed nim, nad nim, na około
Płyną radości uśmiechy,
Czyste, jak pierś jego czysta,
Jak jego pogodne czoło,
Jak jego twarz promienista.

Sądzisz Anioł z Nieba spłynął?
Sądzisz? sądy twoje mylne!
Wiek Aniołów już przeminął,
Niebo nie nam dziś przychylne.

A jakież to bóstwa tkliwe
W anielskiej postaci
Schodzą w więzienia zelżywe
Wspierać wolnych braci?
A z ich zstąpieniem w około
Płynie słodki zdrój pociechy —
Czysty, jak ich serca czyste,
Jak ich Anielskie uśmiechy,
Jak ich lica promieniste. —

Bóstwo to — Nieb rodzinnych chwilowe wygnanki!
Padnij na twarz i bij czołem
Korniej, niźli przed Aniołem,
To są Podolanki!

Jacyż to tam młodzieńce stoją przy dziewicach?
Górna duma na ich licach,
A ich piękną skroń młodzieńczą
Męczennickie laury wieńczą.
Nie śmie łańcuch na ich ręku
Głośniejszego wydać jęku,
I tyranów sługa dziki,
Co przy nich stoi na straży
Na te wolne niewolniki
Oczu wznieść się nie odważy.

Bo bez woli pierś bydlęca,
Co się w pyle więzów tarza,
W więzieniu! które Bóstwa przytomność uświęca
Jak u świętych stóp ołtarza
Podłe czucia upokarza.

Tak gdy zbawca szedł na świat świętością przejęta
Przeczuła go natura; i czołem schylonem
Uczciła jego przyjście — i nieme bydlęta
Powitały go pokłonem.
Bić się za kraju swobody,
I z dumą na czole
W więzach, w szlachetnych więzach, jak wieńcach nagrody
Wracać na Podole;
I w tkliwem współziomek oku,
Jak w czystym słonecznym stoku,
Widzieć to światło niebieskie
Cześci i podziwienia,
I widzieć tę świętą łezkę,
Łezkę współcierpienia.
O! kto tych łez stał się godny
Za lane krwie swej kropelki,
Ten w łańcuchach jest swobodny
Ten w gruzach upadku wielki!
Szczęśliwy ten, kto głowę za kraj swój położył,
I szczęśliwy! kto chwili takich nagród dożył!

Równo w koronie męczeństwa,
Na skrzydle błogosławieństwa
Przed oblicze Twórcy wzlecą,
I rodzinnej drogiej ziemi
Z Niebios cnotami swojemi
Na długą wieczność zaświecą.

I wasze łzy dziewicze, lane nad ich głową,
Będą przed Niebios królową
Przypomnieniem tej godziny,
Gdy płakała pod Syonem,

Gdy Zbawca, jej syn jedyny
Męczeńskim ją żegnał zgonem.
Niechaj się przemoc na męki wysila,
Jakie jej zgraja służalców doradzi,
Waszego zstąpienia chwila
Będzie arką świętości — będzie tą opoką,
Na której stanie świątynia swobody.
Z której słowo zbawienia po ziemi szeroko
Rozejdzie się z rodów w rody,
I ducha mocy jego ciemność nie zagładzi!
Bracia! na czołach waszych ślubionych Sybirom,
Niech wyciska ciemięzca rodu swego piętna [1]
Po tej chwili bohatyrom
Hańba i śmierć obojętna.
Bracia sercem, Bracia duchem
I blaskiem przeminionym, i dzisiaj łańcuchem!
I jam dzielił losy wasze —
Wspólna niegdyś była dola,
Jak wspólna pierś i pałasze
Jak wspólne niebo Podola.

Jakie dzisiaj różne biegi
I mnie i Wam los przeznacza!
I wieczności dzikie brzegi
Dzielą od was dziś tułacza.

Razem wszystkośmy przeżyli,
Wszystko — prócz tej górnej chwili.

Los nasz twardy — los nasz dziki,
Jak niegdyś twarde było ostrze naszej piki,
Przyszłość ciemna — lecz nad nią jedna gwiazdka tleje,
Jak jasna chorągiewka, co zdobiła lancę.

[1] Na piętnach, które wytłaczają na czołach ofiar Sybiru, napisany jest wyraz Maszennik, co odpowiada wyrazowi łotr łufamis; albo Wor, co znaczy Złodzieja. Pierwszego wyrazu nie można oddać w innym języku dokładnie. — Właściwy krajowcom, bo też i przedmiot nie wspólny z resztą świata. Piętno owe familijne przez Piotra W. wymyślone.

A tą gwiazdką są nadzieje.
Słodkie, gorzkie, niepojęte,
Sercu drogie, duszy święte,
Jak myśl o Podolance.

Luty 1832 r.
Château St. Jérome.

WĘDROWKA.

Ja rosłem z wiatrem, Ja i on
Byliśmy bracia z młodych lat.
Współwychowańców jednych stroń
Los od kolebki pognał w świat.

On leciał przodem noc i dzień,
Niósł lekkim skrzydłem myśl mą tam,
Gdzie za nim biegnąc, jakby cień,
Nie mogłem nigdy zdążyć sam.

Dziś brat, co zemną razem rósł,
Powiernik serca nie wiem gdzie.
Czy go uragan wściekły zniósł,
Czy sam niewierny rzucił mię.

I lecąc wszystko zabrał mi,
Młodego serca lekkie sny,
Uczucie, radość młodych dni,
I młodej wiary słodkie łzy.

I jak szeroki dzisiaj świat,
Pusto przedemną wszerz i wzdłuż,
Bo znikł przewodnik, wietrzyk brat,
Bo moja radość znikła już.

Teraz wędrowca pędzi ból,
Bez czucia wiary i bez łzy
Za każdym wiatrem, co śród pól
W dzikiej krzewiny listku drży.

Tak lecę błędny, ni mię znój,
Ni wstrzyma jasny pączek róż —
Bo znikł przewodnik, wietrzyk mój,
Bo moja radość znikła już.

O wróć wędrowcze drogi! wróć!
Tęskna pierś bratnia woła Cię.
Wróć, oducz myśleć, pomnieć, czuć,
Lub z serca drogę pokaż łzie! —

Chevincent,
Lipiec 1832.

CHORĄGIEWKA

Powernusia, jak ne zhubyt
Łycha hodyna.

Pieśń gminna Podolska.

Widzisz Dziewcze! chorągiewkę
Co przy mojej lancy drży?
Zaśpiewam ci o niej śpiewkę:
Ona piękna tak, jak ty.

Jak dziewiczą kosą tęczy,
Wietrzyka nią igra lot.
Wieszże kogo ona wieńczy!
Martwe drzewce, stalny grot.

Nie wie biedna, że grot luby,
Co w objęciu u niej śpi,

Jest syn śmierci i zaguby,
Potępienia chciwy krwi.

Wierny dłoni, co nim włada,
Jedną tylko cnotę zna:
Pokazaną pierś dopada
Przeszyć serce, co w niej drga.

A czyja pierś, on nie pyta,
Jedno, Ojciec mu, czy wróg,
Rozkazano i przeszyta,
A o reście sądzi Bóg.

Lecz im częstsza krew go zleje
Rdza wypali na nim ślad,
Stępi ostrze, pierś mu przeje,
Jak choroby tajny jad.

I nie lekko będzie rąnie,
Którą w upominku da.
Wiecznie wtedy w niej zostanie
I jad jego i rdza ta.

A ta chorągiewka młoda,
Towarzyszka jego dni,
Jaśniejąca, jak pogoda,
Co przy boku jego lśni.

Żywe krasy rychło zmieni,
Przyjaciela dzieląc ból,
I zżółknie, jak liść jesieni,
Obcy tułacz pośród pól.

Wiesz-że Dziewcze! co z tej śpiewki
Możesz sobie nadal wnieść?
Twój los, jest los chorągiewki
A grot moich losów treść.

Na pierś stalną nieraz głowę,
Nieraz serce złożysz twe,
Nieraz łzy twe krzyształowe
Na niszczącą padną rdzę.

I pierś stalna twojej mowie,
Mowie twych najsłodszych snów
Tchem współczucia nie odpowie,
Nie zrozumie twoich słów.

Nie odgadnie, nie uprzedzi
Tkliwą myślą myśli twej,
Okiem oku odpowiedzi,
Sercem sercu nie da jej.

Lub choć zgadnie, nie patrz na nią,
I w nią nie patrz, jako w wir —
Pierś żołnierza jest otchłanią,
Którą tajny kryje kir.

Mróz ją mrozi! czy żar pali,
Czy niszczące trawią rdzy
Winna milczeć, jak ze stali,
I dla oka nie da łzy.

Jeden głos jest, co go słucha,
Jeden powinności głos,
A na resztę zimna, głucha,
Równo zniesie i da cios.

Raz jeszcze tej chorągiewce
Przypatrz się; to dola twa —
A ten dziewcze grot i drzewce,
To przyjaciel twój, to ja.

Nie płacz Luba — bywaj zdrowa!
Łzy na cięższe zostaw dni

Co Bóg sądzi — bądź gotowa,
Może wrócę, może ni.

Mówił Ułan do Dziewczęcia
Na morderczy idąc bój,
Mówił, i ujął w objęcia
Ten skarb, ten świat cały swój.

I z oczu łzą gorzką, rzewną
Spływał serca ciężki żal,
Płakał gorzko — czuł zapewno,
A jednak ta pierś, jak stal.

Rzucił Dziewczę — koń jak strzała,
Poniósł go, jak wichru lot.
Tylko wierna powiewała
Chorągiewką po nad grot.

Rok przeminął — Dziewcze płacze,
O nim nikt nie umie rzec.
Poległ gdzieś, lub dni tułacze
W obcej ziemi musi wlec.

I po czterech świata końcach
Czterem wiatrem w tropy leć,
Jeźli o Polskich obrońcach
Pragniesz Dziewcze wieści mieć.

Tam Ci powie o nim może
Grób, nieznanej ziemi syn,
Dzikie Afryki bezdroże,
Lub z Sybirskich która min.

Bo Bóg dobry — i w nagrodę
Za tyle łez, krwie i strat,

Za Ojczyznę, za swobodę,
Dał tułaczom w zamian świat.

Lipiec 1832.
Chevincent.

ON i JA.

ON.

I na co myśleć na co czuć?
Bezdenna przepaść dzieli was —
Rzuć potępieńcze myśl tę rzuć.
Zniszcz to uczucie, póki czas.
Rzucić i zniszczyć? ni, o ni!

JA.

Chyba wraz z sercem, z życiem wraz!
Taki czarowny sen się śni!
Zniszczyć? a przyjdzież drugi raz?

ON.

Więc leć szaleńcze! piekło wre.

JA.

Niech wre — nie obce, już nie znam.

ON.

To piekło będzie dzieło twe!

JA.

Dla tego Nieba zrzeć się mam?
Zostaw ten słodki duszy sen,
Na cierpień wieki da on sił.
Zostaw — dostoi piekłu ten,
Kto chwilkę tchnieniem Nieba żył.

ON.

Dziecko! na próżno chcesz się zwieść.
To się tak mówi —

JA.

Bo jest tak!

ON.

Lecz kiedy przyjdzie ciosy znieść —

JA.

To cóż? czy światu stali brak?

ON.

Do czegoż stal ta? lepiej żyć,
Nie znać, nie tracić —

JA.

Co tu słów! —
Nie znać, nie tracić! — Jedno gnić
W ziemi, na ziemi! — Bywaj zdrów!

ON.

Posłuchaj — słówko —

JA.

No, i cóż?

ON.

Ocknij się!

JA.

Śmiej się —

ON.

Rozum miej!

JA.

Czy powiedziałeś wszystko już?

ON.

Miej rozum! wszystko —

JA.

Śmiej się, śmiej!
Rozum! to jedno znacie wy,
Toż ty rozumem szum i hucz.

On cały niewart jednej łzy,
Co w chwili czucia pada z ócz.

ON,

To prawda — jednak rozum miej,
Raz ci to jeszcze radzić śmiem.

JA.

Śmiesz, boś nie widział oka jej,
Śmiesz, boś nie widział Nieba w niem.

ON.

Widzisz tam w górze gwiazdkę tę?

JA.

Widzę —

ON.

Weź że ją!

JA.

Proszę! — tak?

ON.

A to jest przecię niebo twe.

JA.

Pewno na ziemi stali brak?
Słuchaj! do Nieba tysiąc dróg,
Ja idę moją, choć mię pal,
Do cierpień serce stworzył Bóg,
Powiedzże, na co stworzył stal? —

Lipiec 1832.
Chevincent.

ODDALENIE.

Ach jak dni tu smutno cieką
Przed stęsknionemi oczyma!

Moja Luba gdzieś daleko,
A bez Lubej szczęścia nie ma.

Jak krople rosy przejrzyste,
Nim zdmuchnione w ziemię wsiąkną
Tak jej serce było czyste,
Tak jej dusza piękna!

Błogosławione te kraje,
Którym ty jesteś ozdobą!
Tu sercu ciebie nie staje,
I oko płacze za tobą.

Czarnych tęsknot chmura gruba
Zaległa myśli tułacze.
Gdzie ty, gdzie ty moja Luba!
Ja za tobą płacze!

ODZYSKANIE.

Miły obóz, miłe znoje,
Miły krwawy bój.
Ale milsze oko twoje,
Milszy uśmiech twój.

Kiedy moją chorągiewką
Grał wietrzyka wiew,
Rade usta brzmiały śpiewką
Bo szedł z duszy śpiew.

W dniach Grochowa, Igań, Wawrów
Z groźnym chórem dział

Polsce, sławie polskich łaurów
Śpiew mej duszy grał.

Polsce wtedy mej kochance
Niosłem cześć i krew
Polsce ramię, Polsce lancę,
I miłość i śpiew.

Żyłem tylko w Polski życiu,
A tymczasem ty
Porzucona, gdzieś w ukryciu
Lałaś gorzkie łzy.

I myślą mię męczennica
Okrążałaś ty,
Jak ten tęskny krąg księżyca
Ta obwódka z mgły.

Luba! twoje lica blade,
W twem oku łza drży?
Nie płacz — więcej nie pojadę,
Świat nie wart twej łzy.

Nie płacz Luba! Polska w grobie,
Umilkł krwawy bój,
I ja znowu żyję tobie
I ja znowu twój.

Tobie w niej mej kochance
Składam cześć i śpiew,
I skruszoną u stóp lancę,
I zostałą krew.

«Jak się masz?» o! temu słowu
Nie ma równych słów!

Prócz, gdy z łzami, rzekniesz znowu:
«Kraj woła! bądź zdrów!»

NIEPEWNOŚĆ.

Luba! ja czczę tajemnice,
Bo tajemnic cenę znam
Dla łzy czucia mam źrenicę,
Dla radości uśmiech mam.

Ależ Luba! w twojem oku
Nie lśni radość ni drży łza
Nie ma dla mnie w niem wyroku,
Co mię zniszczyć lub wznieść ma.

Mnie nie trzeba do zniszczenia
Ni dwóch ciosów, ni dwóch strat.
Dość Ci jednego spojrzenia,
Bo w tem jednem jest mój świat.

Mnie tak łatwo przenieść w Niebo
A ja mojem niebem zwę
To, co duszy jest potrzebą:
Patrzeć wiecznie w oko twe.

W PAMIĘTNIKU ADOLFA R.

ADJUTANTA GENERAŁA DWERNICKIEGO.

Na pamiątkę pisać? nie!
Żyć w książce, życie jałowe,

Bez współczucia, papierowe,
Na nic Tobie, na nic mnie.

A chcesz wspomnień? dam Ci je,
Przyrośnione do serc dam,
Jednego krzemieńce dnie
Kołysały młodość nam.

Gdzie nad popiersiem z granitu
Wielka Czackiego dusza,
Jak niezgasła gwiazda bytu,
Drugi Bóg, stwarza, natchnie i wszystko porusza,
U tej Arki wspomnień nam
Kres spotkania — masz mię tam.

Czy rozpuścisz myśl szeroką
W pola Igań, w pola Wawrów,
Tam się zbiegnie nasze oko,
W cieniu narodowych laurów.

Czy przy Ojczyzny skonaniu,
I tam ujrzym się przy sobie,
Ja ciebie na wygnaniu, [1]
Ty mnie na jej grobie.
Słońce bytu krąg jaskrawy
Zatoczyło w grób Warszawy
I zagasło tam.
Tylko nad bramami Orłów Białych gniazda
Zawieszona żelazna wytrwałości gwiazda
Krwawo błyska nam.
W burzach ziemi, w burzach nieba,
W burzy serca — dotrwać trzeba —
Zejdziemy się tam.

Bo niezgięta pierś ze stali
Równo wszystkie widzi dni.

[1] Adolf Rościszewski podzielał z Generałem Dwernickim poniewolny pobyt w Stanach do końca.

A my nasze kartowali
W łzach, w męczeństwie i w krwi.

Bozejdziem się — lecz tułaczy
Los niebawem znowu zbierze,
I myśl nasza się obaczy
Gdzieś — w Kamczatce, lub Algierze.

DZIAŁ CZWARTY.

POZGONNE.

DO PRZEMYSŁAWKA W. W KOLEBCE.

Jeszcześ dotąd Przemysławek
Jeszcześ dotąd dziecię,
Pośród pieszczot i zabawek
Jak ci błogo płynie życie!
Każde serce ciebie kocha,
Każde oko ci się śmieje,
I natura dla ciebie jeszcze nie macocha
I nieba ci przychylne i kwitną nadzieje.

Pięknym okiem ni uśmiechem
Nikt nie zatruł chwil twych ciszy,
I pokój masz w sercu cichem
I szczęście ci towarzyszy.
O pędź życie wśród zabawek
Pókiś jeszcze Przemysławek,
Bo wkrótce spójrzy niebo okiem niełaskawem
I ucho słodkich dźwięków na zawsze odwyknie.

I nazwą cię Przemysławem
I z tem słowem radość zniknie.
I boleśnie westchniesz nieraz
I zapłaczesz do zabawek
Tych chwil które żyjesz teraz
Pókiś jeszcze Przemysławek.

I zobaczysz piękne oko
I poznasz serce twego Anioła
Wpłynie ci on spojrzeniem do serca głęboko
O szczęście się dopomni, o życie zawoła.
I szczęście światełkiem drżącem
Mignie ci się w głębi serca
I wkrótce ciosów tysiącem
Porazi ci je los wydzierca.

I gorzką łzą oko zajdzie
Wypatrując drogiej zguby,
I dusza szczęścia nie znajdzie
Bo nie ma szczęścia bez lubej!
I boleśnie westchniesz nieraz
I zapłaczesz do zabawek
Tych chwil które żyjesz teraz
Pókiś jeszcze Przemysławek.

I będziesz miał przyjacieli
I oni cię zdradzić mogą,
Lub cię od nich los oddali
I znowu nie masz nikogo!
I własnej piersi wygnaniec
Bez nadziei i bez trwogi,
Bez zamiaru, bez odwagi
Pójdziesz przez życia odłogi,
Na wieczności dziki kraniec,
Z sercem jak kościotrup nagi.

O! i gorzko westchniesz nieraz
I zapłaczesz do zabawek
Tych chwil które żyjesz teraz
Pókiś jeszcze Przemysławek.
Lecz słuchaj! ty zasypiasz! Czekaj, niechaj skończę,
Zasnął już! — o drogie dziecię
Niech Opatrzności dłonią obronną
Tak cię wiodą przez to życie,
W takie je kwiaty przystroją,
W takie ubarwią słodycze
Jakich sięgniesz myślą twoją
Jakich ja ci życzę.

WYJĄTEK Z POEMATU: ZAMEK KORDYSZOWSKI.

. . . . . .
Już to ma być w noc późno — w głębi światy cieką,
Sny się lekko unoszą ziemi nad powieką
I niebo w pół się mleczną przepasało rzeką.
Jak pięknie na tle jego gorą gwiazdki małe,
Lecz co znaczą te gwiazdki? A któż to odgadnie!
Sto razy tam wbijane spojrzenie zuchwałe
Upokorzone odpadnie
Jak na tle serca dziwnych uczuć krocie
Błyszczą, jak te światełka w nieścignionym locie
A choć czasem zbudzone żywiej zamigocą,
Nie dopatrzyć i biegu za tajemnic nocą.
O! bo tło serca tak jak tło wyroku
Pomroką zasłonione dla ziemskiego wzroku
Toż na próżnem badaniu nie trwoń godzin długich,
Sam sobie niepojęty, a chcesz dociec drugich?

O! przykro gdy nadzieja i trud bezowocny
A nagrodą — pogarda, albo sztylet nocny.

WIERSZ Z KOZY

POSŁANY WRAZ Z ANANASEM NA IMIENINY PANNIE WANDZI.

Pani! dzisiaj lepsze czasy
Niż za dawnych były dni,
W Zaleszczyckiej kozie rosną ananasy,
A w Pałaiczach ani im się śni.
Bardzo miłe te słodycze
Lecz ja wolę Pałaicze.

Ale ważne jest pytanie
Czy też o tem wiedzą Panie
Na co Bóg stworzył ananas?
Odpowiadam Paniom na to
Krótko, węzłowato:
Ta grzeczność była nie dla nas.
Dla nas dał Pan Bóg bóraki,
Rzodkwie, kapusty, szpinaki
I mnóstwo takich zielenin.
A ananas, jak niesie starożytna wieść,
Na to, by Panna Wanda w dniu swoich Imienin
Miała co jeść.
I tego com rzekł, dowiodę.
Ten sam Bóg co stworzył wszystkie zieleniny
Stworzył także imiona, i na Imieniny
Wielką jutrzejszą środę.
A Wice — Bóg tą razą, Pan Baron Bronicki
W myśl boską dla kompletu, ogród Zaleszczycki.

Lecz obadwaj ci Panowie
Niech tam Pan Bóg da im zdrowie
Ni Pannie Wandzi, ni Pani
Nie byli prezentowani
A dobre mieli zamiary.

Pomyślał więc Pan Bóg stary:
«Jest tam na ziemi człowiek, co tym Paniom życzy
Milszych niż ananasy i trwalszych słodyczy,
Pan Maurycy Jasiński. — Wezmę go, zawiozę
W sobotę do Zaleszczyk i posadzę w kozę
Jak ruskiego Flichtlinga.[1] Trochę go tem zgryzę,
Ale dla pocieszenia zrobię mu siurpryzę.
Tego samego tygodnia
Stworzę taką wielką środę,
Jakąbym sam chciał mieć co dnia,
I sambym w kozie co tydzień siedział,
Jeźlibym tylko z pewnością wiedział,
Że kto da taką nagrodę.
Będzie to środa oktawna
Jakiej nie znały oddawna
Żadne na świecie narody.
Będzie to środa nad środy!
I siedzącemu w kozie tak powiem łaskawie:
Wziąłem ci bracie swobodę
Lecz nie myśl o tem — myśl o oktawie;
Oktawa będzie we środę,
Jam ananasy stworzył na ziemi,
Świadkiem ogród Zaleszczycki
Ale sam nie wiem co robić z niemi;
Świadkiem Pan Baron Bronicki.
Dla Panny Wandy chciałbym koniecznie
Posłać z nich co na wiązanie,
Alem nieznany, może to niegrzecznie
Może ta śmiałość obrazi Panie.

[1] Tak w języku urzędowym nazywano w Galicyi w sprawach rządowych — wojskowych polskich, od czasu wojny 1831 r.

Proszę cię więc mój Maurycy
Tylko w wielkiej tajemnicy,
Weź je i poślij od siebie:
To Pannie Wandzie dowodem będzie
Że o jej Imieniach pamiętają wszędzie,
Ty w kozie, ja w Niebie.»

Taką mową
Słowo w Słowo
Mruczał Pan Bóg nad mą głową
I sens miała mowa ta.
Niechże więc Panie uważą łaskawie,
Że gdzie mowa o oktawie
Tam i Pan Bóg słuszność ma.
I ja sobie dumam w kozie:
Kiedyż koniec przyjdzie zgrozie
I Bóg z kozy wyjść mi da?
Wtenczas sobie na wiązanie
Pojechałbym widzieć Panie.
Dumam sobie tak za kratą
I sam odpowiadam na to:
Kiedyż przyjdzie chwila ta?

Niech Panie raczą łaskawie nie gniewać się za moją śmiałość, że i ananasy posyłam i piszę — i pierwsze i drugie zrobiłem dla tego, aby się w kozie pocieszyć i niech Panie przyjmą najgłębszego Uszanowania

od

Maurycego Jasińskiego (Gosławskiego).

NOTATKA DLA PAMIĘCI PANNIE WANDZI.

OSTATNIA IMPROWIZACYA POETY.[1]

Nie wiem jakie będą wiersze,
Złym Pani przebaczy,
A że w nich chęci będą najszczersze,
Temu Pani wierzyć raczy.

Pani jesteś — cóż mi tam!
Pani jesteś, jak ją znam,
Jak i wiele innych dam,
Dobra, grzeczna, miła. — Lecz
To niewielka jeszcze rzecz,
Nie będę się kwilić, żalić
Ganić Panią albo chwalić,
Lepiej Pani rady dam.
Chcesz szczęśliwą Pani być
Ileś Pani godna, ile życzę jej
Umiej Pani z ludźmi żyć
To co czujesz, umiej kryć.
Jeszcze nie czas Pani wzdychać,
A więc umiej się uśmiechać,
Śmiej się Pani — śmiej.
Życie Pani tak jak sen,
Dotychczas się tylko śni
Wkrótce minie ranek ten,
Poważniejsze przyjdą dni.
Trzeba będzie zacząć wzdychać,
I nie zechce się uśmiechać,
W tenczas życzę Jej,
Stałość Pani miej.
Bo niestałość, Panno Wando,
Grzechem jest i kontrabandą.

[1] Był to ostatni wiersz Gosławskiego, po przesłaniu którego wkrótce rozchorował się i zakończył żywot męczeński.

Ale nim zostaniesz stałą,
Pierwej dobrze waż i wierz
Jeźli czujesz wiele, okazuj że mało,
I mniej jeszcze wierz,
Lecz raz przekonana wierz, i wierz! i wierz!

Ciemno Pani — nie ma świec,
Więc nie piszę więcej nic,
A resztę tych rad przy świecy
Opowiem Pani —

Gosławski Maurycy.

OBJAŚNIENIA.

Szczegóły zdarzeń współczesnych, często znajome w chwilach obecnych lub bliskich wypadkom historycznym, zacierają się z czasem, i zdarzenia te dochodzą do późniejszej doby częstokroć pod innem światłem, niż miały miejsce w istocie. Szczegóły towarzyszące ważniejszym wypadkom, i w chwili nastąpienia ich, jako mniej zajmujące bywają zaniedbywane, zkąd później wyradzają się niezaprzeczone szkody w badaniach historycznych, zkąd owe przerwy w dziejach, nie rozwiązane lub wątpliwe zagadki w poszukiwaniu, gdy tymczasem znajomość szczegółów związanych ze zdarzeniami, mogłaby nieraz rzecz wyłuszczyć najdokładniej; często jedno słówko osoby historycznej, jedna słabość, namiętność, skłonność, jedno lekkie odcienie jej charakteru i usposobień, rozwiązałoby zawiłości, na których polega wykrycie celu historyi, Prawdy.

Wzniosła sprawa, o którąśmy walczyli, upadła. Wszystkie usiłowania i poświęcenia, stały się bezkorzystne, obecne pokolenie czuje na sobie tylko wpływy upadku. Lecz niepowodzenia Ojczyste wkładają właśnie na teraźniejszość święty obowiązek wyrachowania się przed przyszłością z toku swego postępowania, ze środków, jakie miała w swojem zarządzeniu i ze wpływów, jakim uległa.

Po upadku ogółu zdaje się nikt nie miałby prawa wyliczać cząstkowych zasług, bo te nie zbawiły całej sprawy, bo się na nic nie przydały. — Można i tak sądzić, ale ten sąd mylny. — Owszem każda szczególna zasługa, cnota, poświę-

cenie się, talent, geniusz; jak szczególne niedołężności, gnuśność, egoizm lub złe chęci, powinny być najściślej ocenione podług stopnia, w jakim się do dobra lub zła narodowego przyczyniły; bo u nas z cząstkowych działań utworzone było całkowite działanie Narodowe któremu dopiero naczelne osoby dawały kierunek.

To całkowite działanie i kierujący niem sternicy, stanowią przedmiot czysto historyczny; cząstkowe zaś osoby, z których szczególnych działań tworzył się ów ogół, służyć będą do wyjaśnienia wypadków na przyszłość. Nie ochłonęło jeszcze współczesne wrzenie namiętności, mgła tajemnicy zakrywa dziś większą część zdarzeń naszego powstania i upadku. Lecz aby przyszłość mogła o nas sądzić dokładnie, należy przesłać jej po nas dowody, z których ona treść wyciągnie i wyrok ułoży. Nasze postępy i błędy, raz wykonane, ciągnące za sobą jakiekolwiek skutki, przechodzą na własność ogółu naszego plemienia, i na własność naszej przyszłości, ku jej korzyści.

Dla tego pożądaną i nieodbicie potrzebną jest rzeczą, aby zostały po terazniejszości pamiętniki wszystkich zdarzeń, nawet dziś mniej zajmujących, bo współczesnych, bo nam dobrze wiadomych; rysy charakteru osób naczelnie działających, lub cząstkowo wpływających na ogólną sprawę, choćby w najmniej widocznym stopniu; z takich bowiem źródeł może przyszłość nasza brać farby do wystawienia tego wielkiego obrazu, co w naszych oczach jaśniał, którego zachód krwawy opłakujemy, a którego wschód ma oświecać polskich potomków na długą przyszłość. —

Wykazanie cnót lub błędów, a nawet złych chęci (bo na nieszczęście byli i wyrodni będzie pogrzebową częścią dla mężnych braci, co legli w obronie Ojczyzny; będzie pociechą dla dusz wyniosłych, dla tych wielkich tułaczów, co ją w nieskalanych piersiach, w niezgwałconem przekonaniu niosą dzisiaj rozproszeni pod cudze nieba; będzie wyrzutem dla tych, co kochać jej nie umieli i mieć byli niegodni; będzie nakoniec tą świętą Arką, w której prochy jej oddamy dzieciom naszym, ku czci i wskrzeszeniu.

Umieszczone w tem wydaniu Poezye mają styczność z wypadkami narodowej wojny, po największej części mniej zna-

nemi. Kilka miesięcy ścisłego oblężenia w Zamościu, odcięło nas od ogólnego biegu działania Narodowego, i nasze powodzenia nikomu znane nie były. Nim damy historyę oblężenia Zamościa w 1831 roku, umieszczamy tu niektóre objaśnienia potrzebne do zrozumienia przedmiotów powyższych poezyi. Tudzież maleńką wzmiankę o Podolu. Zamilczeć wypada wiele imion godnych wspomnienia, powody milczenia do odgadnienia łatwe, imię dobrego Obywatela jest tam godłem męczeństwa.

* Przygotowania do powstania na Podolu rozpoczęły się prawie równo z wieściami o rewolucyi w Warszawie. Rozmaite wpływy rozmaicie je paraliżowały. W początkach wysłanym do Dyktatora z Podola obywatelom, dał tenże odpowiedź: że i jednej skałki i jednego ładunku nie da dla Podola.

Na powtórne nalegania oderwanych prowincyi i na zapytanie, co mają działać? odpowiedział Wereszczyńskiemu, przedstawiającemu stan usposobień i możności onych prowincyi, tudzież listy Steckiego i innych obywateli z Wołynia w tymże przedmiocie: «Jesteście zapalone głowy — sami nie wiecie czego chcecie — siedźcie cicho. — Nie ściągajcie biedy choć na tamte prowincye, kiedy królestwo tyle cierpi przez Rewolucyę.»

Odebrane odpowiedzi nieprzyjazne zapałowi wzmagającemu się codziennie, którego tłumić, ani też przed czujnem okiem rossyjskiego rządu utaić było niepodobna, nie zmniejszały bynajmniej chęci, lecz opóźnienie powstania naturalnym bardzo sposobem musiało wpływać na jego niepowodzenie. Tymczasem rząd rossyjski znaczną część obywateli podejrzanych mu poprzednio, zatrzymać kazał i dla tak zwanego własnego ich dobra rozesłał po Irkutskach, Permach i t. d. Broń palną i sieczną, aż do noży kuchennych, gdziekolwiek by ta znajdować się mogła, od mieszkańców odebrano. — Pobór rekruta i wszelkich rekwizytów wojennych nakazany, a wszędzie baczność na postępowanie obywateli podwojona; na ten koniec użyto, prócz powszednich środków tajnej policyi, czynniejszych sprężyn demoralizacyi, a za narzędzie główne wzięto religię. Polecono księżom wyznania greckiego śledzić czynności dziedziców dóbr i całej szlachty po ich parafiach; podfurzono poddanych przeciw właścicielom, i tak rząd usposobił kraj, iż z wybuchnieniem rewolucyi, kontrrewolucya chłopów i popów w każdym czasie była gotowa, jak to później okazało się na przykładach, że chłopi mordowali pod dowództwem pasterzów swoich, bezbronnych obywateli — taką ofiarą padł między innymi znany z porządnej głowy i dobrego ducha Jan Januszewski.

Ze zmianą Dyktatora, Rząd narodowy i wódz naczelny pozwolili prowincyom oderwanym mieć nadzieję oswobodzenia się i przygotowania do powstania robić polecono, a wspierać je miała siła zbrojna przeznaczona do walczenia w tych stronach pod dowództwem Generała Dwernickiego. Lecz już w owym czasie tak czynnie działał Rząd rossyjski, że powodzenie powstania było niepodobne.

Przybyły z dowodami, że jest wysłannikiem rządu narodowego do organizowania powstania w tych stronach, ktoś nazywający się Majorem Chrości-

kowskim, znalazł w usposobieniach obywateli Podola chętną wiarę i gotowość skinienia. To indiwiduum położyło zasady upadku tylu pięknych nadziei. Chrościkowski nie chciał lub nie mógł, widząc zapał powszechny, zgłębić rzeczywistego stanu siły. W ciągłych stosunkach z Generałem Dwernickiem, dawał mu fałszywe i przesadzone doniesienie o tutejszej sile, a prowincye oderwane łudził podobnemiż zmyśleniami, wystawując korpus Dwerwickiego przenoszący 30,000 ludzi.

Ze zbliżeniem się Generała na Wołyń, Chrościkowski nie zniosłszy się naczelnikiem powstania Podola i Ukrainy, wydał rozkazy do powstania łącznie z Marszałkiem Jakubem Malinowskim, naznaczając termin podniesienia oręża na $^{27}/_{15}$ kwietnia, był to dzień właśnie wkroczenia Dwernickiego do Galicyi. Rozkaz ten był podpisany i poszedł w obieg $^{24}/_{12}$ kwietnia, nim obiegł obszar Podola i Ukrainy, tymczasem $^{26}/_{14}$ wydał Chrościkowski drugi rozkaz odwołujący poprzednicze rozrządzenie i wstrzymujący powstanie, który naturalnie nie mógł być obesłany tak prędko, jak było potrzeba; aby nie skrzyżował wszystkich działań przez poprzedniczy nakazanych. — Jedni wzięli się do broni, drudzy upoważnieni odwołaniem, zostali bezczynni — wszczął się najwyższy nieporządek przed zetknięciem się jeszcze z wrogami. Chrościkowski i Malinowski, źródła całej niedoli, na jaką dwie prowincye i ich przyszłość przez niedołężność swoją wystawili, znikli z Podola. Tak to się rozpoczęło powstanie Podola, tylu klęskami pamiętne, i inne być nie mogło, bo było płodem chaosu, sparaliżowanym w samem poczęciu. Nieszczęsny wybór później na naczelnika siły zbrojnej generała Kołyski, dokończył miary nieszczęść tej godnej lepszego losu krainy. Zniszczył kwiat i treść Podola, nie przyniosłszy żadnej korzyści Narodowej sprawie.

Wierszyk do Orła Białego był pisany przed powstaniem nie dla Podola, lecz dla tych, którzy nie sumienni nadużywali ufności Ziomków w rękach swoich złożonej. — Naoczny świadek i uczestnik przeszłości, mógłbym przytoczyć tu wiele imion godnych błogosławieństwa, i wiele potępienia godnych. Lecz Podole w więzach, teraźniejszość w ręku zwycięzcy, a liczby męczenników przez wspomnienie cnót obywatelskich lękam się pomnażać. — Zachowuję wyświecenie wieku prawd lepszej przyszłości. — Ja piszę pod opieką praw Francyi — lecz ta opieka nie ochroni ofiar przemocy na rodzinnem Podolu, od łańcuchów i Sybiru.

Pisałem w Château St. Jérome
dnia 31 Marca 1832 r.

** Dywizyon Ułanów Podolskich troskliwością Aleksandra Wereszczyńskiego zebrany i własnym jego kosztem umontowany całkowicie, złożony z 300 ochotników, już w drugiej połowie czerwca r. 1831 wystąpił do boju. Losem wojny sprowadzony do Zamościa oddział ten waleczny przetrwał cały ciąg jego oblężenia. Większa połowa jego składu byli to obywatele Podola i Wołynia; nie wielka część galicyjskich ochotników. Młodzież myśląca, ukształconego wychowania, głęboko przeniknięta świętością narodowej sprawy, oddała się jej bezwarunkowo. Ich to wzorowemu męztwu i wytrwałości, z jaką znosili nędzę i trudy oblężenia, nie upadając na duchu, winien Zamość najcelniejszą część swojej obrony, ich światłemu wpływowi i moralnej przewadze winien, że ostatni po upadku wszelkiej nadziei pomocy, dotrwał i

z orężem w ręku sam jeden dni 20 przedłużył życie polityczne Narodu. Na ostatniej radzie wojennej o poddanie się twierdzy, przeciwnych poddaniu jej było 7 officerów na 108 zgodnych. Ci 7 byli to Podolacy.

*** Majdanek wioska pod Zamościem, 31. Sierpnia 1831 r. Podolacy w 78 koni znieśli w niej w troje większy oddział piechoty moskiewskiej uszykowanej między chatami, rowami, płotami i t. d. była to wycieczka nadzwyczajnie zuchwała, przez kommendanta wyprawy Majora Bułewskiego bez rachunku nakazana, a wykonana przez Kapitana w ówczas Wereszczyńskiego zręcznie i szczęśliwie, bo dwóch tylko ludzi stracili Podolacy, a 18 mieli ranionych bagnetami — w tej liczbie i Wereszczyński.

† Korzystna jest metoda niektórych dla zakrycia własnej nicości, rzucać potwarze na ludzi, co w jakikolwiek sposób dobru powszechnemu zasługując się, nad sferę mierności ulecieli, a tem samem stali się przedmiotem zawiści.

Zasługi Aleksandra Wereszczyńskiego w sprawie powstania narodowego, są niezaprzeczone, jak charakter nieskalany. Z tem wszystkiem znalazły się indywidua, po największej części nieobeznane ze stanem sprawy naszej, które nie sądząc rzeczą godną siebie stanąć w szeregach Ojczystych, albo pobytem nieprzerwanym w Galicyi dawały piękne pole szlachetnym jej mieszkańcom do okazania całej gościnności tak zwanym skompromitowanym osobom, albo po salonach lub kawiarniach stolicy rozstrzygali los kraju, którego orężem nie bronili. — Było to braterstwo liczne na nieszczęście. Tacy to po upadku sprawy narodowej, nie znosząc wieści o obcych zasługach i mając je za uchybienie swojej nicości, starają się porównać wszystkich z sobą co do istoty.

Zawiadomiony o przygotowanych z rozkazu Mikołaja adressach na Wołyniu i innych guberniach, któremi wyrzekano się powstania polskiego, Wereszczyński podał współobywatelom myśl objawienia w oczach Polskiej i Europy, iż sprawa narodowa jedna jest i nierozdzielna równie w Województwach polskich, jak i w guberniach pod Rząd rossyjski zagarnionych. Podany więc był do Sejmu Adres połączenia tych prowincyi z powstaniem Narodowem. — A zatem nastąpił drugi Adres mający na celu utworzenie wojskowych oddziałów reprezentujących Gubernje oderwane rzeczą i nazwiskiem. Utworzony komitet pod przewodnictwem Bonawentury Niemojowskiego, zajął się spiesznie wystawieniem legii konnej i pieszej Litewsko-Wołyńskiej. Wereszczyński był najczynniejszy w tej całej robocie i właściwie jego staraniem w miesiącu Lutym 25 wystąpiły już dwie kompanie legii pieszej, a 31 Marca legia konna, jak stary pułk umontowana, po odbytych lustracyach stanęła do boju. Wereszczyński znajdując się w bitwach 25 Lutego, 31 Marca, 1 i 2 Kwietnia, w jednej z nich raniony. — Wysłany później dla wspierania działań Generała Dwernickiego rozpocząć się mających na Podolu, kiedy robił przygotowania i spieszył z ammunicyą dla tego Generała, już korpus jego wkroczył z Wołynia do Galicyi.

Generał Dwernicki dawał rady Wereszczyńskiemu, aby z zakupionych przez siebie zapasów broni, ammunicyi i kony, tudzież zebranej liczby ochotników, zrobił użytek, niosąc pomoc Podolskiemu powstaniu. I było istotnym zamiarem Wereszczyńskiego połączyć się z tem powstaniem, gdyby takowe w strony Zbrucza się skierowało. — Podejście i wzięcie Kamieńca miał on

70,

Stanford University Libraries
3 6105 010 630 809

STANFORD UNIVERSITY LIBRARIES
CECIL H. GREEN LIBRARY
STANFORD, CALIFORNIA 94305-6004
(415) 723-1493

All books may be recalled after 7 days

DATE DUE